

CZĘŚCIOLOGIA
ukowy przepis
szczęśliwe życie

s. 38

W TYM TYGODNIU
wydanie w rozmiarze

XXL

Nr 7/3217 • 14 lutego 2007 • cena 5,00 zł /w tym 7% VAT/

**PRZE
KROJ**

**ÓŚ TYM
YSIEM”
ROBIŁ?**

16, 64

**REGI WŁADZY:
USZNICY
ACI
CZYŃSKICH**

26

*** STREFA
EROGENNA**

**Czym uwodzą
kursy uwodzenia**

s. 44

13
**najsłynniejszych
filmowych
sekcscen**

s. 48

**Biologia uczuć
i ciemna strona
miłości**

s. 52-54

* Tylko dla dorosłych



020049

Akc. 45/2008

**SCARLETT
JOHANSSON**

**Seksapil
dla inteligentów**

s. 34

FAKTY LUDZIE OPINIE

www.przekroj.pl



Indeks 371424

O klasę wyżej



Absolutnie Nowa Toyota Corolla

Czas skonfrontować wyobrażenia o przyszłości z rzeczywistością. Nowa Toyota Corolla już z zewnątrz urzeknie Cię elegancką i nowatorską linią nadwozia. Potem, gdy zasiądziesz w ergonomicznym, wygodnym fotelu, poczujesz komfort niespotykany dotąd w samochodach tej klasy. Docenisz też wygodę

wynikającą z sekwencyjnej zmiany biegów, a świadomość faktu, że nad Twoim bezpieczeństwem czuwa 9 poduszek powietrznych, pozwoli Ci się przyjemnie zrelaksować. Zapraszamy na wyższy poziom komfortu dostępny w Absolutnie Nowej Toyocie Corolli.

Toyota Corolla – zużycie paliwa (UE 80/1268 z późniejszymi zmianami) w cyklu mieszanym wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 4,9 do 6,9 l/100 km. Emisja CO₂ (UE 80/1268 z późniejszymi zmianami) wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 127 do 162 g/km. Szczegółowe informacje o działaniach podejmowanych przez Toyotę w zakresie ochrony środowiska, a w szczególności dotyczących odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji, są zawarte na stronie internetowej: www.toyota.pl.



TODAY TOMORROW **TOYOTA**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o wicepremierach Andrzeju Lepperze i Romanie Giertychu. Bo nie warto – przecież premier wyraźnie (mamy na myśli – jasno) powiedział: „W dzisiejszej praktyce politycznej wicepremierzy to są tacy ministrowie z dodatkową gwiazdką na ramieniu. Otóż pan premier Dorn – i to jest nieczęsty przypadek w ciągu ostatnich 17 lat – będzie moim realnym zastępcą”. Znaczący wyżej wspomniani mają wprawdzie dodatkową gwiazdkę na ramieniu (każdy na innym – dla równowagi), ale nie są nawet realnymi zastępcami. Po prostu są nierealni.

...o wicepremier Zycie Gilowskiej i jej niezwyklej elokwencji. Bo ona jedna (a więc to nasza zemsta) nie pasuje nam do odkrycia, jakiego dokonaliśmy, analizując zasady doboru ministrów do rządu. Otóż klucz jest prosty: ministrem może być tylko ktoś, kto nie jest zdolny skłębć w języku polskim jednego poprawnego zdania, które zarazem zawierałoby jakąś informację i miało znaczenie. Nawet Ludwik Dorn, który w zasadzie spełnia ten warunek,

okazał się zbyt sprawnym językowo (wszak pisuje wiersze), więc zastąpił go po wielokroć cytowany tu Janusz Kaczmarek (patrz obok).

...o opozycji parlamentarnej. Bo nawet się staraliśmy, szukaliśmy, ale nic się nie dzieje – Jan Rokita pojechał na wakacje i szluz, wszyscy odpoczywają. Z ulgą.

...o świetnie zaplanowanym kroku dyplomatycznym wobec Białorusi. Bo tu na nic nasze tanie złośliwości. Jeśli (zgodnie z doniesieniami) rząd rzuci na ten trudny białoruski odcinek polskiego dyplomata, który ostatnio pracował w Moskwie, a na nazwisko ma Litwin – sukces gwarantowany, żadna służba kontrwywiadowcza się w tym nie polapie.

...o kierującym szkolnictwem Romanie Giertychu, który przy okazji ogłaszania, że od września we wszystkich szkołach będą obowiązywały jednolite stroje oraz zakaz używania telefonów komórkowych na lekcjach, podkreślił, że oznacza to „szarpnięcie cugli w polskiej edukacji”. Bo naszym zdaniem

niepotrzebnie dał sobie wnić, że ma coś wspólnego z koniem, sięgnął po metaforę i zaczął mówić językiem woźnicy.

...o sukcesie Anny Kalaty (występującej publicznie w roli ministra pracy), czyli pierwszych efektach pracy wizażystki nad „sygnałami werbalnymi i niewerbalnymi” wysyłanymi przez panią minister. Sygnały dotarły aż do premiera Kaczyńskiego, który przy okazji przeglądu rządu dostrzegł wreszcie tę kobietę. Bo sukces jest o tyle umiarkowany, że premier skrytykował ministerkę za „chaotyczne zarządzanie resortem”. Czyli jednak jest optymistą – wciąż wierzy, że ona czymś zarządza.

...o tym, w co wierzy sama Anna Kalata: „Nie otrzymałam od pana premiera żadnych warunków, które muszę spełnić, aby pozostać w rządzie. Nie otrzymałam żadnej »złotej kartki«. Bo w przeciwieństwie do niej my w zaklanie rzeczywistości w ogóle nie wierzymy. Natomiast zrozumieliśmy, że zamiast wizażystki powinna zatrudnić

korepetytorkę, która podszołoby panią minister w zakresie „czytanie tekstu ze zrozumieniem”.

...o tym, że pani Anecie Krawczyk przyznano ochronę jako zagrożonemu świadkowi w sprawie „praca za seks”. Bo skoro już nawet przedstawiciele władzy zorientowali się, że obywatelkę zaplątaną w interesy władzy trzeba przede wszystkim chronić przed ludźmi będącymi przy władzy, to po co mamy się w to jeszcze wtrącać?

...o najważniejszym źródle informacji dla krajowych dziennikarzy (oprócz przecieków, rzecz jasna), czyli Polskiej Agencji Prasowej, która w czwartek 7 lutego o godz. 21.55 puściła w świat depeşe wielkiej wagi: „Dowództwo naczelne chilijskich sił zbrojnych, podejmując bezprecedensową decyzję, zgodziło się na publiczny pokaz części tajnych materiałów filmowych, dokumentujących spotkania chilijskich pilotów wojskowych z UFO”. Bo kto nigdy nie wierzył w UFO, niech pierwszy rzuci kamieniem. Ale dla PAP-u trochę wstyd.

CYTAT tygodnia

Ja jestem Januszem Kaczmakiem i nie jestem nikogo cieniem, sam rzucam cień za sobą

– nowy szef MSWiA
JANUSZ KACZMAREK
na pytanie, czy
w ministerstwie będzie
cieniem Zbigniewa Ziobry



Fot. KAROL PIECHOCUREPORTER

Pomysł na Walentynkowy wieczór



Romantyczna kolacja we dwoje?

Znakomity sposób na niezapomniany walentynkowy wieczór.

Zaproś ukochaną osobę i razem, przy muzyce i blasku świateł, urządźcie sobie piknik z grillem marki Philips.

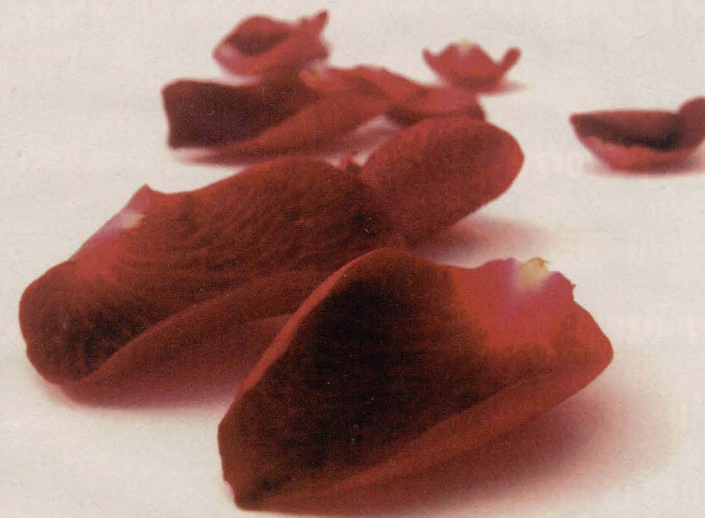
Do przyrządzenia smacznych dań nie potrzebujesz tłuszczu, gdyż urządzenie to posiada specjalną płytę opiekającą z powłoką zapobiegającą przywieraniu. Natomiast zbiornik wody zapobiega powstawaniu dymu, więc teraz możesz cieszyć się atmosferą grillowania przez cały rok.

Szaszłyki z krewetek i polędwicy z cytryną

Rozmrozić krewetki i obrać ze skóry. Pociąć mięso w równą kostkę. Zmieszać krewetki z mięsem i olejem w miseczce. Nadziewać krewetki na zmianę z mięsem na szpikulce. Umieścić szaszłyki w grillu stołowym Philipsa na 4-6 minut, w połowie smażenia obrócić na drugą stronę. Smażyć dopóki się nie przyrumienią. Na koniec skropić sokiem z cytryny, posolić i popieprzyć.



- 12 dużych krewetek (mrożonych)
- 2 polędwice wołowe
- ½ cytryny, wyciśniętej
- 2 łyżeczki oliwy
- gruba sól
- świeżo zmielony czarny pieprz
- długie szpikulce do nadziewania



PHILIPS
sense and simplicity



erogenna

44 Chcesz się nauczyć rozpalać umysły i ciała pięknych dziewczyn i kobiet, na które będziesz miał ochotę? Krótki kurs macyzmu

48 A momenty były? Mowa! „Przekrój” pokazuje same momenty

52 Zakochanie i wszystkie wynikające z tego odczucia wiążą się z ogromnym hormonalnym zamieszaniem w naszym organizmie. I ta hormonalna burza trwa od kilkunastu do

nawet 40 miesięcy. Czyli przez czas potrzebny do tego, by począc, wydać na świat i odchowić potomstwo – kubek zimnej wody na zakochanych wylewa profesor Bogusław Pawłowski

54 Zła, zazdrosna, a nawet żądna krwi – taka też może być miłość

PRZEKRÓJ TYGODNIA
8 Krótka rozmowa z Aleksandrem Smolarem
10 Kraj
12 Teczeki
14 Zagranica

A WŁAŚCIWIE TO...
16 Komentarze Wawrzyńca Smoczyńskiego, Bartka Chacińskiego i Mariusza Ziomeckiego

POWIĘKSZENIE
20 Piękności Pirellego

KRAJ
26 Towarzystwo wzajemnej adoracji, czyli doradcy braci Kaczyńskich
30 Michał Koterski chciałby być wielkim aktorem, na razie jest królem warszawki

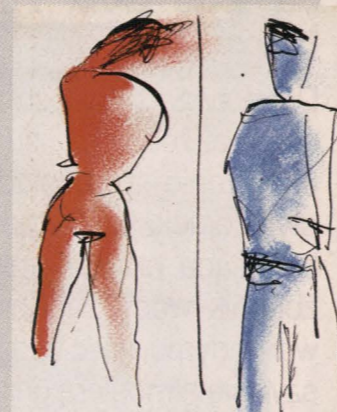
ZAGRANICA
32 Tony Blair musi odejść
34 Scarlet Johansson – seksbomba w dobrym stylu

TEMAT „PRZEKROJU”
38 Klucz do szczęścia odnaleziony! Przeczytaj o szczęściologii, a doznasz przepływu

STREFA EROGENNA
44 Tylko dla mężczyzn – kursy uwodzenia
46 Tylko dla kobiet – Paweł Nowicki o wyższości telenoweli nad serialem
48 Tylko dla dorosłych – nasylniejsze momenty filmowe
52 Obowiązkowo dla wszystkich – to kobiety wymyśliły miłość
54 Tylko dla zazdrosnych – o ciemnej stronie miłości

ŚWIAT WŁADZY
58 Prezydenci kłamią jak z nut

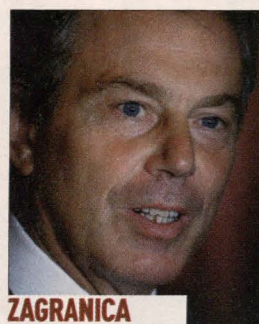
TWOJE SPRAWY
62 Magazyn Mosza
TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY
64 Wydarzenie: „Rys” to nie „Miś”
66 Film: „Hollywoodland”
67 Teatr: „Akademia Pana Kleksa”
68 Muzyka: Klaxons „Myths Of The Near Future”
69 Foto: Rafał Milach
70 Twórca: Jarosław Marek Rymkiewicz
73 Książki: Haruki Murakami „Kafka nad morzem”
74 Supermarket



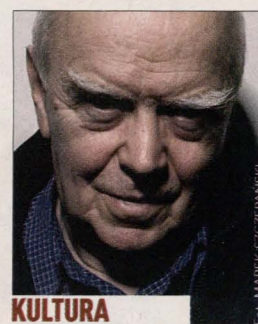
Rys: PIOTR GIDLEWSKI

CZYTAJ KSIĄŻKI
76 Fragment najnowszej powieści Manuelei Gretkowskiej

ZAWSZE CZYTAJ
4 Na środę Raczkowski, W tym tygodniu nie piszemy
56 Żebyś wiedział
78 Biblioteka Kubu Wojewódzkiego
79 Raczek Raczkowski
80 Krzyżówka, jolka
82 Na czczo Igora Zalewskiego i Łzem i wobec Romana Kurkiewicza
83 Rozmaitości



ZAGRANICA
32 Najbliżsi współpracownicy Tony'ego Blaira mają kłopoty z prawem. Oskarżono ich o kupczenie tytułami szlacheckimi. Już nikt nie wierzy, że premier o tym nie wiedział



KULTURA
70 Zdawałem sobie sprawę, że po napisaniu tej książki zostanę uznany za potwora, który wzywa do stawiania szubienic – o swojej najnowszej książce mówi Jarosław Marek Rymkiewicz



58 John F. Kennedy twierdził, że potrafi czytać 1200 słów na minutę. Głowy państw niemal z definicji muszą manipulować swoimi osiągnięciami, by móc zdzierznąć więzi z wyborcami. Dlaczego politycy kłamią?

Fot. GORBIS

Żeby zrozumieć rzeczywistość, musisz ją poznać!



- Jak mózg tworzy rzeczywistość?
- Po co nam zmysły?
- Kiedy mózg popełnia błędy?
- Czy istnieje szósty zmysł?
- Czy mózg ma płęć?

„PRZEKRÓJ NAUKI” w sprzedaży od 15 lutego w sieciach Empik, HDS, Inmedio, Relay, salonach prasowych Ruchu i Kolportera



Sony Ericsson
W300i
TELEFON WALKMAN
OD 1 ZŁ

era nadaje rytm

Wybierz swój własny spośród największych hitów: BLUE CAFE, DEPECHE MODE, MOBY, QUEEN, ROLLING STONES, MAANAM i wielu innych. Wyślij SMS-a z hasłem RYTM na bezpłatny numer 8089, aby pobrać za darmo Dzwonki, Granie na Czekanie, teledyski lub pełne piosenki MP3. Bądź bliżej muzyki dzięki nowoczesnym telefonom i usługom najwyższej jakości.



www.eramuzyki.pl

MOŻESZ WIĘCEJ



KATARZYNA KOŁENDA-ZALESKA, „FAKTY”, TVN

ALEKSANDER SMOLAR

Bracia Kaczyńscy chcą dodać splendoru ojczyźnie, mówią dużo o patriotyzmie, a równocześnie coraz bardziej ośmieszają państwo – alarmuje politolog Aleksander Smolar. – Nie dostrzegam w działaniach władzy żadnej logiki

Jak by pan dziś odpowiedział na pytanie: „Co tam, panie, w polityce?”

– Och, możliwe są różne sposoby interpretacji. Ale ja bym odpowiedział, że chaos.

Zaczęło się od spodziewanej dymisji Radosława Sikorskiego.

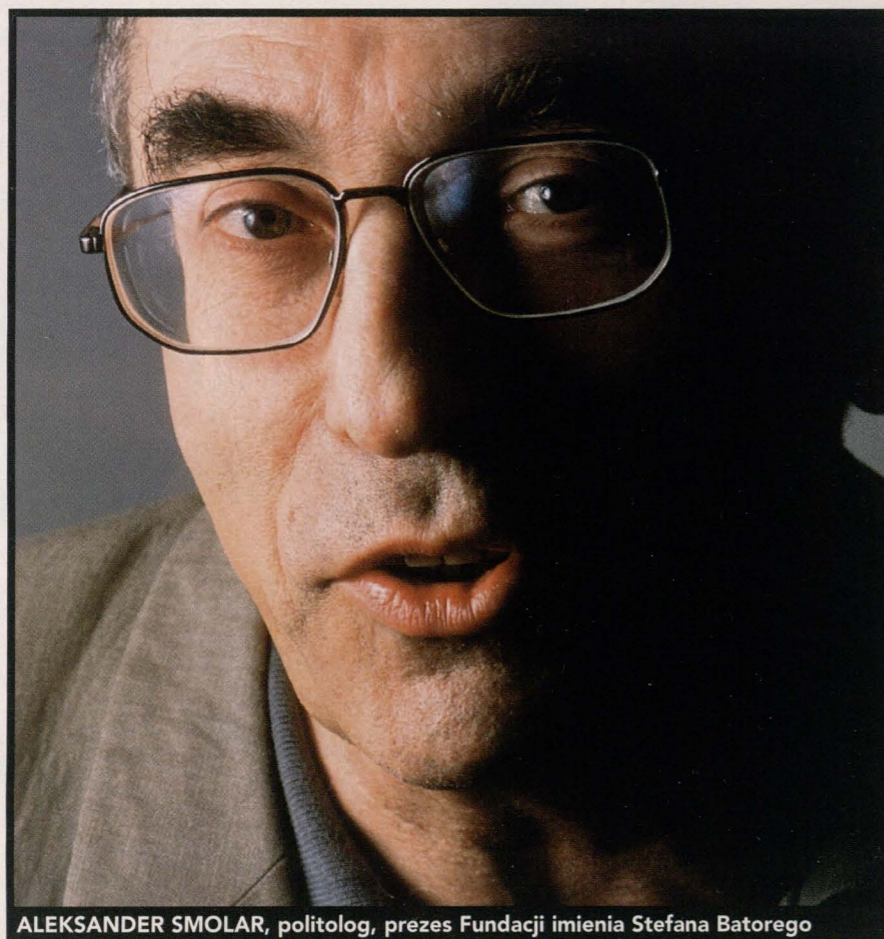
– To był problem ambicji i niezależności młodego człowieka, co w oczywisty sposób irytowało braci Kaczyńskich. Mam wrażenie, że irytowała ich nawet jego znajomość języków i swoboda, z jaką poruszał się w kręgu polityków euroatlantyckich, a nie tylko w naszym narodowym grajdole. To można zrozumieć, choć oczywiście niepokoi, że taka prosta i trywialna psychologia decyduje o sprawach najwyższej wagi. Tyle tylko, że decyzja w sprawie ministra obrony postawiła Polskę przed wyborem między rewolucją a bezpieczeństwem strategicznym. Logika rewolucji, której hołduje Jarosław Kaczyński, wymagała rozwalenia Wojskowych Służb Informacyjnych i zatrudnienia człowieka od czarnej roboty, czyli Antoniego Macierewicza, który wstawił się tylko tym, że rozwała wszystko, do czego się weźmie. Nie wzięto pod uwagę fundamentalnego bezpieczeństwa wojska, żołnierzy, którzy wyruszają do Afganistanu. Całkowicie zwyciężyła doktrynerska logika rewolucji nad logiką bezpieczeństwa kraju. Przeróżające z punktu widzenia racji stanu.

A odwołanie Ludwika Dorna jest równie łatwo wytłumaczalne logiką rewolucji?

– Poruszamy się we mgłę, bo odchodzi najbardziej oddany giermek braci Kaczyńskich, niewątpliwie jeden z nielicznych inteligentnych ludzi w kierownictwie PiS. Ale dostrzegam pewne podobieństwa ze sprawą Sikorskiego. Sikorski miał tolerować czerwonych wojskowych, czystkę personalną przeprowadzał zbyt wolno. Jeśli dobrze rozumiem, podobny zarzut kierowany jest pod adresem Ludwika Dorna. Dorn wyrażnie popełniał ten sam grzech, tolerował stare.

Ale o Dornie mówilo się, że wymienia pół resortu.

– Widocznie za wolno. Ich błędem był brak czujności rewolucyjnej. Obaj panowie ulegali bowiem wpływom niewłaściwych ludzi, doceniając ich kompetencje i znajomość problemów. Pamiętam pani, pół roku temu Jarosław Kaczyński ubolewał, że wykształceni ludzie należą



ALEKSANDER SMOLAR, politolog, prezes Fundacji imienia Stefana Batorego

do „układu”. Trzeba więc stare elity zastępować nowymi, niezależnie od kompetencji. Porażającą ilustracją tych tendencji była niezwykła barokowa gala, w którą zamieniono nominację nowego ministra obrony. To zwolnione tempo, te fanfary co parę minut, ta wojskowa oprawa!

Jak pan to interpretuje?

– Jako chęć nadania władzy królewskiego splendoru. A co to oznacza? Całkowitą centralizację. Władza ma być całkowicie skoncentrowana w rękach braci Kaczyńskich, czego dowodem właśnie prezydencka uroczystość. Wszelki brak zgody, wszelkie elementy dyskusji są natychmiast dławione i represjonowane.

Ludzie muszą czuć majestat i siłę władzy.

– Ależ to całkowite zaprzeczenie demokracji! Gdy rok temu Kaczyńscy doszli do władzy, uważałem, wbrew opiniiom wielu moich kolegów, że nie ma zagrożenia dla demokracji. Uważałem, że Kaczyńscy są antyliberalnymi zwolennikami demokracji, w której nie istnieją żadne ograniczenia dla władzy politycznej. Stąd ich zapowiedzi walki z NBP, z Trybunałem Konstytucyjnym, z elitami. Obawiałem się natomiast, jak się okazało słusznie, postępującego chaosu. Oceñałem Sikorskiego dość krytycznie, ale usuwając go w tym właśnie momencie, naraża się życie wielu ludzi. Nie dostrzegam w działaniach władzy żadnej logiki. Co więcej, mam wrażenie, jakbym się znalazł w państwie króla Ubu. W Polsce, czyli nigdzie. Kaczyńscy chcą dodać splendoru ojczyźnie, mówią dużo o patriotyzmie, a równocześnie coraz bardziej ośmieszają i pomniejszają państwo.

Rok temu nie widział pan zagrożenia dla demokracji. A dziś, po zmianach w MSWiA, po koncentracji działań policji i prokuratora niemal w jednych rękach, zmienił pan zdanie?

– Byłem większym optymistą rok temu. To prawda. Teraz dostrzegam, jak Kaczyńscy niszczą esencję demokracji. Zaczynając od spraw tak drobnych jak ukrywanie informacji o prawdziwych przyczynach dymisji Ludwika Dorna. Centralizacja pozbawiana mechanizmów kontroli

wewnętrznej jest zaprzeczeniem demokracji i równocześnie zaproszeniem do nadużyć. Kaczyńscy rządzą poprzez strach, niepokój, arbitralność w podejmowaniu decyzji. Zagrożeniem dla demokracji jest również sposób uprawiania polityki zagranicznej. Premier ośmiesza się, mówiąc, że nie będziemy jej prowadzić już nawet nie na kolanach, ale „na czworakach”. Tego typu patologie retoryki są miarą utraty kontaktu z rzeczywistością.

A może premier jest niezadowolony z braku efektów rozbijania „układu”?

– Nie mogę tego wykluczyć. Ale im bardziej próbuje się dowodzić istnienia „układu”, tym bardziej go nie ma. Kaczyński robi tylko tajemnicze miny i sugeruje, że gdybyśmy wiedzieli to co on, bylibyśmy równie przerażeni. Sam się zastanawiam, czy on w to rzeczywiście wierzy.

Już niedługo mamy się dowiedzieć. Z raportu o WSI.

– Coś czuję, że ten raport okaże się nadmuchanym balonem. Jakoś też premier coraz rzadziej o tym mówi. Ale myślę, że ma pani rację. Właściwie w każdej dziedzinie, nie tylko w rozbijaniu „układu”, brakuje sukcesów. W służbie zdrowia, która miała być syntezą pozytywnego liberalizmu z etatyzmem – kompletny bałagan podkopujący sztafardową koncepcję solidarnego państwa. Brutalność, z jaką zabiera się szpitalom najpotrzebniejsze rzeczy, jest horrorem. Możemy więc mieć do czynienia z przyspieszeniem rewolucyjnym w sensie symboliki i w sensie zmiany personelu. W teorii organizacji jedną z definicji władzy jest rządzenie poprzez niepewność. Im bardziej jesteśmy zdolni kreować warunki niepewności dla innych, tym bardziej ich kontrolujemy. I to jest trafna ocena sposobu sprawowania władzy przez braci Kaczyńskich.

Ufają tylko tym bezwzględnie posłuszny, a oni i tak cały czas drżą o zakres swoich wpływów. Bo skoro odszedł Dorn, może odejść każdy.

– Oczywiście ufa się tylko oddanej drużynie, która wykona każdy, najbardziej nawet szalony pomysł. Widzimy, jak nam fundują igrzyska, a nie rozwiązywanie prawdziwych problemów.

Ku czemu to wszystko zmierza?

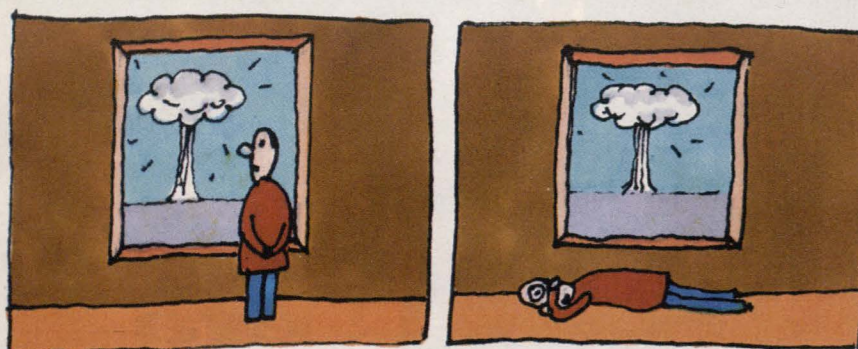
– Każda hipoteza jest możliwa.

Nowe wybory?

– Najmniej prawdopodobne. Zdolności koalicyjne PiS zostały zredukowane do zera. Pożarli już to, co mieli do pożarcia, teraz dobijają Leppera. Będą raczej dążyć do wypełnienia kadencji. Sprzyjają temu napływające z Unii Europejskiej pieniądze neutralizujące negatywne skutki rządzenia. Jeśli chodzi o sferę polityczną, to przyszłość widzę raczej czarno. Pograżanie się w chaosie wewnętrznym i w postępującej samozolacji na zewnątrz. Symboliczna była dla mnie nieobecność Kaczyńskich w Davos.

Czym pan ją tłumaczy?

– Polska stała się zakładnikiem indywidualnych problemów psychologicznych prezydenta i premiera. To rzadki przypadek w historii. ■



Marek Raczkowski

ŠkodaRoomster



Nigdy nie wiesz, kiedy przyda Ci się więcej miejsca.



ŠkodaRoomster już za 15 467 zł*

Ty też przekonaj się jak wygodna i przestronna jest Škoda Roomster. Teraz okazja jest wyjątkowa, bo możesz ją kupić w „Kredycie 3 x 1/3” Volkswagen Bank Polska. Najpierw wpłacasz jedynie 15 467 zł, po roku kolejną 1/3 ceny, i ostatnią 1/3 po dwóch latach. **Wszystko bez prowizji i odsetek.** Dodatkowo możesz dostać wyjątkowego iPoda shuffle, który zmieści dużo Twojej ulubionej muzyki. Škoda Roomster zawsze daje Ci przestrzeń. O szczegóły oferty zapytaj Autoryzowanego Dealera Škody. www.skoda-auto.pl

* Podana kwota stanowi pierwszą ratę kredytu. Przykładowa RRSO z uwzględnieniem kosztu ubezpieczenia AC dla samochodu Roomster 1.2/51 kW (70 KM) o wartości 46 400 PLN wynosi 6,35%.

ŠkodaKredyt
VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.





Uroczystość otwarcia synagogi w budynku dawnej szkoły talmudycznej w Lublinie

Mistrz wraca do Lublina

W Lublinie odradza się największa światowa jesziwa, czyli wyższa szkoła talmudyczna kształcąca rabinów

Pierwszym krokiem w rekonstrukcji lubelskiej jesziwy jest otwarcie w miniony weekend synagogi. Mieści się w tym samym co przed wojną budynku, przez lata użytkowanym przez lubelską Akademię Medyczną. Gmina żydowska odzyskała go w 2003 roku, dwa lata później rozpoczął się remont. Odstaurowanie synagogi kosztowało milion dolarów i w całości zostało sfinansowane – po raz pierwszy

od czasów II wojny światowej – przez Żydów żyjących w Polsce. Kilkanaście synagog działających w kraju (z przeszło tysiąca, które istniały w Polsce przed wojną) odbudowało Ministerstwo Kultury albo prywatni darczyńcy z zagranicy. Dziś dawne świątynie pełnią funkcję miejsc pamięci lub ośrodków kulturalnych, jedynie w warszawskiej i krakowskiej odbywają się regularne nabożeństwa. Naczelny rabin Polski Michael Schudrich o lubelskiej synagodze mówi, że „odradza się nie jako muzeum, lecz jako miejsce żywe. Otwarcie jesziwy i pierwszej synagogi jest znakiem, że jesteśmy, jak byliśmy, i możemy mieszkać w Polsce”. Przewodniczący żydowskiej gminy wyznaniowej w Warszawie Piotr Kadłcik dodaje: – Po raz pierwszy pokazujemy, że

możemy zbudować coś dla siebie, że Żydzi w Polsce to nie tylko szoah, ale przede wszystkim blisko tysiąc lat przepięknej historii na ziemiach polskich. W sześciopiętrowym budynku lubelskiej jesziwy z lat 20. ubiegłego wieku synagoga zajmuje aż trzy piętra. Może pomieścić 300 osób. Wkrótce ma tu powstać także muzeum chasydyzmu, bo przed wojną Lublin – jak podkreśla Jan Gebert, rzecznik społeczności żydowskiej w Polsce – był najważniejszym adresem dla chasydów z całego świata. Kolejną inwestycją będzie mykwa – miejsce służące do rytualnych kąpielí oczyszczających. Na szabasowe uroczystości do Lublina zjechało ponad pół tysiąca Żydów z całego świata, nawet z odległej Australii.

Kraków funta wart

Władze Krakowa postanowiły wytoczyć wojnę „alkoholowo-seksualnym” turystom. Chodzi przede wszystkim o tysiące młodych Brytyjczyków, którzy przybywają pod Wawel, by zabawić się szybko, głośno i tanio. Na Wyspach Brytyjskich Kraków zyskał już sławę meliny Europy. W wielu miastach spotkać tam można ogłoszenia firm turystycznych na billboardach: „Wysokiej klasy piwo w Krakowie za jednego funta”. Efekt? Stylowe krakowskie puby zamieniają się powoli w speluny. – Po jednym z angielskich wieczorów kawalerskich miałem wrażenie, że przez mój lokal przeleciał tajfun – wspomina Adam Goniec, właściciel knajpki na krakowskim Starym Mieście. – Polamane stoły, rozbita lustra, wybite szyby, a na podłodze, pokotem wśród petów i butelek po piwie kilkudziesięciu pijanych jak bela Szkotów. Dziś na drzwiach pubu Gońca wisi kartka z napisem (po an-

gielsku), że w tym miejscu nie obsługuje się obywateli Wysp Brytyjskich. Podobne obwieszczenia wiszą na wielu innych lokalach. Właściciele pubów zapewniają, że zakazy nie dotyczą „porządnych” gości. Ci zresztą wybierają raczej restauracje, a nie puby oferujące głównie piwo. Władze Krakowa zapowiadają, że w najbliższym czasie ruszy w Europie kampania reklamowa promująca „wysokie walory” miasta. Obok billboardów o „jednym funcie” mają pojawić się tablice sławiące krakowskie wydarzenia kulturalne. Wzorem dla Krakowa mają być miasta takie jak Edynburg czy Salzburg, do których młodych ludzi przyciąga nie niska cena piwa, lecz wysokiej klasy festiwale. Problem w tym, że klasa krakowskich festiwali wciąż pozostawia wiele do życzenia. ASZ

Brytyjczycy upodobili sobie weekendy kawalerskie w Krakowie



Fot. Michał Dąbrowski



Illuminowany rekonstruowany z 1455 roku dostępny w Internecie

Kochanowski online

Polska wersja Europejskiej Biblioteki Cyfrowej umożliwia korzystanie z katalogów oraz zbiorów bibliotek na całym kontynencie

Portal www.theeuropeanlibrary.org pozwala bez ruszania się z fotela przeszukiwać katalogi bibliotek narodowych z 47 krajów. W sieci jest już nawet dostępna część zbiorów. Z największej liczby woluminów pozwala korzystać francuska biblioteka Gallica (70 tysięcy książek i 250 tysięcy innych obiektów: filmy, mapy, grafiki). Polskie zbiory (znajdziemy je w podkatalogu Polska), choć liczą na razie zaledwie nieco ponad 200 pozycji, są prawdziwą gratką. Biblioteka Narodowa w pierwszej kolejności udostępniła obiekty nieosiągalne dla zwykłego czytelnika – zabytkowe rękopisy, pierwodruki, XIX-wieczne gazety. Na ekranie możemy na przykład obejrzeć manuskrypt „Kazań świętokrzyskich” lub „Psalter florentyński”, a także pierwsze wydania dzieł klasyków, między innymi „Threny” (sic!) Kochanowskiego bądź rzadko dostępne opracowania, jak „Opis obyczajów za panowania Augusta III” Jędrzeja Kitowicza.

Biblioteki digitalizują najpierw dzieła, do których wygasły już prawa autorskie, i w miarę funduszy wykupują prawa do nowszych. Już za rok portal ma udostępniać ponad dwa miliony dokumentów cyfrowych, a za trzy lata – sześć milionów. AJ

218 złotych

podwyżki dostaną wszyscy żołnierze zawodowi Wojska Polskiego. W naszej armii służy ich obecnie 83 tysiące, zarabiają średnio 2,5 tysiąca złotych brutto. Żołd szeregowca odbywającego zasadniczą służbę wojskową wynosi 150 złotych i w ostatnim czasie nie był podwyższany. (GREG)



Policja niechętnie psuje imprezy

Kto hałasuje, ten pożałuje

Nawet 14 dni więzienia można będzie dostać za zakłócenie ciszy nocnej, jeśli Sejm przegłosuje nowelizację kodeksu wykroczeń. Dziś policja w takich sprawach niechętnie interweniuje. Straż miejska w Warszawie mówi, że może przyjechać, ale dodaje, że skieruje wniosek do sądu grodzkiego, a zgłaszający będzie musiał występować jako świadek. W dodatku bez zeznań wszystkich mieszkańców nie ma co liczyć na wygraną. Jeśli więc imprezujący sąsiad nie obudzi przynajmniej połowy bloku, to może w najlepsze bawić się dalej. – Po nowelizacji wystarczy, że tylko jedna osoba dozna uszczerbku na spoczynku nocnym poprzez hałas, alarm czy inny wybrzyk, żeby sprawca dostał 14 dni aresztu albo grzywnę – tłumaczy Jerzy Łabuda z Ministerstwa Sprawiedliwości. Nowe przepisy mogą wejść w życie jeszcze w tym roku. JUL

Polska pod flagą szaro-buraczną

Flagi są dla krajów tym, czym logo dla firm – częścią wizerunku – dlatego trzeba pilnować ich parametrów

Gdyby puszki coca-coli w sklepie nagle stały się jasnoczerwone, pomyślałaby pani, że to jakaś podróba albo firma schodzi na psy. W Polsce trudno znaleźć dwa budynki, przed którymi barwy polskiej flagi byłyby podobne. Jedna szaro-cynobrowa, inna buraczana. I nikt się tym niechlujstwem nie przejmie – denerwuje się Andrzej Ludwik Włoszczyński, grafik i właściciel firmy projektującej logo. Wzór polskich barw w ustawie z 1980 roku o godle, barwach i hymnie RP podano w przestarzałym już systemie CIELUV. Biel według ustawy ma parametr jasności Y=82. Po przełożeniu na ekran komputera wychodzi szary. – Widząc takie efekty, każdy daje spokój



Fot. Sławomir Kaminski/WAG

przepisom i robi, jak mu pasuje – dodaje Włoszczyński. Bałagan miała uporządkować nowa ustawa przygotowana pod patronatem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego przez prezydencką Komisję Heraldyczną przy MSWiA. – W projekcie wprowadziliśmy barwy w systemie CMYK – zapewnia mnie członek komisji Alfred Znamierowski, w latach 80. dy-

rektor artystyczny największej na świecie wytwórni flag Annin & Co. w New Jersey. Niestety, po zmianie władzy prace komisji przerwano, a ustawa poszła w ką. W Kancelarii Prezydenta nie wiedzą nawet o jej istnieniu. Znamierowski to nie dziwi: – Trudno wymagać, by przejmowali się brakiem wzorców kolorystycznych, skoro na co dzień popełniają takie wpadki jak pomylenie flagi polskiej z monachijską czy czeskiej z rosyjską. Kontrola NIK w 2005 roku wykazała, że w połowie wszystkich kontrolowanych jednostek administracji używano flag o niewłaściwych proporcjach lub barwach nieodpowiadających wzorowi. AJ

Z Dornowego na polski

Były szef resortu spraw wewnętrznych Ludwik Dorn styl wyrażania ma bogaty, potoczny, chwalony przez językoznawców. Jednak enigmatycznymi sformułowaniami, których użył w swoim złożonym po dy-misji oświadczeniu, zabił człowieka nawet specjalistom. Z Dornowego na język polski tłumaczy profesor Jerzy Bralczyk. „Zakres upoważnień, które przekaże mi decy-

zjami atrybucyjnymi premier”. – Atrybucja to przypisywanie komuś jakichś cech. Z pewnością chodziło o decyzje, które przypisują wicepremierowi jakieś cechy, kompetencje, upoważnienia. „Urząd jest tylko zawsze substratem ludzkim urzędu”. – Substrat może być rozumiany jako „warstwa, podłoże”, także składnik podstawowy, podstawa, na



Ludwik Dorn

której wszystko się opiera. Myślę, że premier chciał przekazać, że urząd jest podstawą, która tworzy urząd, fundamentem urzędu – zastanawia się profesor. To, że Ludwik Dorn bajki pisze, wiedzieliśmy. Ale że ezopowym językiem? AJ

Fotoradarem w piratów

Na kierowców-piratów – dwa tysiące nowych fotoradarów pojawi się na drogach krajowych w ciągu najbliższego pół roku. Wiele zostanie zainstalowanych w miejscach, w których dotychczas znajdowały się tak zwane czarne punkty. – Z badań wynika, że 60 procent kierowców w ogóle nie zauważa tablic w czarnych punktach, a 10 procent w tych miejscach nawet



Fot. Michał Bieniewski/Reportier

przyspiesza! – mówi Artur Mrugasiewicz z Generalnej Dyrekcji Dróg i Autostrad. To powód, dla którego od kilku lat GDDiA nie stawia już nowych tablic informujących o niebezpiecznym miejscu. Od połowy lat 90. ustawiono ich w Polsce blisko sto. Teraz GDDiA chce poprawić bezpieczeństwo na drogach poprzez system fotoradarów oraz przebudowę dróg i skrzyżowań. Szkoda tylko, że program poprawy bezpieczeństwa ruchu został rozpisany na lata 2007–2013, a z ostrzeżenia o czarnych punktach zrezygnowano już dziś. SZCZEP

„VIVA!” wybiera najpiękniejszych

Hanna Smoktunowicz, Kayah, Monika Brodka, Agnieszka Grochowska, Danuta Stenka, Joanna Brodzik, Krzysztof Krauze, Piotr Adamczyk, Maciej Zakościelny, Borys Szybczyński i Michał Koterski – to tylko niektóre osoby spośród 50 nominowanych do plebiscytu dwutygodnika „VIVA!” w kategorii Najpiękniejsza Polka i Najpiękniejszy Polak. W tym roku czytelnicy magazynu wybierają swoich ulubieńców już po raz piąty. Kto w tym roku otrzyma tytuł VIVA! Najpiękniejsi, okaże się 19 lutego. Bezpośrednią relację z wielkiej gali, która odbędzie się w auli Politechniki Warszawskiej, będzie można obejrzeć w TVP2 o godzinie 20.

REKLAMA

Raport o WSI

• RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY •

Czytaj tylko w serwisie wiadomosci.wp.pl



INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY CIEKAWOSTKI

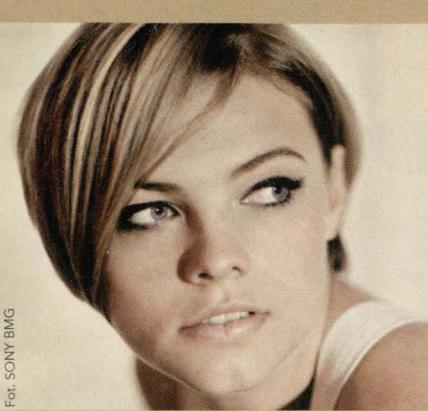


MOŻESZ WIĘCEJ

Twoje życie pełne kolorów

NOKIA Connecting People

www.nokia.com.pl



CHWAŁA
ANIA DĄBROWSKA
 26-letnia popowa wokalistka zdominowała nominacje do tegorocznych Fryderyków, nagrody polskiego przemysłu muzycznego. Typowana ośmiokrotnie (w jednej kategorii dwukrotnie) ma szansę aż na siedem statuetek. Wszystko to za piosenki z zeszlorzeczonego albumu „Kilka historii na ten sam temat”



CHWAŁA
KRZYSZTOF WÓJCIK
 Były prezydent Bytomia zarejestrował się w urzędzie pracy, mimo że jest radnym i za tę społeczną pracę dostaje 450 złotych miesięcznie na rękę. Za pracę w trzech komisjach rady miejskiej, do których się zgłosił, otrzyma kolejne 540 złotych.



LIDIA BĄGIŃSKA
 39-letnia adwokatka wybrana do Trybunału Konstytucyjnego w grudniu ubiegłego roku, rekomendowana przez LPR i Samoobronę, nie ma etycznych kwalifikacji – uznał Sąd Okręgowy w Warszawie, podtrzymując wyrok niższej instancji. Jako syndyk zatrudniała bowiem swego współnika z kancelarii adwokackiej i posła Samoobrony Marka Czarnieckiego. Mimo to Bagińska nie chce zrezygnować z posady w Trybunale. Nie została jeszcze zaprzysiężona. Jeśli to nastąpi, grozi jej postępowanie dyscyplinarne.



Teresa Pągowska na swoim wernisażu w krakowskiej galerii ASP, maj 2004 roku



Pusta pracownia **Teresa Pągowska** umarła, malując

Na biurku wśród kopert leżą dwie paczki papierosów marlboro light. Jedna napoczęta, druga pusta. „Tygodnik Powszechny” z wielką fotografią Ryszarda Kapuścińskiego, kilka innych gazet pełnych zdjęć zmarłego reportera. Karteluszki spraw codziennych zapisane kanciąstym piśmem. Wśród nich szukam tych kilku, na których Teresa Pągowska zapisała dla mnie parę swoich przemyśleń o sztuce. Zadzwońmy trzy tygodnie temu, by zaprosić mnie na rozmowę o twórczości moich rówieśników. Slabe zdrowie od jakiegoś czasu uniemożliwiało jej chodzenie na wystawy. Znała nową sztukę z gazet. Chciała, bym jej o tym poopowiadał po swojemu. Przyniosłem masłane bułki z malinami ze starożytnej cukierni. Wina nie, bo późnym wieczorem, po spotkaniu z Teresą, musiałem wyjechać z Warszawy samochodem. Była trochę niepokieszona, więc jednak otworzyliśmy lekkie białe wino – bez niego nie ma rozmowy. Naparzyliśmy dzbanek wścieklej kawy, na ten jeden wieczór stałem się nalogowym palaczem, zapalniczka przechodziła z rąk do rąk. Znow jest piątek, znow jestem w jej pracowni. Odszukałem kartkę.

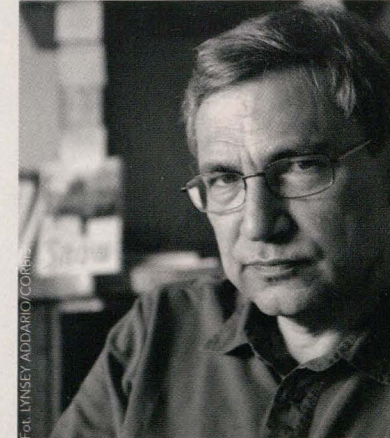
kie figury, lekko tylko zaznaczone ciemną farbą, zagubione na wielkich polaciach burej tkaniny. Ale pełno było tu także ptaków, kundli, zupełnie zaskakującego nieba, które Pągowska nakładła grubo, przecierała dłonią, eksperymentując. „Kobieta Budda” emanowała seksem jak obraz Modiglianego. Cieleśność tego obrazu była wręcz paraliżująca. Oglądamy namalowaną przez Pągowską scenę rodzajową z warszawskiej Pragi. Błękitem paryskim zaznaczone sylwety kamienic, mięsiste, pełne życia figury prostytutek, typków spod ciemnej gwiazdy. Malarka uśmiecha się na ich widok. Wspierając się na „szwedce”, słaba fizycznie, tworzyła ostatnio widoki plaż załudnionych przez przesycone gorącym ciałem. Być może właśnie to twórcze uniesienie wyczerpało skromne siły Teresy Pągowskiej. Pani Ola, opiekująca się malarką Ukrainką, która musiała w ostatnich tygodniach na krótko wrócić do kraju, dzwoniła po kilka razy dziennie, przypominając Pągowskiej, by koniecznie coś jadła. Wróciła parę dni po mojej wizycie. Syn Pągowskiej i Henryka Tomaszewskiego, mieszkający za granicą grafik Filip Pągowski, był w Warszawie na Boże Narodzenie. – Miała ostatnio tyle energii – mówi teraz, gdy przeglądam obrazy namalowane w ostatnich dniach. Ale nie tylko malowała. Pągowska, przez dziesięciolecie nauczyciel kolejnych pokoleń artystów, wciąż żywiła wielką ciekawość wobec tego, co robią młodzi. Zafascynowała ją Monika Sosnowska budująca zaskakujące instalacje architektoniczne. – Bardziej bym chciała poznać tę Sosnowską. Mógłbyś ją do mnie przywieźć następnym razem? – tak pożegnała mnie Teresa Pągowska. Obiecałem jej, że przywieżę. I to taksówką, a nie samochodem. Słowa nie dotrzymałem.

MARCEL ANDINO VELEZ

Piłat Rospudy

Kim jest wojewoda podlaski **Bogdan Paszkowski**, który właśnie podpisał decyzję o zniszczeniu Doliny Rospudy?

Zakładał kiedyś PPS w Białymstoku. – Bogusia tak jak mnie fascynowała idea partii społecznikowskiej – wspomina jego kolega ze studiów Krzysztof Bil-Jaruzelski, dziś białostocki radny SdPi. Fascynacja nie była zbyt silna, bo Paszkowski szybko wstąpił do Porozumienia Centrum, a później gładko przeszedł do PiS. Lata wierności zaowocowały 18 stycznia 2007 roku. Powołano go na stanowisko wojewody podlaskiego i od razu rzucono na głęboką wodę. To on podpisał decyzję o zniszczeniu Doliny Rospudy, unikalnego obszaru pierwotnej przyrody, który ma zostać przeciety czteropasmową autostradą. Mimo ostrzeżenia Komisji Europejskiej, że inwestycja łamie prawo wspólnotowe. – Po prostu musiałem podpisać, bo takie jest prawo – tłumaczy wojewoda. – Decyzja jest tylko decyzją.



Nie ma śniegu w Turcji
 Turecki pisarz noblista **Orhan Pamuk** uciekł ze swojego kraju w obawie o własne życie

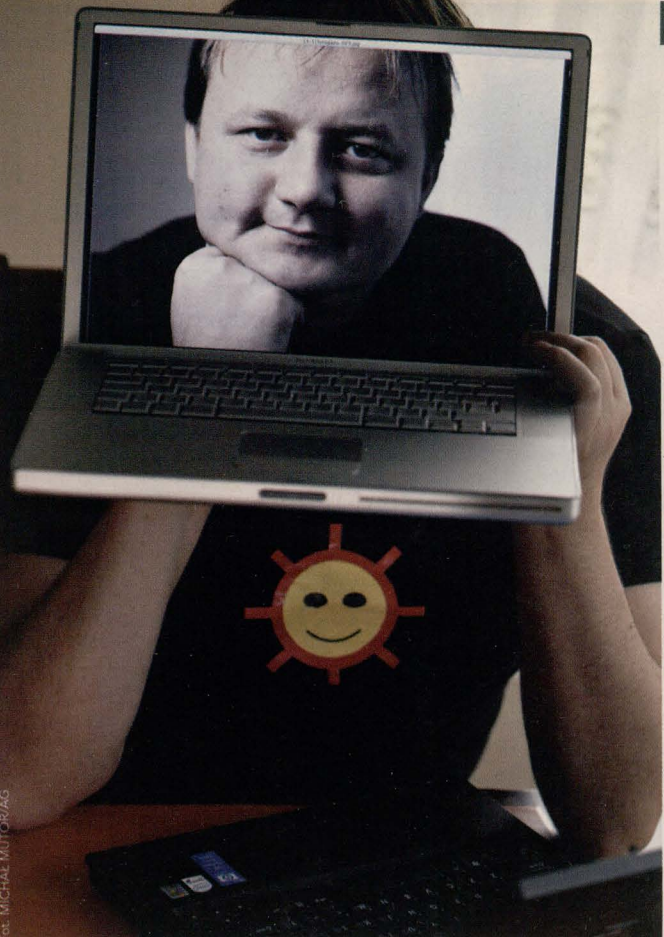
Powiedzcie Orhanowi Pamukowi, aby zmałdzał – krzyczał po zatrzymaniu zabójca tureckiego dziennikarza Hrant Dink, zamordowanego 19 stycznia w Stambule. Dink „nie zmałdzał”. Zawsze podkreślał, że Turcja dopuściła się ludobójstwa na Ormianach w 1915 roku. Według prawa wielokrotnie znieważał „tureckość”. A Turcyccy nacjonaliści postanowili wymierzyć mu sprawiedliwość. 55-letni Pamuk prawdopodobnie postanowił „zmałdrzeć”. Poruszający się od miesiąca z obstawą pisarz na początku lutego odleciał do Nowego Jorku. Dziennikarzem na lotnisku Atatürk rzucił tylko, że jedzie do Stanów z serią wykładów. Dzień wcześniej autor bestsellerowego „Śniegu” odwołał podróż do Berlina, gdzie miał odebrać doktorat honoris causa. Za oceanem kilka amerykańskich uniwersytetów chce go zatrzymać na stałe. Ubiegłoroczny noblista uciekł z Turcji w obawie o życie. Tak jak Dink przed swoją śmiercią Pamuk otrzymuje pogroźki i tak jak Dink używa zakazanego w kontekście kaźni Ormian słowa „ludobójstwo”, za co w Turcji grozi zabójstwo.

LUC

Wzbogacająco zainspirowany

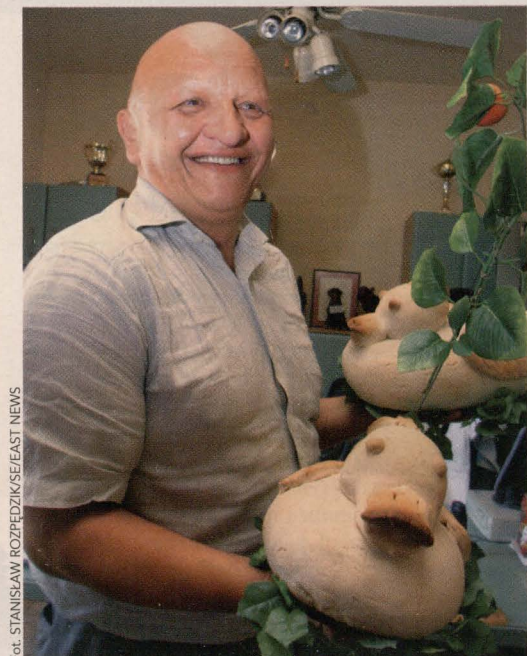
Cztery lata temu firma **Łukasza Foltyna** mieściła się w dwóch pokojach, dziś jest warta sto milionów dolarów i wchodzi na giełdę

Pomysł stworzenia internetowego komunikatora 33-letniemu Łukaszowi Foltynowi podsunęła pewna transakcja w 1998 roku: za 287 milionów dolarów America Online kupiła izraelski komunikator ICQ. Foltyn uznał, że skopiowanie tego sukcesu nie będzie trudne. Jeszcze jako student matematyki Uniwersytetu Warszawskiego zarabiał na życie, sprzedając między innymi Sejmowi i Senatowi program do zarządzania plikami i katalogami Foltyn Commander napisany na wzór Norton Commandera. Z komunikatorem nie było już tak prosto. Najpierw trzeba było zainwestować 700 tysięcy złotych w zamian za 45 procent akcji firmy zgodził się wyłożyć fundusz inwestycyjny Warsaw Equity Holding.



GREG

Foltyn, zjadając górę pizzy i wypijając morze kawy, stworzył Gadu-Gadu w dwa lata. Jego komunikator wystartował w 2000 roku. Po roku miał 250 tysięcy użytkowników, dziś – sześć milionów. Jest największym komunikatorem internetowym w Polsce. Zainteresowanie akcjami wchodzącej na giełdę firmy było olbrzymie – trzeba było redukować zamówienia o 95 procent (czyli jeśli ktoś zamawiał sto akcji, otrzymał pięć). Sprzedano je po najwyższej cenie. Wzbogacony Łukasz Foltyn (posiada 14 procent akcji firmy) ma teraz inny cel. Jako jeden z publicystów lewicowego pisma „Trybuna Robotnicza” i portalu Lewica.pl chce zbudować silną lewicę w Polsce.



FOL. STANISŁAW ROZPEDIK/SEFAST NEWS

Doczekał się

Lepiej nie robić głupich aluzji do wartości IV RP tak jak **Kazimierz Czekaj**

W ramach kary za dwa bochenki chleba w kształcie kaczorów Kazimierz Czekaj, krakowski piekarz i radny wojewódzki (PO), pożegnał się właśnie z rolą przewodniczącego Małopolskiej Rady Produktów Regionalnych. Ze stanowiska usunął piekarza małopolski marszałek Marek Nawara z PiS, któremu bezpośrednio Rada podlega. Czekaj naraził się Prawu i Sprawiedliwości we wrze-

śniu ubiegłego roku, gdy podczas organizowanego w Krakowie Festiwalu Smaku wystawił na stoisku rumiane kaczkę, w tym jedną z pieprzykiem, drugą bez. Wcześniej Czekajowi udało się wypieć między innymi smoka wawelskiego i kościół Mariacki. Piekarz nie ukrywał, że w przeciwieństwie do smoka chlebowe kaczkory mają kontekst polityczny i nawiązują do „wartości IV Rzeczypospolitej”. Zapewniał jednak, że są niejadalne, zatem o zniewadze organów państwowych nie może być mowy. – Wyglądają ładnie, ale w środku nie mają żadnych walorów smakowych – wyjaśniał. W małopolskim PiS zawrzało, ale Czekajowi nie można było nic zrobić – w tym czasie marszałkiem województwa był Janusz Sepiół, kolega partyjny Czekaja. Na zemstę trzeba było poczekać do czasu, gdy w urzędzie zmieni się obsada. Piekarzowi się zatem nie upiekło, mimo że w Małopolsce ceniony jest wysoko, między innymi za stworzenie na polskich lotniskach sieci stoisk regionalnych. Jest także zwolennikiem ochrony prawnej dla krakowskiego obwarzanka, marzy o legalizacji sliwownicy łąckiej. Słynie również z niekonwencjonalnych pomysłów, niedawno w jego piekarni odbyła się rozbiórana sesja „Playboya”, co – jak głosi krakowska plotka – dołalo jeszcze oliwy do ognia.

FOL. MACIEJ NABRODZIK/SEFAST NEWS

Minister na trzy plus

Swoje urządowanie nowy szef MON **Aleksander Szczygło** zaczyna od wpadek

Nie poleciał w miniony weekend na Monachijską Konferencję Bezpieczeństwa, która dla wojskowych i ministrów obrony jest tym, czym dla ekonomistów i polityków Forum Ekonomiczne w Davos. – Zaproszenie było imienne dla ministra Radka Sikorskiego – tłumaczy rzecznik resortu Piotr Paszkowski. Podobno szybka wymiana szefa MON nie pozwoliła zorganizować wyjazdu nowego ministra. Nie było go także na spotkaniu ministrów obrony NATO w Sewilli (8-9 lutego), gdzie omawiano przygotowania do wiosennej ofensywy w Afganistanie, w której uczestniczyć będzie 1200 polskich żołnierzy. W Sewilli MON reprezentował podsekretarz stanu Marek Winid, jedyny z kierownictwa resortu obrony, który przyznaje się do znajomości języka angielskiego. Tymczasem ani Aleksander Szczygło, ani jego zastępca Marek Zająka (także od dawna związany z Lechem Kaczyńskim) nie deklarują w swych życiorysach biegłości w postępowaniu się obcymi językami. – Sądząc z wykształcenia, pan minister włada angielskim. Kończył podyplomowe studia na Uniwersytecie w Wisconsin. Nie mogę jednak oceniać stopnia tej biegłości, bo nigdy nie słyszałem ministra Szczygła mówiącego po angielsku – przyznaje rzecznik MON. Sam minister zapytany o ocenę swego angielskiego daje sobie trzy z plusem. APA



REKLAMA

NOKIA
 Connecting People

NOKIA 6131

NOKIA 7373

era

MOŻESZ WIĘCEJ



Śmierć czarnej wdowy Anny S.

39-letnia modelka „Playboya”, która zasłynęła obfitym biustem i małżeństwem z 89-letnim miliarderem, zmarła z przedawkowania narkotyków. Na drodze panny Smith trup siał się gęsto. Najpierw po 14-miesięcznym małżeństwie zmarł jej mąż, poznany w barze, gdzie tańczyła jako striptizerka. Po 17-letnim procesie zmarł syn miliardera, z którym toczyła spór o jego fortunę. Jakby tego było mało, w ubiegłym roku zmarł także 20-letni syn Anny Nicole Smith. Do tragedii doszło na jej oczach – syn umarł w pokoju szpitalnym, gdzie Smith leżała z nowo narodzoną córeczką. Modelka zmarła na skutek pomieszenia tabletek na odchudzenie (które notabene reklamowała) z alkoholem i narkotykami. Teraz szykuje się kolejna batalia sądowa – o ojcostwo jej rocznej córki, która odziedziczy feralny spadek. ACH

2450 dolarów

dostanie J.K. Rowling za każde słowo siódmego tomu przygód Harry'ego Pottera. Książka ukaże się w krajach anglojęzycznych 21 lipca, minutę po północy czasu brytyjskiego. Angielski tytuł ostatniego tomu brzmi „Harry Potter and Deathly Hallows” – po polsku „Harry Potter i Śmiertelne Relikwie”. JOA

Rosja zbroi się na potęgę

Armia rosyjska kupi osiem podwodnych okrętów atomowych, cztery lotniskowce i kilka satelitów szpiegowskich. Powód? Tarcza antyrakietowa

Dziś nasza gotowość bojowa jest najwyższa od 1991 roku, a wkrótce osiągniemy standardy z czasów sowieckich – powiedział rosyjski minister obrony Siergiej Iwanow, przedstawiając w Dumie plan doinwestowania armii Federacji Rosyjskiej.

17 międzykontynentalnych rakiet balistycznych, osiem atomowych okrętów podwodnych, cztery lotniskowce, kilka satelitów szpiegowskich i nowiutki system wczesnego wykrywania – to wszystko zbudują rosyjskie zakłady zbrojeniowe, które nie widziały takich zamówień od upadku ZSRR. Koszty modernizacji armii pokryje nadwyżka budżetowa, którą zgromadziła Rosja dzięki wysokim cenom ropy i gazu.

Moment ogłoszenia zakupów jest nieprzypadkowy: Amerykanie finalizują rozmowy z Czechami i Polską na temat rozlokowania w Europie Środkowej elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej. – Nie zgadzamy się z USA w sprawie przyszłości Kosowa, nie zgadzamy się z amerykańskim embargiem wobec naszych firm zbrojeniowych i nie rozumiemy, dlaczego USA chcą budować tarczę antyrakietową w Europie – relacjonował swoją ostatnią wizytę za oceanem Siergiej Lawrow, rosyjski minister spraw zagranicznych.

Amerykanie tłumaczą, że tarcza nie jest wymierzona w Rosję, ma służyć obronie przed rakietami wystrzelonymi z Iranu lub z Korei Północnej. Władimir Putin uznaje jednak taką argumentację za „niedorzeczną” i twierdzi, że amerykańskie instalacje w Czechach i Polsce zagrażają rosyjskiemu arsenałowi jądrowemu.

Mimo ambitnych zapowiedzi Iwanowa roczny budżet rosyjskiej armii podwyżczy to wciąż tylko 20. część amerykańskich wydatków na zbrojenia. Według najnowszej prognozy w 2008 roku amerykański departament obrony wyda 481 miliardów dolarów, i to nie licząc 235 miliardów na operacje w Iraku i w Afganistanie. LUC



Modernizację ogłosił minister obrony Siergiej Iwanow, jeden z kandydatów na prezydenta



Najnowszy nabytek rosyjskich sił powietrznych – myśliwiec wielozadaniowy Su-34

Fot. ITAR-TASS/FORBIM



Amerykańscy żołnierze przeszukują domy w północnym Bagdadzie

Fot. DAVID FURST/AP/EAST NEWS

Bagdad: oczyścić i utrzymać

Bitwa o Bagdad rozpoczęła się. Przed decyzją o ewakuacji Amerykanie podejmują ostatnią próbę opanowania irackiej wojny domowej. Przez pacyfikację stolicy

Oczyścić i utrzymać – taki jest cel amerykańskiej ofensywy w Bagdadzie, która rozpoczęła się w ubiegły czwartek. Miasto zostało podzielone na 11 sektorów, każdy jest przezezwany przez siły rządowe i żołnierzy USA wspartych przez dodatkowe, 20-tysięczny kontyngent przysłany do Iraku specjalnie w tym celu. Amerykanie chcą oczyścić miasto z szyickich i sunnickich bojówek, które zamieniły stolicę Iraku w pole krwawej wojny wyznaniowej.

Najpoważniejszym wrogiem jest 50-tysięczna Armia Mahdiego. Kierowana przez szyickiego duchownego Muktaadę As-Sadra szyicka bojówka sprawuje całkowitą kontro-

lę nad Sadr City, dwumilionową szyicką dzielnicą Bagdadu. Przed ofensywą Amerykanie aresztowali ponad 600 osób należących do armii, ale jej rozbrojenie może być niewykonalne, zwłaszcza że szyicy stanowią też większość żołnierzy w oficjalnej armii irackiej. As-Sadr zapowiedział, że unika konfrontacji i część jego ludzi zejdzie do podziemia.

Amerykańska operacja nasiliła starcia bojówek i ataki bombowe na ludność cywilną. Każdej nocy słychać strzały, domy płoną na kilometr od tak zwanej zielonej strefy, dzielnicy, gdzie urzędują zachodni oficjele, a USA budują ambasadę wielkości Watyka-

nu. Stał się ruch uliczny – nikt nie jeździ samochodami, bo pojazdy są natychmiast konfiskowane przez bojówkarzy, a samo wyjście na ulicę grozi śmiercią. Restauracje i sklepy są od dawna pozamykane, handel odbywa się na targach – ulubionym celu ataków bombowych.

Ofensywa nazywana oficjalnie „operacją bezpieczeństwa” to część nowej strategii Pentagonu dla Iraku. Amerykańscy wojskowi zakładają, że jeśli uda im się odzyskać kontrolę nad Bagdadem, zdołają też zdławić wojnę domową w reszcie kraju. Jeśli bitwa o stolicę się nie powiedzie, Amerykanom pozostanie powolna ewakuacja. JOA



Głodujący od 90 dni baskijski terrorysta waży 40 kilogramów

Fot. THE TIMES/GALLS

teście przeciw ETA i rządowi jednocześnie. Nagłośniona przez media głodówka baskijskiego terrorysty stawia Zapatero pod ścianą. Jeśli go wypuści, opozycja doprowadzi do przedterminowych wyborów. Jeśli de Juana umrze w więzieniu, ETA najpewniej wznowi ataki, co w konsekwencji może doprowadzić do tego samego. ACH

REKLAMA

Archeolodzy w ogniu

Napaść na wykopaliska pod Wzgórzem Świątynnym w Jerozolimie. Palestyńczycy uważają, że Izraelczycy chcą podkopać fundamenty meczetu Al-Aksa

W ubiegły piątek tłum wściekłych Palestyńczyków wdarł się na Wzgórze Świątynne, a ostrzelany przez izraelskie służby porządkowe zabarykadował w meczecie Al-Aksa.

Przyczyną zamieszek jest budowa nowej rampy na Wzgórze – przed rozpoczęciem prac Izraelczycy otworzyli wykopaliska, by podczas budowy nie zniszczyć żadnych zabytków. Palestyńczycy obawiają się, że archeolodzy podkopią fundamenty świętego meczetu.

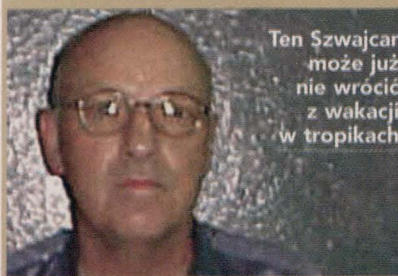
Izraelscy archeolodzy szukają zabytków pod Wzgórzem Świątynnym

W podobnych okolicznościach we wrześniu 2000 roku wybuchło ostatnie powstanie palestyńskie. Powodem starć, które przerodziły się w drugą Intifadę, była wizyta Ariela Szarona na Wzgórze. By uniknąć napięć, tym razem Izraelczycy zaproponowali umieszczenie na wykopaliskach kamer monitorujących prace 24 godziny na dobę. Mimo to duchowni muzułmańscy wzywali wiernych do protestów.

Półtoragodzinne oblężenie zakończyły negocjacje z policją. Palestyńczycy opuścili Wzgórze, 17 spośród 150 protestujących zostało zatrzymanych, około 40 odniosło obrażenia. LUC

75 lat za obrazę króla Tajlandii

Kara grozi 57-letniemu Szwajcarowi, który po pijanemu zamalował czarną farbą portret króla. Jak poinformowały tajlandzkie władze, proces rozpocznie się w przyszłym miesiącu. Tajlandzki król Bhumibol, najdłużej panujący monarcha na świecie, jest przez Tajów uważany nieomalże za Boga, a na swoje nieszczęście Oliver Rudolf Jufera dopuścił się obrazy w dzień królewskich urodzin.



Ten Szwajcar może już nie wrócić z wakacji w tropikach



NOKIA Connecting People

NOKIA 7373 NOKIA 6131

MOŻESZ WIĘCEJ

Chce być kanclerzem, będzie kierownikiem

Z rządu odeszli najbardziej kompetentni ministrowie – trąbili dziennikarze przez większość ubiegłego tygodnia. Gdy Ludwik Dorn i Radosław Sikorski rządzą, nikt ich specjalnie nie doceniał. Wystarczyła dymisja, by stali się niezastąpionymi członkami rządu, niemal gwarantami praworządności, po których już tylko pop-top. Bo nic tak bardzo nie nobilituje w oczach mediów jak wyrzucenie z rządu Jarosława Kaczyńskiego.

Kłopot w tym, że skupianie się na dymisjach, a zwłaszcza na ich tajemniczych kulisach, odwraca uwagę od politycznego zamysłu, jaki przyswiecał tym decyzjom. I wbrew temu, co mówiła chórem opozycja i tabuny oburzonych publicystów, w postępowaniu Kaczyńskiego jest logika, choć dość krótkowzroczna i, rzekłbym, mało kartezjańska. A więc o co chodzi, jeśli nie o przeroszt kompetencji ministrów nad egotycznym premierem?

Żeby zrozumieć logikę tych zmian, trzeba cofnąć się do jesieni 2005. Gdy Jarosław Kaczyński kompletował rząd Kazimierza Marcinkiewicza, hasło brzmiało „decentralizacja”. Gilowska, Sikorski, Dorn, Religa – te nazwiska miały po pierwsze, uwiarygodnić gabinet z nieznanym premierem na czele, po wtóre, ograniczyć władzę samego Marcinkiewicza. Na wywiadzie gdyby ten zechciał wysadzić pasażera na tylnym siedzeniu.

Sytuacja zmieniła się diametralnie w lipcu, kiedy Kaczyński wysadził Marcinkiewicza. Natychmiastowa rekonstrukcja gabinetu była niemożliwa, bo sama decyzja o zmianie szefa rządu budziła zbyt wiele kontrowersji. Tak jak z wprowadzaniem Leppera i Giertycha do rządu, tak i teraz Kaczyński odczekał pół roku. A gdy nadszedł czas, usunął z rządu nie tych merytorycznie najsłabszych, lecz politycznie najbardziej samodzielnych ministrów. Rzekoma nielojalność Sikorskiego wobec Kaczyńskich czy stara przyjaźń braci z Dornem nie miały tu nic do rzeczy.

Kaczyński nie wymienia ludzi, tylko przebudowuje kancelarię premiera w urząd kanclerski. Uszczuplając autonomię polityczną ministrów, przenosi planowanie polityki resortów i kluczowe decyzje do kancelarii. Istotne pytanie nie brzmi zatem, o co pokłócili się Ludwik z Jarosławem (podejrzewam, że pompowana przez obie strony tajemnica maskuje w istocie banalny pretekst), ale w jakim celu Kaczyński skłania władzę wykonawczą w kancelarii? Pierwsze, alarmistyczne wyjaśnienie głosi, że leje fundamenty pod dyktaturę. Drugie, jeszcze bardziej wątpliwe, że sżykuje wielkie reformy. Trzecie i najbardziej prawdopodobne jest takie, że jako człowiek z natury nieufny wobec ludzi, nieskory do dostrzegania złożoności problemów i zniecierpliwiony powolnością procedur demokratycznych premier Kaczyński uważa, że zrobi wszystko lepiej. Centralizuje władzę nie po to, by dokonać rewolucji ustrojowej czy reformatorskiej, ale dlatego, że nie potrafi delegować zadań i skutecznie egzekwować wyników. A premier, który administruje, zamiast rządzić, zajmuje się detalami zamiast wizją, nie będzie wielkim kanclerzem, tylko nieudolnym kierownikiem.

WAWRZYNEC SMOCZYŃSKI

Medytacje przy wyciągu

Ben Franklin twierdził, że „groz zaozczędzony to grosz zarobiony”, ale w wypadku narciarskiej wyprawy na górę Chopok w słowackich Tatrach (mniej więcej połowa kosztu wakacji np. w austriackich czy włoskich Alpach) zyski z oszczędności okazały się wyłącznie filozoficzne.

Stoję w kolejce do wyciągu na Jasnej i obserwuję modus operandi zebranych braci Słowian – dominują Polacy, Słowacy, Rosjanie i Ukraińcy. Próbuje zrozumieć, dlaczego ci tak przecież fajni, wydawałoby się – całkowicie normalni, uśmiechnięci, beztroscy młodzi ludzie jako zbiorowość postępują w sposób absolutnie kretyński. Rujnią przyjemność innym i samym sobie. Słowacy teoretycznie zrobili swoje: przygotowali świetne trasy, kupili i zainstalowali na Chopoku nowoczesne wyciągi. Ten, do którego czekamy, to szybkie sześciopersonowe krzesło. Identyczne systemy w Alpach bez problemów obsługują takie grupy narciarzy jak tutaj. Podjeżdża się na koniec kolejki, stopniowo przesuwa się do elektronicznej bramki, po jakichś kilkunastu minutach robi się hyc! na krzeselko i rusza z powrotem na trasę. Tu, w Jasnej, narty się zdejmują, gdyż większość osób w kolejce przepycha się, manewruje, by wyprzedzić innych. Frajerzy z nartami na nogach czekają najdłużej. Tu kolejkę atakuje się z nartami w rękę używanymi jak taran. Przed bramkami panuje nieludzki ścis; wielu idzie „na całość”, pokrzykując miarowo, napierając na tłum z boku, przewracając i łamiąc barierki, które mają porządkować kolejkę. Gdy po kilku dniach Słowacy zastępują plastikowe płotki mocnymi stalowymi, przelażą wierzchem tuż przed wyciągiem: czekający uczciwie, których jest większość, nie reagują. Obywatele postsowieckiej Europy zachowują korną czujność. Kobiety, dzieci i słabi duchem czekają w Jasnej po pół godziny i dłużej; wiedzą, że nie mogą liczyć na reakcję obsługi. Młodzi i zdeterminowani przeciskają się do wyciągu w kilka minut.

Co najciekawsze, krzesła rzadko jadą w górę z kompletem narciarzy. Zwykle są w połowie puste, zdarza się, że na wielkiej ławce jedzie jedna osoba. Dlaczego? Wszyscy, młodzi i starzy, którzy już dotarli do punktu, gdzie można wsiadać, przestają się spieszyć. Teraz skrzykują się, szukają, organizują w grupki i przepuszczają kolejne krzeselka.

Od powrotu trapi mnie zagadka postępowania narciarzy w Jasnej. Rozumiem brak wychowania: jego istotą jest nieliczenie się z potrzebami innych. Ale pozostaje jeszcze kwestia inteligencji. Jak wytłumaczyć tak nieracjonalne zachowanie tej wielonarodowej zbiorowości? Czy brak odruchów społecznych, nawyku samoograniczania się w imię interesu zbiorowego, jest aż tak oczywisty w naszej części świata? Kiedy ludzie odrzucają cywilizację nawet wtedy, gdy przynosi ona bezydkusyjne korzyści, racjonalista we mnie zaczyna czuć się nieswojo. Nawet w słoneczny, pięknie biały dzień.

MARIUSZ ZIOMECKI

Nie bawiłem się na „Rysiu”

Powyżej pozwoliłem sobie na jedyny w tym teście eufemizm. Bo wytrzymanie na „Rysiu” 143 minuty to tortura, choć recenzje w polskiej prasie zdają się temu zaprzeczać. Może dlatego, że Stanisław Tym to człowiek inteligentny, zabawny, powszechnie lubiany, nieskompromitowany. Słowem: gatunek chroniony. Zupełnie jak ryś. I choć na moim seansie część widowni skorzystała z wyjścia ewakuacyjnego grubo przed końcem filmu, to czytając pierwsze recenzje, usłyszałem ton tak pewny i głośny jak w „Nowych szatach cesarza”.

Być może więc oświadczenie, że nie śmiałem się na „Rysiu”, zostanie odebrane tak, jakbym dwa lata temu włożył koszulkę „Nie płakałem po Papieżu”. Trudno, zaryzykuję.

Jako idealista uważam, że słowo prawdy należy się Tymowi właśnie ze względu na szacunek, którym sam też go darzę. Jego film to benefis rozdęty do rozmiarów eposu. Najsmutniejsze dwie godziny, jakie ostatnio widziałem, pokazują zagubienie pewnego fajnego starszego faceta, kompletnie oderwanego od otaczającego go świata. Faceta, który na temat rzeczywistości polskiej nie ma nic nowego do powiedzenia. Który zaślania się tym, że w „Rysiu” nie mierzy się z legendą „Misia”, choć wstał w te same postacie w podobne sceny, a tytuł też dobrał wyjątkowo odległy od oryginału, nieprawdaz? Smucilo mnie to, że druga część widowni (o pierwszej pisałem na wstępie) nieustannie nerwowo chichotała – ze sprzątaczką Wiadro, która nosi wiadro (według „Dziennika” ten greps przejdzie do historii, co jest w sumie konsekwentne u ludzi, którzy wpadli na pomysł, żeby swój dziennik nazwać „Dziennikiem”), albo z drugiej sprzątaczką Pupa. Nie z pupy sprzątaczkę, tylko z tego, że się nazywa Pupa. Bo to śmieszne jest jak cholera, nie? Ale jeszcze smutniejsze jest to, że kiedy wracaliśmy wspólnie z żoną z kina, to z rozmarzeniem wspominaliśmy komedie Olafa Lubaszenki, na których jeszcze niedawno wieszaliśmy psy. Przy „Rysiu” – zabawne, błyskotliwe, odkrywcze, a przede wszystkim fabularnie logiczne.

Piszę to wszystko jako widz. Nie jestem zresztą krytykiem filmowym i nawet nie mam ambicji, żeby odwieść kogoś od zamiaru pójścia na film Tyma. Ba, wiem, że to niemożliwe. Chciałbym tylko przekazać innym poszkodowanym osobiste wsparcie, które – mam nadzieję – nie zginie wśród powszechnego „łubu-dubu”. Jeśli „Rys” was znudził – nie jesteście sami. Jeśli film wydał wam się głupi, niepotrzebny, a w ogólnikowej diagnozie rzeczywistości wręcz strachliwy – macie prawo się do tego głośno przyznać. Bez obaw, polskie kino od krytyki tyłu wielkich nazwisk naraz nie zapadnie się pod ziemię. W końcu gdyby miało to robić ze wstydu, zapadłoby się już dawno temu.

BARTEK CHACIŃSKI

Fotografia przedstawia wnętrze budynku (ekskluzywnego osiedla Sopotcki Parkur zrealizowanego przez Invest Komfort) – wyposażonego w drzwi wejściowe do mieszkań GRANIT w naturalnej okleinie „Zebrano”.

BEZPIECZEŃSTWO BEZ KOMPROMISÓW

GRANIT drzwi wejściowe do mieszkań

4 cechy drzwi wejściowych GRANIT

Aprobata Techniczna AT-15-6043/2004 ITB Warszawa



OGNIOODPORNE
EI 30



ANTYWŁAMANIOWE
KLASA „C”



DYMOSZCZELNE
S 60



DŹWIĘKOSZCZELNE
36 dB

Kupując solidne drzwi wejściowe do mieszkań, myślimy o „drzwiach antywłamaniowych” a nie o drzwiach bezpiecznych. Na czym polega różnica? Drzwi wejściowe antywłamaniowe, to dzisiaj skomplikowane konstrukcje wielowarstwowe z atestowanymi zamkami i zawiasami. Jakość drzwi wejściowych do mieszkań jest potwierdzona przez Instytut Techniki Budowlanej (ITB) przyznaniem odpowiedniej klasy. Najwyższa klasa „C” przyznana drzwiom wejściowym przez ITB upoważnia do używania potocznej na rynku nazwy: „drzwi antywłamaniowe”. Jednak drzwi bezpieczne muszą posiadać bardzo ważne cechy dodatkowe, którymi charakteryzują się drzwi GRANIT produkowane przez Porta. Jakie to cechy? Oprócz wymienionej już antywłamaniowej klasy „C”, druga niezbędna cecha drzwi bezpiecznych to odporność drzwi na przedostanie się ognia z klatki schodowej do mieszkania lub odwrotnie. Drzwi GRANIT z 40-to minutową odpornością ogniową znacząco zwiększają nasze bezpieczeństwo w takich sytuacjach. Trzecią cechą, którą również posiadają te drzwi, to 60 minutowa dymoszczelność. Ta cecha w znacznym stopniu zabezpiecza przed zaczadzeniem, które jest przyczyną większości nieszczęść podczas pożaru budynku. Ostatnia bardzo ważna cecha to wysoka izolacyjność akustyczna, która w drzwiach GRANIT osiąga 36 decybeli. Brak łatwej możliwości podsłuchiwania rozmów rodzinnych i sprawdzenia czy ktoś jest w domu, to ważny element naszej prywatności. Porta z drzwiami GRANIT należy do grona nielicznych producentów tego typu zaawansowanych technologicznie drzwi w Europie. Drzwi GRANIT gwarantują bezpieczeństwo bez kompromisów.



Drzwi Porta dostępne są wyłącznie w sieci Dealerów oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży.

Adresy sieci Dealerów dostępne na stronie www.porta.com.pl.

www.porta.com.pl

MACIEJOWSKI



-TO PRAWDA, ŻE CIĘ ZDRADZIŁEM.
ALE PRZYSIĘGAM CI, ŻE TA KOBIETA
NIC DLA MNIE NIE ZNACZY.
LICZYSZ SIĘ TYLKO TY.
EWA, POWIEDZ COŚ.
-WYJDŹ STĄD.

wg M jak Miłość



© MARCIN MACIEJOWSKI



Ignis



Jimny



SX4

albo off road



Swift



Grand Vitara

albo on road

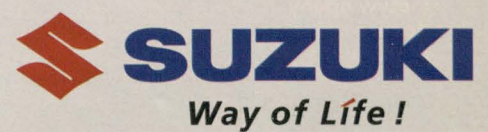
Teraz wszystkie modele Suzuki • dostępne w wersji 4x4



Informacja o dealerach: 0 801 88 01 38 (koszt 1 impulsu lokalnego bez względu na czas połączenia)

www.suzuki.pl

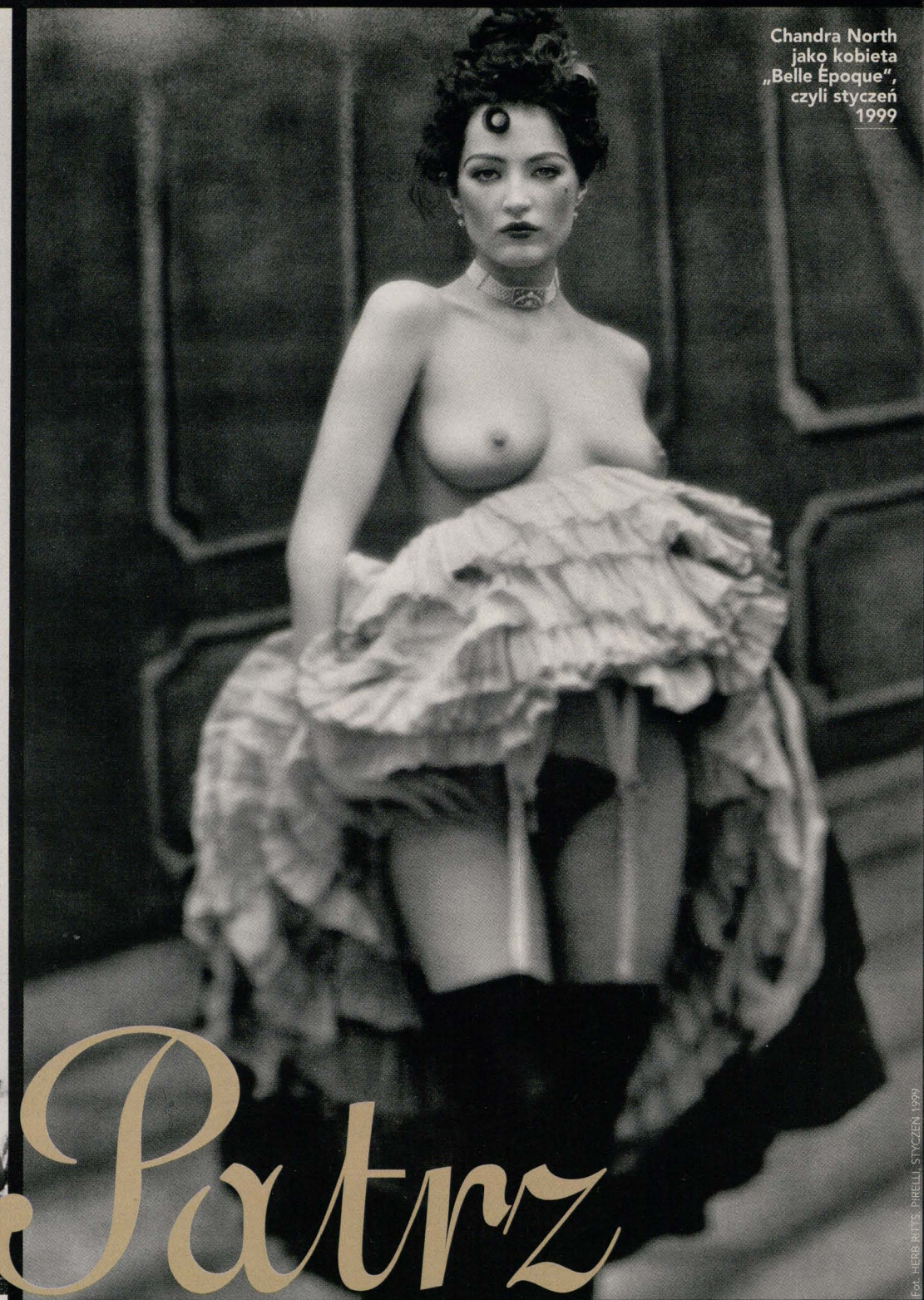
Zużycie paliwa oraz emisja CO₂, w cyklu mieszanym: SX4 od 6,8 l/100 km do 7,1 l/100 km oraz od 165 g/km do 173 g/km w zależności od wersji; SWIFT od 6,2 l/100 km do 6,9 l/100 km oraz od 148 g/km do 170 g/km w zależności od wersji; GRAND VITARA od 7,7 l/100 km do 9,4 l/100 km oraz od 205 g/km do 228 g/km w zależności od wersji; JIMNY od 6,1 l/100 km do 7,3 l/100 km oraz od 162 g/km do 174 g/km w zależności od wersji; IGNIS 6,5 l/100 km oraz 154 g/km. Informacje o recyklingu: www.suzuki.pl



Elsa Benitez
– emanacja lat 70.
XX wieku z cyklu
„Kobiety
przez dekady”
w kalendarzu
z 1999 roku



Chandra North
jako kobieta
„Belle Époque”,
czyli styczeń
1999



Jennifer Lopez
jak lawa gorąca
w styczniu
2006 roku



Patrz

JAK PŁYNNIE CZAS

The Call – takim pieśczośliwym skrótem nazywają kalendarz Pirelli ci szczęśliwcy, którzy go otrzymują. Na świecie to 30 tysięcy osób, w Polsce – zaledwie 150

SYLWIA CZUBKOWSKA



Jedna z pierwszych dziewczyn Pirelli. Jeszcze nie w kalendarzu, tylko w folderze z 1961 roku. Wtedy motyw opony dominował nad erotyką



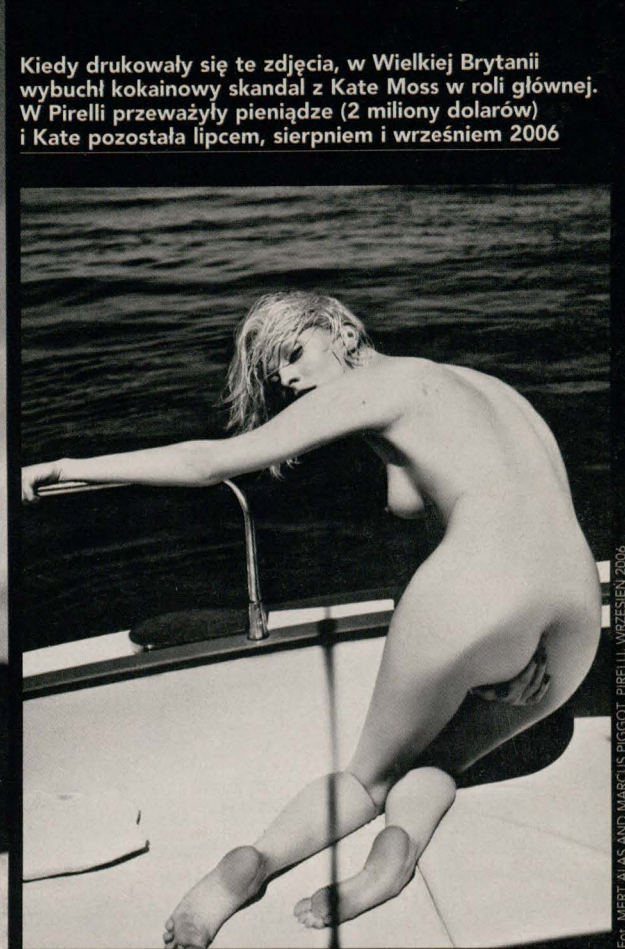
Fot. RICHARD AVEDON, PIRELLI, LUTY 1995

Luty 1995 roku był wyjątkowo gorący w wykonaniu ognistej Nadii Auerman, choć wystylizowanej na zimę



Adriana Lima w 2005 roku była nie tylko dziewczyną kwietnia. Trafiła także na okładkę kalendarza

Fot. PATRICK DEMARCHELIER, PIRELLI, OKADKA 2005



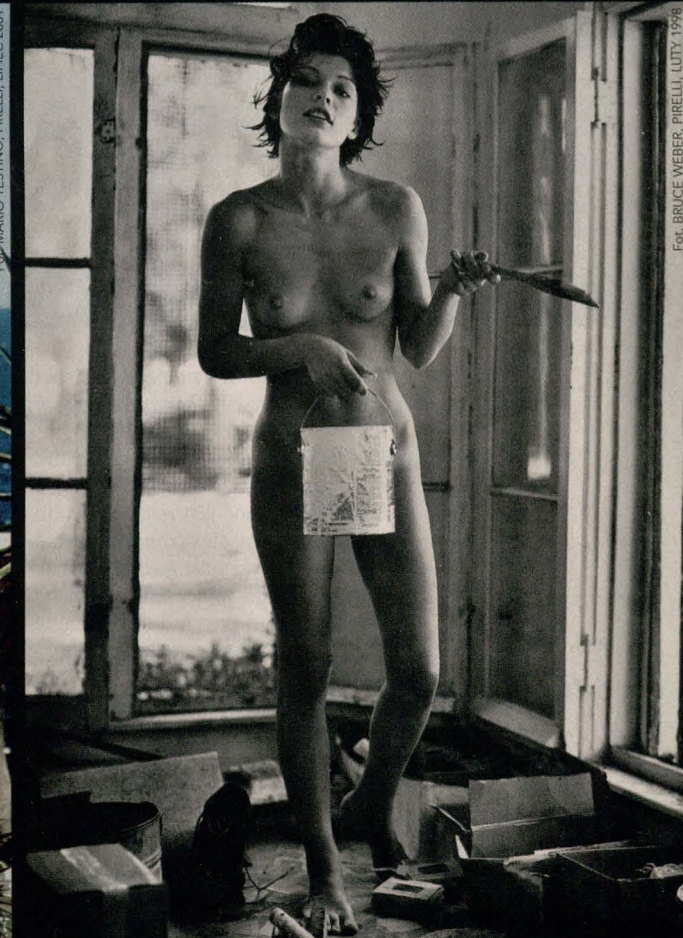
Fot. NIENT ALIAS AND MARCUS POGGOT, PIRELLI, WRZESIEŃ 2006

Jest tylko jedna osoba na świecie, która zawsze może być pewna, że dostanie kalendarz. To królowa Elżbieta II. Dla niej zarezerwowany jest egzemplarz sygnowany numerem 1



Coś dla panów (Angela Lindvall) i dla pań (niesprecyzowany przystojniak na drugim planie) w lipcowej ofercie roku 2001

Fot. MARIO TESTINO, PIRELLI, LIPIEC 2001



Fot. BRUCE WEBER, PIRELLI, LUTY 1998

„Kobiety, dla których żyją mężczyźni. Mężczyźni, dla których żyją kobiety” – 1998 rok i pierwszy kalendarz ze zdjęciami także mężczyzn. Milla Jovovich jako luty



Czerwiec 2000 – Laetitia Casta w obiektywie Annie Leibovitz. Ta jedna z najsłynniejszych współczesnych fotograficzek trzy razy robiła zdjęcia dla Pirelli



Listopad roku 1971 z Angeli McDonald znaną z horroru dla dorosłych „Spermula”



Brazylijska supermodelka Giselle Bündchen jako marzec roku 2006

Kalendarz Pirelli od ponad czterech dekad narzuca normy dobrego smaku w erotyce i określa, co jeszcze jest moralne

Srebrzyste udo wylaniające się spod szlafroka (luty 1964), język liżący sorbet (styczeń 1969), piersi jak u greckiej bogini (maj 1973), zmysłowe spojrzenie (kwiecień 2007). Kalendarz Pirelli, choć jest reklamą producenta opon, stał się symbolem wyrafinowanej erotyki oraz ewolucji smaku współczesnego społeczeństwa Zachodu. Od ponad czterech dekad narzuca normy dobrego smaku w erotyce i określa, co jeszcze jest moralne.

Pierwsze wydanie kalendarza Pirelli w 1963 roku miało być wyróżnieniem dla najlepszych klientów, w myśl zasady: dużo kupujesz, dostaniesz za darmo kalendarz, w którym zamiast opon pokazemy dziewczyny. Ale nie takie zwyczajne. Seksowne modelki na zdjęciach najlepszych fotografów. Pierwsze zdjęcia wykonał fotograf grupy The Beatles Robert Freeman na plażach w południowej Francji. Wywołały spory szok w surowej Wielkiej Brytanii.

Kalendarz nie mógł trafić w lepszy moment. Właśnie budził się wiek rozpusty i wyzwolenia. Połączenie erotyki i reklamy okazało się strzałem w dziesiątkę. – Nasze modelki żądają wyższego wynagrodzenia, ponieważ uznały te zdjęcia

za granicę przyzwoitości – opowiadał Peter Knapp, jeden z twórców kalendarza z 1966 roku. Tak reklamowany kalendarz chcieli mieć wszyscy.

Jednak po 10 latach twórcy pomysłu, w szczycie kryzysu naftowego i motoryzacyjnego, ogłosili śmierć kalendarza. Na kolejne 10 lat. Wszystkie najważniejsze gazety Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zamieściły na pierwszych stronach klepsydry i pożegnania kalendarza, a przy okazji piękne zdjęcia. Firma Pirelli, która chciała zaoszczędzić, szybko odkryła, że brak skutecznej promocji, jaką stał się kalendarz, kosztuje firmę więcej. I powróciła do niego z jeszcze większym rozmachem.

Przez kolejne lata na kartkach kalendarza pojawiały się piękne modelki w najmniejszych miejscach na świecie: na Majorce, w Maroku, na Szeszelach. Zdjęcia były pełne zmysłowości, coraz bardziej odważne i kontrowersyjne. Tworzący kalendarz artyści mieli zawsze oryginalne pomysły. Co roku powierzano to zadanie innemu twórcy, tylko sześciu fotografów wykonało kalendarz więcej niż raz. W 1967 roku Harri Peccinotti w Tunezji za pomocą fotografii zinterpretował starożytną i współczesną poezję miłosną. W kolejnych edycjach pojawiały się zdjęcia najbardziej znanych kobiet: Leni Riefenstahl, Cindy Crawford, Kate Moss, Heleny Christensen czy Nastassji Kinski. Richard Avedon

w 1995 roku (kalendarz uznawany za najlepszy w historii) ilustrował każdą z czterech pór roku supermodelkami: Naomi Campbell, Christy Turlington, Nadją Auermann i Farrah Summerford. W tegorocznej edycji największą sensacją są zdjęcia Sophii Loren udowadniającej, że symbolem seksu można być nawet po siedemdziesiątce.

W Polsce kalendarz Pirelli pojawił się siedem lat temu. Co roku zaproszenia z kuponem do odebrania kalendarza na uroczystej gali trafiają do 120–150 osób. Jedno do pierwszej damy, ale ani obecna, ani poprzednia nigdy się nie zgłosiły. To wyjątki. Nie zdarza się, by ktoś zrezygnował. Egzemplarz na 2007 rok trafił między innymi do Marcina Mollera, Kuby Wojewódzkiego, Olivera Janiaka, Lidii Popiel i Kasi Klich.

Jest tylko jedna osoba na świecie, która zawsze może być pewna, że dostanie kalendarz. To królowa Elżbieta II. Choć nie wiadomo, czy wieśza go w pałacu Buckingham ani nawet czy ogląda zdjęcia – dla niej zarezerwowany jest egzemplarz sygnowany numerem 1. Na następne mogą liczyć jedynie partnerzy, najważniejsi klienci firmy i wpływowi ludzie świata sztuki, kultury, muzyki, filmu i mediów. Kalendarz nigdy nie był sprzedawany. Odkąd zaczęto go rozdawać, bardziej podniecające jest jego otrzymywanie niż oglądanie. Bo oznacza przynależność do elity.

49 lat temu

Przekrój pisał o...

16 LUTEGO 1958

„Przekrój” nr 671
data na okładce: 16 lutego 1958
objętość: 24 strony
cena: 3 złote

Hasło z okładki: „Jeśli nie chcesz czytać tego numeru »Przekroju« – to przynajmniej kup go!”. Figlarz był z Redaktora Eilego, podejrzewam bowiem, że o „P” walczone zaciekle... Prócz tego na okładce Krystyna Cierniak, która do filmu trafiła za sprawą konkursu „Film szuka młodych aktorów”.

Juliusz Kędryński odwiedził w Zegrzynku Jerzego Szaniawskiego i opisuje tę wizytę w reportażu. 72-letni pisarz, autor poetyckich dramatów i opowiadań o profesorze Tutcie (drukowanych najpierw w „P”), mieszkał w rodzinnym dworku, który odzyskał po wojnie. Ale ponieważ do majątku należało też kilka domów (zniszczonych w czasie wojny), to po 1945 roku dramaturg musiał „jako kułak” płacić „podatek od wzbogacenia się na wojnie”. Jest rok 1958, zima, dziennikarze po rozmowie, obiedzie i kawie („żadna nie wytrzymałaby porównania z kawą w Zegrzynku”) zbierają się do odjazdu, ale „od rana wziął mróz i polna droga, wiodąca teraz stromo pod górę, zmieniła się w prawdziwą ślizgawkę. Nasza warszawa tańczyła w miejscu na pierwszym biegu. Burzyński wrócił do dworku i poprosił o konie. Za kwadrans zostaliśmy podciągnięci aż do szosy”.

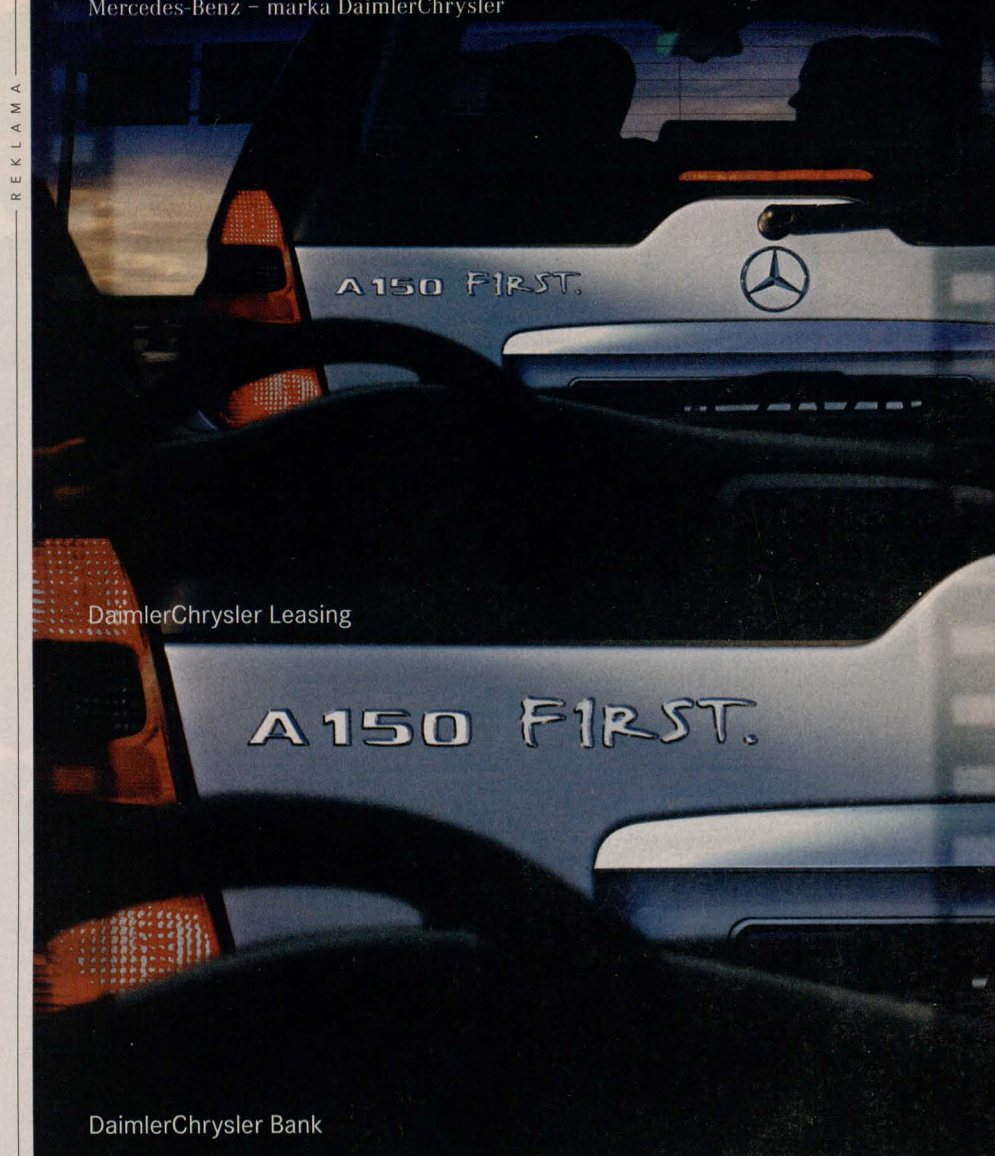
Ponieważ Zespół Autorów Filmowych ZAF ogłasza konkurs (ten wspomniany na okładce omawianego numeru), to kierownik sekcji angażowania aktorów z tegoż zespołu, pan Anatol Kobyliński, zachęca do wzięcia w nim udziału (czyżby panie pół wieku temu nie garnęły się na ekrany?) tymi słowami: „Gdy się ma talent i odpowiednio warunki zewnętrzne, można trafić na ekran, nie będąc zawodową aktorką”. I przypomina karierę Barbary Kwiatkowskiej – po występie w filmie „Ewa chce spać” „panna Basia została już zaangażowana do następnego filmu: ŻOŁNIERZA KRÓLOWEJ MADAGASKARU”. Z tego, co mówi pan Kobyliński, wynika, że sprawy filmowe mają i swoją ciemniejszą stronę: „Na zakończenie chciałbym prosić wszystkie dziewczęta w Polsce, aby dokładnie legitymowały młodych ludzi podających się za filmowców. Znam bowiem wypadki zaczepiania dziewcząt przez rzekomych przedstawicieli filmu, którzy pod tym pretekstem zawierają znajomości w celach zgoła niefilmowych...”.

Obok rysunek Mrożka – znany osobnik w czapce krakusce, czyli „Polak w Parryżu”, ścisła dłoń panu w peruce i w pludrach. Podpis dialogowy: – Państwo – to ja!
– Kowalski jeźdem, bardzo mi przyjemnie.
Z Nowego Jorku list nadesłała Maria Zientarowa. Pisz w nim o reklamie w USA. Nadzwyczaj trzeźwo pisze, choć trzeźwość tę docenić możemy raczej dzisiaj dopiero, bo co też w roku 1958 w PRL-u się reklamowało? Oto ostatni akapit „Listu”: „Ale jedna firma pobiła wszystkie inne. Ogłasza się, że jest pastą dla tych wszystkich osobników na świecie, którzy nie mogą czyścić zębów po każdym jedzeniu (jak właściwie powinni). Mianowicie – że daje ochronę przed bakteriami na cały boży dzień! Ta oczywista bujda przyjęła się najlepiej. Panowie z instytutu badania motywów twierdzą, iż większość z nas lata po świecie z poczuciem winy, że znowu coś zjedliśmy i nie usunęliśmy bakterii z gęby (bo tymi bakteriami straszą nas mamy od urodzenia i reklamiarze produktów na każdym kroku i że użycie tej pasty daje nam rozgrzeszenie). Fabrykant tej pasty sprzedaje więc, ściśle mówiąc, nie pastę do zębów, ale kojący balsam na nieczyste sumienie”.

MARCIN BARAN



Rubryka „z życia gwiazd” ekscytuje się ślubem Jane Mansfield z Mickeyem Hargitayem. I z czułością pokazuje roczną księżniczkę Karolinę siedzącą na baranach u taty księcia Rainera



DaimlerChrysler Leasing

DaimlerChrysler Bank

FIRST.

Zalecamy oleje Mobil

Pierwszy Mercedes jeszcze przed Tobą?
Klasa A **FIRST.**
już od 22 500 zł.*

► Przekonaj się sam, czym jest elegancja i prestiż Mercedesa. Teraz aby wyjechać z salonu nową Klasą A First, wyposażoną m.in. w systemy ESP®, ABS, BAS, klimatyzację THERMATIC oraz dwie poduszki powietrzne przednie i boczne, wystarczy 1/3 ceny, czyli 22 500 zł*. Kolejną ratę wysokości 1/3 wartości samochodu wpłacisz po roku, a ostatnią po dwóch latach. Oprocentowanie nominalne przez cały ten okres wyniesie 0%. Odwiedź salon Mercedes-Benz. Bądź o krok przed innymi.

Zużycie paliwa – Klasa A 150: 6,6 l/100 km, emisja CO₂: 155 g/km.

Bezpłatna infolinia: 00 800 17 777 777; www.mercedes-benz.pl

* Klasa A 150 w wersji 3-drzwiowej, w kredycie 1/3, 1/3, 1/3, rrsp 2,05%.



Mercedes-Benz

Fot. Cif. Forum (6), FOTOKAZA (2), M. STELMACH/WPROST, PAP (2), REPORTER (4)



Mariusz Maszkiewicz był polski ambasador na Białorusi, dziś odpowiada w kancelarii premiera za politykę wschodnią

Paweł Wypych doradca Jarosławowi Kaczyńskiemu w sprawie ZUS

Michał Dworczyk harcerz dowodzący u premiera zastępem doradców od Białorusi i Ukrainy

Anna Kuźma była korespondentka radiowa na Ukrainie. „Wschodnim” doświadczeniem służy obecnie premierowi

Jarosław Kaczyński premier z ekipą swoich doradców

Jan Dziedzicak rzecznik rządu, harcerz, któremu do kariery politycznej u Jarosława Kaczyńskiego nie była potrzebna legitymacja partyjna

Krystyna Grzybowska prawnikowa dziennikarka sceptyczna wobec polsko-niemieckiego pojednania

Edmund Pietrzak doradca ekonomiczny byłego prezydenta Kwaśniewskiego. Z premierem Kaczyńskim łączy go niechęć do wprowadzenia w Polsce euro

Roman Kluska biznesmen, który wymieniany był jako kandydat na następcę Kazimierza Marcinkiewicza, pozostaje specem gospodarczym premiera



Lech Kaczyński prezydent w gronie doradców

Andrzej Urbański rok temu był szefem Kancelarii Prezydenta, dziś tylko doradza Lechowi Kaczyńskiemu

Jan Olszewski były premier, którego rząd upadł w 1992 roku podczas „nocy tetek”, jest guru politycznym prezydenta i jego ugrupowania

Włodzisław Duda prezydent Gdyni, mimo swych sympatii do PO jest specem od samorządu docenianym przez Lecha Kaczyńskiego

Tomasz Zdrojewski w Kancelarii Prezydenta doradza w sprawach zdrowia

Michał Kleiber były minister w rządzie SLD, dziś troszczy się o zaplecze naukowców dla prezydenta

Marek Cichocki od paru tygodni oficjalny doradca w sprawach unijnych i eurokonstytucji, wcześniej pełnił tę funkcję nieoficjalnie

Artur Piłka prezydencki ekspert od sportu, do palacu trafił ze stołecznego ratusza

ALEKSANDRA PAWLICKA

Skład i kompetencje oficjalnych doradców braci sugerują, że ich polityka to zupełny chaos. Prawdziwy wpływ mają na nich doradcy nieformalni oraz ministrowie z najbliższego kręgu

KOGO SŁUCHAJĄ BRACIA KACZYŃSCY

niem szef rządu się liczy. To publicystka tygodnika „Wprost” Krystyna Grzybowska. Prywatnie żona dziennikarza Macieja Rybińskiego, który wstawił się ostatnio tekstem w „Dzienniku” obwieszczającym koniec ery Michnika i Kiszcza.

Przez 10 lat do 1999 roku Grzybowska była korespondentką „Rzeczpospolitej” w Niemczech, pisywała także o Unii Europejskiej. Należy do eurosceptyków i ludzi nieufających w polsko-niemieckie braterstwo. Gdy media chwaliły w ubiegłym roku ugodową wobec Polski postawę kanclerz Niemiec Angeli Merkel, Grzybowska przestrzegła: „Jakże symboliczny był uścisk kanclerza Kohla z premierem Mazowieckim w Krzyżowej! Dopiero później

przypomnieliśmy sobie, że w zawartych wówczas traktatach polsko-niemieckich pominięto rozwiązanie spraw własnościowych wypędzonych, co zaowocowało falą agresywnych roszczeń Związku Wypędzonych i jego szefowej Eriki Steinbach. Ten problem, szczególnie dla Polaków ważny i bolesny, przerodził się w zimną wojnę niemiecko-polską i nadal budzi ogromne emocje”.

Broniła także włoskiego konserwatywy Rocca Buttiglione, który stracił szansę na zostanie unijnym komisarzem za nazwanie homoseksualizmu grzechem, a samotnych matek zły, bo rolę kobiety jest rodzenie dzieci wyłącznie w rodzinie, gdzie mężczyzna może zapewnić opiekę. Dziennikarka, której poglądy łatwo odnaleźć w niezbyt przyjaznych homoseksualistom poglądach braci Kaczyńskich, pisała wówczas: „Pachnie skandalem, jeśli

katolik (...) uzna homoseksualizm za grzech. (...) Europa przeżywa kryzys wspólnych wartości niespotykany od czasów rewolucji październikowej. Toczy się walka o panowanie w Unii Europejskiej. Nie tylko panowanie ekonomiczne, ale przede wszystkim o rząd dusz. Europejskim elitom przeszkadza ostatnio katolicyzm”.

W niedawnej publikacji we „Wprost” oskarżała Tadeusza Mazowieckiego, Lecha Wałęsę czy Bronisława Geremka o szkolenie Polsce przez udzielanie zagranicznej prasie wywiadów krytycznych wobec PiS. To punkt widzenia nieraz już prezentowany przez braci Kaczyńskich: jeśli prac brudy, to tylko we własnym domu.

W otoczeniu premiera jest także inna dziennikarka: 38-letnia Anna Kuźma, była korespondentka Polskiego Radia i Radia Wolna Europa na Ukrainie, oficjalnie jako doradca szefa kancelarii premiera. Gdy do siedziby szefa rządu przyjeżdża delegacja z Ukrainy, Kuźma przygotowuje spotkania, tłumaczy,



Adam Bielan rzecznik PiS

Mówi się o nim, że ma bezpośredni dostęp do uszu premiera i prezydenta

doradza. Tym samym włącza się w najsilniejszą reprezentację oficjalnych doradców Jarosława Kaczyńskiego zajmującą się polityką wschodnią. Oficjalny krąg doradców koncentruje się bowiem na Wschodzie. Nie ma wśród nich ekspertów od strategicznych dla Polski kierunków – Unii Europejskiej (zwłaszcza Berlina, Paryża czy Londynu) i USA.

W tej oficjalnej „wschodniej grupie” doradczym guru Jarosława Kaczyńskiego jest Mi-

chał Dworczyk. Od lat wspiera Polaków zza Bugu. Już jako hufcowy warszawskiego hufca imienia Obrońców Kresów Wschodnich i szef ogólnopolskiego referatu wschodniego ZHR organizował akcję „Paczka”, czyli zbieranie żywności, którą harcerze wozili na Białoruś, Ukrainę i Litwę. Dworczyk prowadził tam kursy dla zastępowych i drużynowych. Był harcerskim pionierem walki o pomniki w Katiuni, Charkowie i Miednoje. Ma 32 lata. Pod-

czas ostatniej kampanii wyborczej do parlamentu odpowiadał za organizację wieczoru wyborczego. Był wówczas bezpośrednim podwładnym szefa sztabu wyborczego Adama Lipińskiego. Wcześniej zakładali w PiS Komitet Solidarności z Białorusią. Wydrukowali numer zatrzymanego przez drukarnię w Grodnie „Głosu znad Niemna”.

Dzisiaj obaj pracują w kancelarii premiera. Lipiński jako szef gabinetu politycznego, Dwor-

czak jako jeden z czterech głównych doradców premiera. Wciąż jeżdżą na Białoruś, choć ostatnio Dworczykowi odmówiono na granicy wjazdu jako osobie niepożądaney.

Od miesiąca dołączył do nich kolejny oficjalny doradca zatrudniony przez kancelarię premiera – Mariusz Maszkiewicz (48 lat), założyciel pierwszego polskiego konsulatu w Grodnie, ambasador Polski na Białorusi, w marcu 2006 roku podczas protestów

KARTA KREDYTOWA SANTANDER CONSUMER BANK

WYGODNA FORMA KREDYTU

Odwiedź filię. Zadzwon do Doradcy. Wejdź na stronę.

- Nawet do 10 000 zł limitu odnawialnego na karcie.
- Możliwość bezpłatnego wydania i wznowienia karty.
- Nawet 2 karty **dotatkowe** dla dwóch wybranych przez Państwa osób.
- Korzystne oprocentowanie – już od 17,5%.
- Nawet do 54 dni kredytu na zakupy bez odsetek.
- Atrakcyjny pakiet ubezpieczeń.
- Gwarancje powszechnej akceptacji karty w Polsce i za granicą.
- Maksymalne bezpieczeństwo pieniędzy dzięki specjalnemu mikroprocesorowi (chip) oraz konieczności autoryzacji kodem PIN.

0 800 266 166
dla tel. kom.: 071 337 85 01
www.santanderconsumer.pl

REKLAMA

Fot. JACEK HEROK/NEWSREK/REPORTER

r.r.s.o. od 18,97%

W Mińsku aresztowany na miesiąc przez władze białoruskie (tę sprawę nagłośnił głośny protest jego ojca). Maszkiewicz odpowiada za monitorowanie przemian na Wschodzie, ale tak naprawdę ma takie same kompetencje jak Dworzczyk.

Tematyka wschodnia bardzo interesuje premiera. Nie tylko dlatego, że jego korzenie sięgają pogranicza białorusko-lotewskiego. On naprawdę chce podejmować konkretne działania, a nie składać jedynie deklaracje wobec Polaków na Wschodzie – tłumaczy Dworzczyk.

Wiadomo, że zarówno premier, jak i prezydent najlepiej czują się u naszych wschodnich sąsiadów i zdecydowanie wolą wizytę w Wilnie niż w Brukseli.

UNIA EUROPEJSKA W KONSPIRACJI

Głośna ostatnio awantura o szefowanie komisji spraw zagranicznych w Parlamencie Europejskim uchyliła rąbką tajemnicy, kto jest prawdziwym współtwórcą polityki unijnej PiS. Partia braci Kaczyńskich nieoczekiwanie stanęła murem za eurodeputowanym PO Jackiem Saryuszem-Wolskim

ny zawał: „Nicea albo śmierć”. Bracia Kaczyńscy filozofię weta przyjęli za własną i forsują w Brukseli.

Sam Saryusz-Wolski nie chce komentować swojego wpływu na braci Kaczyńskich. Mimo to jest on widoczny gołym okiem. To on był wymieniany jako główny kandydat na szefa MSZ, gdy wiosną ubiegłego roku ustąpił Stefan Meller. Ostatecznie do tego nie doszło, ale powołana wówczas minister Fotyga prezentuje podobny do Saryusza punkt widzenia – obrony polskich interesów nawet za cenę izolacji naszego kraju w Unii.

Wybór Fotygi umocnił de facto wpływy eurodeputowanego Platformy na PiS-owską politykę unijną. Prezydent powołał właśnie dwóch negocjatorów mających zająć się stanowiskiem Polski w sprawie konstytucji europejskiej. Zostali nimi Marek Cichocki (jednocześnie powołany na doradcę społecznego prezydenta) i Ewa Ośniecka-Tamecka. Oboje są zwi-



Ewa Ośniecka-Tamecka szefowa UKIE

Odpowiada za sprawy europejskie. Doradza premierowi. Ostatnio została też prezydenckim negocjatorem

fowa Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej Ewa Ośniecka-Tamecka i minister rozwoju regionalnego Grażyna Gęsicka. Mogę zdradzić, że minister Gęsicka jest najczęściej spotykającym się z premierem ministrem.

Minister Gęsicka odpowiada za unijne fundusze i więcej w jej roli zarządzania niż polityki. Natomiast Fotyga i Tamecka robią politykę w duchu Saryusza-Wolskiego. Robią ją także dla prezydenta, który niechętnie stu-

gu o schedę po Leszku Balcerowiczu. – Zdecydowały względy rodzinne. Przepraszam, że się wycofałem – tłumaczył.

Wiadomo jednak, że nie objął tej funkcji, bo był jednym z dziesięciu doradców ekonomicznych poprzedniego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Pietrzak pozostaje jednak nieformalnym doradcą premiera.

– Być może dlatego, że od wielu lat, podobnie jak premier, a poprzednio poseł Jarosław Kaczyński – wyjaśnia Pietrzak – byłem krytykiem polityki gospodarczej profesora Balcerowicza, a w szczególności jego polityki jako prezesa NBP. Zawsze wyrażałem też krytykę wobec nierealistycznego podejścia Balcerowicza do członkostwa Polski w strefie euro. Uważałem, że Polska jako ostatnia z Dziesiątki wprowadzi europejską walutę, natomiast Balcerowicz chciał do tego doprowadzić moż-

resortem pracy Anna Kalata chciała wchłonąć do ZUS pieniądze zbierane przez prywatne fundusze emerytalne). Pierwszy z nich to 39-letni Paweł Wypych. Posadę dostał w nagrodę za posłuszeństwo partii: jesienią ubiegłego roku ustąpił ze stanowiska wiceministra pracy, bo było ono potrzebne dla koalicjanta.

Wsparciem dla niego jest Adam Kwiatkowski (35 lat). Oficjalnie doradza w sprawie funduszy unijnych i infrastruktury, ale to właśnie on jest specjalistą od ZUS. Szykowany był na konia trojańskiego PiS w ZUS – wiosną ubiegłego roku partia próbowała wprowadzić go do zarządu. Nie zgodziła się jednak rada nadzorcza ZUS. Trafił więc do kancelarii premiera. Prywatnie obaj doradcy są przyjaciółmi. Kwiatkowski był świadkiem na ślubie Wypycha.



Michał Kamiński spec PiS od promocji

PIERWSZY PRZYBOCZNY

Wśród oficjalnych doradców premiera na pierwszym miejscu wymieniany jest Jan Michał Dziedziczak. 26-letni kawaler, który w pędzie kariery nie zdążył skończyć studiów na Wydziale Politologii i Dzienni-

Jako druh w stopniu podharcemistrza spotkał innego harcerza dobrze zakorzenionego w politycznej machinie – Konrada Ciesiołkiewicza. Rzecznik poprzedniego premiera wciągnął Dziedziczaka w życie partii. Uczynił swym doradcą, po czym przedstawił prezesowi Kaczyńskiemu i rekomendował na asystenta. Tak Dziedziczak stał się cieniem Jarosława Kaczyńskiego, choć nie miał wówczas i nie ma do dziś partyjnej legitymacji.

Prezesowi przypadł jednak do gustu cichy, skromny, raczej małowówny niż złotousty chłopak. Takiego rzecznika potrzebował, gdy przejmował hotel

AWF. Nie wiadomo, za co konkretnie odpowiada, prawdopodobnie za uzdrowienie polskiego sportu, bo za sport odpowiadał w stolicy, gdy jej prezydentem był Lech Kaczyński. Ten epizod zawodowy – praca w warszawskim ratuszu – łączy go z innymi doradcami prezydenta RP.

Andrzej Klarkowski (54 lata) jest doradcą zarówno prezydenta, jak i premiera – bracia podzieli jego etat po połowie. Dla obu pałaców, dużego i małego, przygotowuje analizy społeczne na podstawie badań, korzystając z funkcji oficjalnego przedstawiciela prezydenta w Radzie CBOS.

Kolejną osobą z warszawskiego ratusza jest doradczyni ekonomiczna prezydenta Danuta Wawrzynkiewicz. To pierwsza ekonomiczna nominacja po 14 miesiącach urzędowania prezydenta. Wawrzynkiewicz

zudej z PO, co w oficjalnym życiorysie na prezydenckiej stronie zostało pominięte.

NAJWAŻNIEJSI

Zarówno u prezydenta, jak i u premiera dźwi brak oficjalnych specjalistów od polityki międzynarodowej, stosunków polsko-amerykańskich, polsko-niemieckich, polsko-francuskich czy polsko-rosyjskich, a także od gospodarki i finansów. Dlaczego w tak istotnych kwestiach dwóch najważniejszych ludzi w kraju zdaje się niemal wyłącznie na rady zakulisowe?

Może to odbicie prawdziwej polityki braci? Bo do tego, co dla nich najważniejsze, mają zaufanych ludzi. Lustracja: Antoni Macierewicz (szef kontrwywiadu wojskowego i wiceminister obrony). Bezpieczeństwo energetyczne: Piotr Naimski (dziś wiceminister gospodarki, a w 1992 roku prawa ręka Macierewicza przy ujawnianiu teczek). Unijne fundusze: Grażyna Gęsicka (minister rozwoju regionalnego). Choć cała trójka nie jest z PiS, w rzeczywistości wyznacza kierunek działań obecnej władzy. Są prawdziwymi doradcami i wykonawcami.

REKLAMA

WARTA ZYSK FINANSOWY Ubezpieczenie z Funduszem

Zarabiaj pieniądze na pieniądzech!

Zainwestuj w WARTA ZYSK FINANSOWY i pomnażaj swoje oszczędności w zagranicznym funduszu opartym na 20 renomowanych spółkach z sektora finansów.

110%* dodatkowo assistance medyczny

*Udział we wzroście wartości koszyka spółek w dniu zapadalności funduszu.

Bo znalazłeś bank i towarzystwo ubezpieczeniowe, które myślą życiowo.

Dla laureatów czekają cenne nagrody:

- I nagroda: 20 000 zł
- II nagroda: 10 000 zł
- III nagroda: 5 000 zł

oraz 10 nagród dodatkowych po 500 zł każda.

Zapraszamy do placówek Kredyt Banku i TUnŻ WARTA S.A. w terminie od 15 stycznia do 3 marca 2007.

www.warta.pl Infolinia: 0 801 308 308 Opłata jak za połączenie lokalne.

www.kredytbank.pl Infolinia: 0 801 360 360

WARTA Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie S.A. Razem możemy więcej KB Kredyt Bank

i wymusiła na Donaldzie Tusku poparcie jego kandydatury.

Przy okazji tych przepychanek kompetencje komisji spraw zagranicznych europarlamentu zostały ograniczone, a sprawy budżetowe przeszły w ręce Niemców. Polska wyszła więc na całym zamieszaniu jak Zablokci na mydle, ale ważne było, że wygrał człowiek, z którego zdaniem liczą się bracia Kaczyńscy. Choć oficjalnie nikt tego nie przyzna, wszyscy po cichu potwierdzają, że to 59-letni Saryusz-Wolski jest ojcem polskiego weta w UE tak konsekwentnie lansowanego przez ministra spraw zagranicznych Anę Fotygę, prawą rękę prezydenta.

Nie od dziś Saryusz-Wolski jest zwolennikiem twardego stanowiska Polski w polityce unijnej. Opinię taką zapewniła mu walka o korzystne dla Polski zapisy w traktacie nicejskim na szczycie UE w grudniu 2000. Jan Rokita wcielił w życie Saryuszowy sprzeciw przeciwko unijnemu dictum, gdy z sejmowej trybuny



Jacek Saryusz-Wolski eurodeputowany PO

zani z Centrum Europejskim „Natolin”, któremu szefuje Saryusz-Wolski. Rzecznik rządu Jan Dziedziczak zapytany o to, kto oficjalnie doradza premierowi w sprawach europejskich, bo odpowiedzialnych za to doradców w jego kancelarii nie sposób znaleźć, o d p o w i a d a : – Funkcję tę pełni minister spraw zagranicznych Anna Fotyga, sze-

chał swojego ministra Andrzeja Krawczyka odpowiedzialnego za politykę zagraniczną i właśnie go zwolnił pod pretekstem, że podpisał deklarację o współpracy z PRL-owskimi służbami.

ANTYBALCEROWICZ I SPECE OD ZUS

W sprawach gospodarczych premier, podobnie jak w polityce wobec UE, chętnie sięga po opinie nieformalnych doradców. Gdy idzie o finanse, funkcję tę pełni profesor Edmund Pietrzak. Jego nazwisko przewinęło się przez media w związku z wyborem nowego szefa NBP Pietrzak (61 lat) wymieniany był jako jeden z kandydatów. Jest specjalistą od rynków finansowych. Prezydent zna go z Uniwersytetu Gdańskiego, na którym do dziś profesor jest filarem Instytutu Handlu Zagranicznego. Pietrzak wycofał się jednak z wyści-

liwiej najwcześniej, nawet w 2007 roku! W szeregu wypowiedzi premiera znajdują echa moich ocen.

Podobnie sytuacja wygląda z Romanem Kluską (53 lata), znanym biznesmenem, twórcą firmy komputerowej Optimus, której zarzucono wyłudzenie podatku VAT. Oczyszczony z zarzutów wycofał się z biznesu, zajął hodowlą owiec i działalnością filantropijną. W wyborach prezydenckich poparł Lecha Kaczyńskiego. Na wyborach się jednak nie skończyło. Rok temu, gdy zaczęło iskrzyć między premierem Kazimierzem Marcinkiewiczem a prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim, pojawiło się nazwisko Kluski. Jako tego, który miałby zastąpić Marcinkiewicza. Nikt oficjalnie tego wówczas nie potwierdził, ale i nikt temu nie zaprzeczał.

Wśród oficjalnych doradców premiera nie ma speców od ekonomii. Dwóch spośród czterech z tytułem głównego doradcy zajmuje się ZUS, bo kancelarię premiera trzeba przygotować do przejęcia kuratel nad tą instytucją (chodzi o odebranie Samoobronie kontroli nad ZUS-owskimi funduszami, gdyż kierująca

karstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Zapewnia jednak, że praca o Polakach na Wileńszczyźnie jest prawie gotowa.

W 2005 roku Dziedziczak został stypendystą rządu japońskiego i Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych w Tokio, dzięki czemu odbył szkolenie medialne w telewizjach Japonii, Australii i Nowej Zelandii. Otrzymał jednak to stypendium nie jako wybitny student, lecz w nagrodę za działalność społeczną, a konkretnie za harcercie zaangażowanie w organizację obchodów 60. rocznicy powstania warszawskiego. Był wówczas rzecznikiem Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej i jednym z pomysłodawców przejścia w ramach uroczystości rocznicowych warszawskimi kanałami. – Mówiło o nas BBC i CNN, to był wielki sukces – wspomina z dumą.

Choć jest człowiekiem PO, to właśnie jego wizję obecności Polski w UE realizują bracia Kaczyńscy

szefa rządu. Dziedziczak został najmłodszym z dotychczasowych rzeczników premiera po 1989 roku.

PREZYDENCKI KRĄG

Tak młodych doradców nie spotyka się w Pałacu Prezydenckim. Artur Piłka, najmłodszy oficjalny doradca Lecha Kaczyńskiego, ma 36 lat. Jest absolwentem

odeszła z ratusza po wygranej Hanny Gronkiewicz-Waltz. Od marca 2006 będzie przedstawicielem prezydenta w Komisji Nadzoru Bankowego.

Poza tym oficjalnymi doradcami prezydenta są Andrzej Urbański (53 lata) – wcześniej szef prezydenckiej kancelarii. Z funkcji tej zrezygnował, gdy media ujawniły, że w latach 90. był współinicjatorem oskarżonego o korupcję działacza SLD. Na dodatek pełnił w tej spółce funkcję prezesa, choć już był na urzędzie politycznym. W pałacu jednak pozostał.

Profesor Michał Kleiber (61 lat), który objął niedawno szefowanie PAN, zapewnia naukowe zaplecze dla prezydenta. Jan Olszewski (77 lat), były premier, pełni funkcję doradcy politycznego prezydenta i wciąż uchodzi w PiS za najlepszego, poza obecnym, premiera po 1989 roku.

Tomasz Zdrojewski (50 lat) jest doradcą do spraw zdrowia. To znajomy prezydenta z Sopotu, lekarz i wykładowca Akademii Medycznej w Gdańsku. Specem od samorządu w kancelarii prezydenckiej jest Wojciech Szczurek, 44-letni prezydent Gdyni. Sympaty-

Specjalny dostęp do braci Kaczyńskich mają także dwaj eurodeputowani PiS – Adam Bielan i Michał Kamiński. To oni jako nieformalni doradcy odpowiadają za strategię medialną partii rządzącej.

Pozostałe sprawy wydają się mieć dla braci znaczenie drugoplanowe, więc i wybitnych doradców do nich nie trzeba. Z wyjątkiem Ukrainy i Białorusi, gdzie premier i prezydent chcieliby odegrać znaczącą rolę, a najlepiej przebić to, co w czasach pomarańczowej rewolucji udało się prezydentom Wałęsie i Kwaśniewskiemu.

Generalnie w doborze doradców bracia Kaczyńscy nie kierują się zasadą kompetencji, podobnie jak czynią to, mianując swoich ministrów i współpracowników. W efekcie zamiast systemu wczesnego ostrzeżenia, który powinni tworzyć doradcy, powstało towarzystwo wzajemnej adoracji. Obowiązuje w nim jedynomyślność z pryncypałem, a nie ścieranie się pomysłów i burza mózgów.

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

Misiek show-biznesu

Ani błyskotliwy, ani przystojny, ani przebojowy.

MICHAŁ KOTERSKI – Sylwus z „Dnia świra” i „Wszyscy jesteśmy Chrystusami”

– wyrasta na nowego bohatera masowej wyobraźni

SYLWIA CZUBKOWSKA

U mównice się na spotkanie z Michałem Koterskim to zadanie dla dziennikarza śledczego. Najpierw szuka się do niego numeru telefonu wśród jego dalszych i bliższych znajomych. Po zebraniu trzech różnych numerów, z których żaden nie odpowiada, uderza się do producentów programów i seriali, w których występuje. Kolejne kilka numerów: też głuche. Potem słyszy się dwie rady: „Jedynym dysponentem aktualnego numeru do Miśka jest Wojewódzki” i „Z Koterskim można się skontaktować tylko przez jego dziewczynę Beatę”. Po dwóch tygodniach poszukiwań, siedmiu różnych numerach komórki, dwóch adresach e-mailowych w słuchawce swojego telefonu słyszę: – Halo, tu Michał Koterski, podobno mnie szukasz.

Na spotkanie spóźnił się 40 minut. – Autobus mi się zepsuł – nawet nie wysłała się na błyskotliwe wyjaśnienie. Zauważa siedzącego dwa stoliki dalej Marka Kondrata. Podbiega do niego i przytula się zupełnie jak w „Dniu świra”. Kondrat uczestniczący akurat w spotkaniu biznesowym z miejsca się rozpromienia.

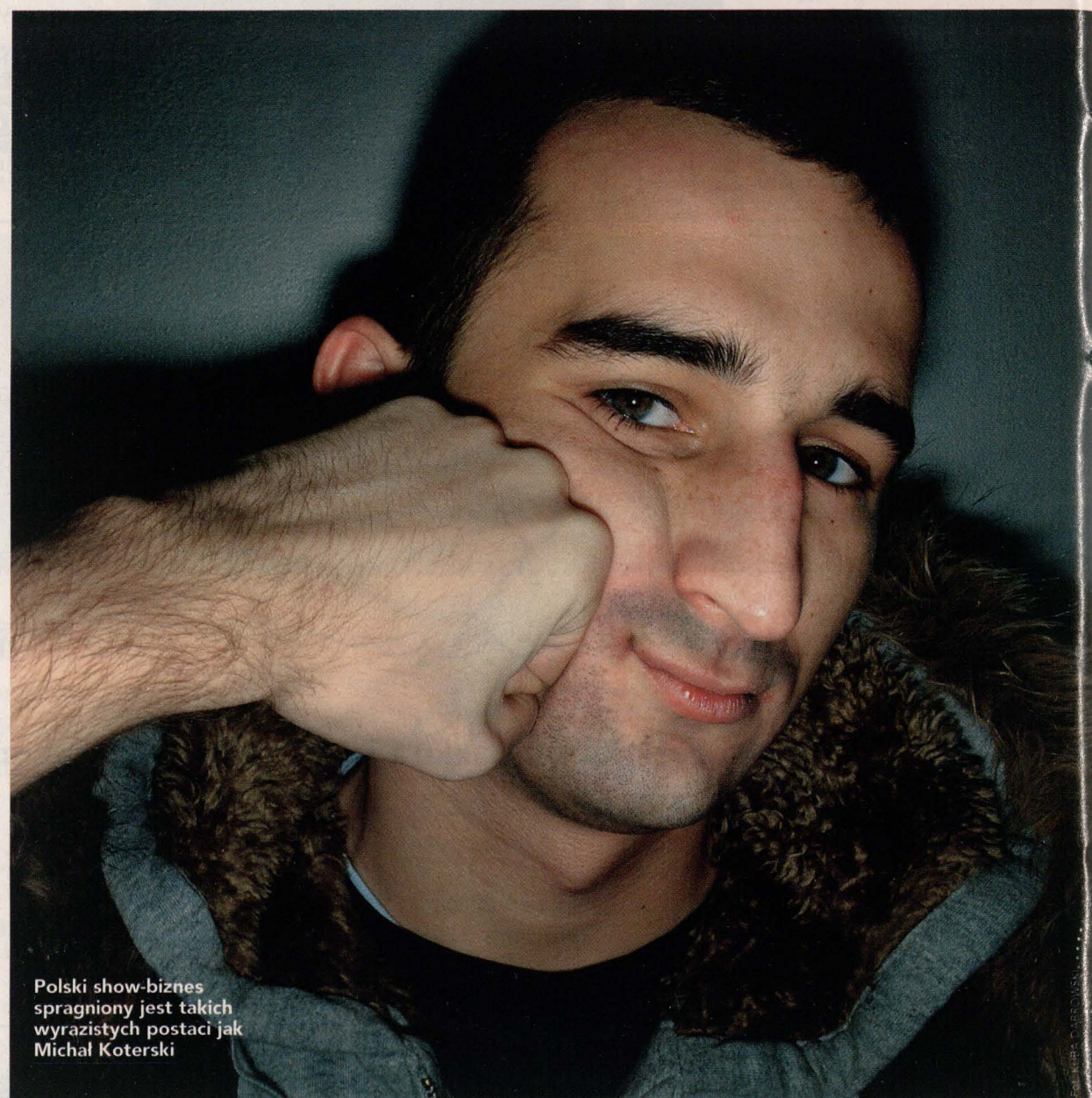
„Jak tatuś dzióbek stawia, to nie ma ch... we wsi” – właśnie dzięki temu i kilku innym barwnym cytatom połączonym ze specyficzną grą w „Dniu świra”, a potem we „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” młody Koterski stał się rozpoznawalny. A kiedy zaczął występować w programie Kuby Wojewódzkiego jako „raporter w terenie”, czytać blogi polityków w Antyradziu, a do tego dostał angaż do nowego serialu TVP „Królowie śródmieścia”, warszawka pokochała go miłośnica żarliwą niczym swoją najnowszą maskotkę.

A takich maskotek jak on jest coraz więcej. W amerykańskim magazynie „City Journal” ukazał się niedawno tekst analizujący fenomen nowego typu gwiazd. Modelowym przykładem była tam Paris Hilton, która dzięki pieniądзом rodziców i sztabowi speców od PR stała się symbolem naszych czasów. Koterski – choć od panny Hilton odległy o całe lata świetlne – gra w tę samą grę co ona. Hilton zaistniała dzięki wideonagraniam jej miłosnych igraszek, Koterski dzięki epizodom w filmach ojca. Paris buduje swój wizerunek na wmaianiu ludziom, że nie obejmują jej zakazy i nakazy społeczeństwa. Koterski też żyje poza sferą kanonów, choćby epatując własną dysfunkcjonalnością. Panna Hilton jest dla Amerykanów symbolem głupoty i próżności. Dzięki pozorowanej głupocie Koterskiego wszyscy czujemy się mądrzejsi. Tyle że podczas gdy sztab speców panny Hilton precyzyjnie planuje jej kolejne skandale, Misiek działa w pojedynkę i nie zawsze potrafi wyczuć granicę, której nie powinien przekraczać.

MA W SOBIE COŚ TAKIEGO

Sylwus w „Dniu świra” jest zabawny, we „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” – tragiczny. Nic dziwnego, przecież punktem wyjścia tej historii jest opowieść dorosłego już Sylwka, syna Adasia Miałczyńskiego, który całe swoje życie wspomina przez pryzmat alkoholizmu ojca. Reżyser i autor scenariusza Marek Koterski nigdy nie ukrywał, że to historia o nim i jego synu Michale. Ale już o filmie i roli swojego syna w jego powstaniu nie chce z dziennikarzami rozmawiać. Za to wszystkie przemówienia związane ze „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” zaczynał od podziękowań Michałowi, który zgodził się na powstanie tak osobistego dla nich obu obrazu. Choć już po „Dniu świra” Michał stał się rozpoznawalny, żadne propozycje go nie zasypały. Po zakończeniu zdjęć do „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” przez pół roku był nawet barmanem w jednym z warszawskich pubów.

Koterskiego dostrzeżono dopiero wtedy, gdy pokazał go światu Kuba Wojewódzki. – Zaprosiłem go jako gościa do programu. Pierwszym pytaniem, jakie mu zadałem, było: „W jednym z wywiadów z tobą przeczytałem, że masz



Polski show-biznes spragniony jest takich wyrazistych postaci jak Michał Koterski

dysleksję i dysgrafię. Co to znaczy?”. A on: „Nie wiem”. I jak mógłbym się w nim nie zakochać? – wspomina Wojewódzki.

Zaproponował Koterskiemu stałą współpracę przy programie i prowadzeniu polsatowskiego festiwalu TopTrendy. Tam Michał poznał szefa Antyradia Michała Figurskiego: – Wiele słyszałem już wcześniej o Miśku od Kuby, widziałem go w filmach ojca. On ma w sobie coś takiego, że człowiek, poznając go, natychmiast odnajduje w nim bratnią duszę. Jest po prostu rozbrajająco szczery i pogodny. Jak go poznałem osobiście, od razu poczułem to samo. Całą pierwszą noc spędziliśmy zresztą razem na zabawie. Skończyliśmy dopiero następnego dnia o 10 rano.

Michał trafił do Antyradia. Na innej imprezie wpadł w oko ludziom z MTV. Zaproponowali mu udział w kampanii społecznej na rzecz bezpiecznego seksu i w programie „Klasa MTV”. To wystarczyło, by Koterski znalazł się wśród celebrities. – Polski show-biznes jest spragniony takich wyrazistych postaci. Pełno w nim mdłych gwiazdek z telenowel, więc Koterski był objawieniem – ocenia go krytyk show-biznesu i autor blogu Showbiznes.eu Piotr Ostrach. Nic dziwnego, że Miśka zaczęli śledzić paparazzi, nawet osławiony łowca

gwiazd Przemek Stoppa. Przyciągała ich jego sława imprezowicza i „chłopaka z przeszłością”.

PIERWSZY NIEPOKORNY

W narkotyki, alkohol i krąg specyficznych znajomych wpadł jeszcze w liceum. Zabawy nie przerywał nawet podczas studiów na łódzkiej Filmówce. Wyrwał go z tego dopiero ojciec, który kilka lat temu zabrał go z Łodzi, załatwił mu studia i pracę w Katowicach. Dziś Michał znowu studiuje produkcję filmową w Łodzi i zarzeka się, że może być z niego lepszy producent, niż by się ktokolwiek spodziewał.

Ale wizerunek pierwszego niepokornego pozostał. Jego znajomi przerzucają się anegdotkami o „niegrzecznym” Miśku, który na rozdanie Europejskich Nagród Filmowych wpadł spóźniony ze dwie godziny, w bluzie z kapturem i tak po swojemu – Jot, jest zajeżdżony – zaczął się witać z gwiazdami z pierwszego rzędu. Na wręczeniu nagrody Nike poszedł do Adama Michnika i spytał go, czy jest trenerem koszykówki, a na imprezie „Aktivist” podobno już o 11 tak się upił, że trzeba go było odwieźć do domu.

Najpopularniejsza jest jednak opowieść o tym, jak przed kilkoma laty był barmanem w klubie Łódź Kaliska. Lu-

bił się zabawić i wypić, więc narobił sobie niezłych długów. Dokładniej na trzy tysiące złotych. Gdy menedżer pubu miał go zapytać, kiedy odda te pieniądze, odpowiedział: – Kiedy będę sławny i bogaty.

Wiesia Szczurtek, menedżerka klubu: – Koterski? O mój Boże. Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja Michała bardzo lubię, ale traktuję to jak zamknięty rozdzielacz.

– Nie zostawił u państwa pokazanego długu?

– Jego odejście pokryło ten dług.

– A nie zapewniał, że zwróci, jak będzie kiedyś sławny i bogaty?

– To już w kilku wersjach słyszałam, ale nigdy tak nie było.

Koterski zapytany o te pieniądze splonił się jak dziewczica: – No, nie oddałem ich.

– Nie jesteś jeszcze wystarczająco sławny czy bogaty?

– Ha, ha, ha, bogaty to na pewno nie.

Koterski nie broni się przed takim wizerunkiem, nawet sam go kreuje. Na recenzję z „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” zamieszczoną w „Przekroju” – „Michał Koterski, który gra »synusia«, nie ma aktorskiego doświadczenia, więc duka swoje kwestie, co paradoksalnie przydaje mu wiarygodności” – zareagował zbluzganiem recenzentki w programie Wojewódzkiego.

W Gdyni na festiwalu gwiazd prowadził się z Anną Muchą, wtedy jeszcze dziewczyną Wojewódzkiego, by później z rozbrajającą szczerością wyznać, że Mucha w ogóle go nie interesuje, że „potrzebował jej tylko do lansu”. Niedługo potem na widok fotografów ściągnął spodnie i się wypiał. Zauważył to patrol policji, co Koterski ku ucieście dziennikarzy „Faktu” skomentował: „Nie wiedziałem, że moja d... może być karalna”.

– On wpadł w show-biznes, ale to była wpadka kontrolowana. Wie, że taki rozgłos w odpowiednich ilościach może być mu przydatny – zapewnia jedna z dziennikarek piszących o polskich gwiazdach.

– Koterski wie, na czym polega ta gra, i dosyć sprawnie w nią gra. Dzisiejszy świat jest taki cały „na niby”. Nic nie jest pewne – tłumaczy kulturoznawca Wiesław Godzic. – I on też taki jest. Oglądając go, nie możemy być niczego pewni. Czy mówi na poważnie, czy żartuje? Jest trzeźwy czy pijany?

DZIECKO Z PROBLEMAMI

– O tym młodym człowieku mamy rozmawiać? – tak 28-letnia Odeta Moro-Figurska, dziennikarka robiąca wywiady dla telewizji VH1, zareagowała na propozycję rozmowy o Koterskim, również 28-latką.

– Młodym człowieku?

– Tak, bo tak naprawdę to takie duże zbłąkane dziecko z problemami.

O Koterskim wszyscy mówią per „Misiek” lub „Kocio”, nawet jego filmowe postaci noszą mało poważne imiona, na przykład „Sylwus” lub „Słonio”.

– Wśród aktorów był także mocno aktywny siedmiolatek. Zajmował się nim mój asystent, ale już opieka nad Koterskim

Jak chcą mnie na gwiazdę, to niech mi dadzą się poczuć jak gwiazdzie, także finansowo

była ponad jego siły. Michał potrafił wyjść na chwilę do sklepu czy na papierosa i nie było go przez kilka godzin – opowiada Maciek Migas, reżyser „Królów śródmieścia”.

Michał jeszcze niedawno w wywiadach opowiadał o swoim wieloletnim związku z Sylwią, dziewczyną, która go utrzymywała i zajmowała się nim. W ubiegłym roku na imprezie poznał Beatę. Zakochał się, zerwał z dawną partnerką, ale i Beata pełni funkcję trochę jego opiekunki, trochę agenta.

– Obawiam się jednego. Kiedyś nie przyjdzie na jakieś nagranie, spóźni się na plan i go wywalą. Pójdzie fama i skończy się jego kariera – ostrzega Sambor Wilk, producent „Klasy MTV”.

– Trzy razy chciałem go uśmiercić, raz już nawet zapowiedziałem to scenarzyście. Po prostu przeginał – opowiada Paweł Wierkowski, szef produkcji serialu „Królowie śródmieścia”, gdzie Koterski grał kuriera narkomana, wieczonego wolnego ptaka. – Ale przychodził, kajał się, nawet pakał i jakoś mu się wybaczało.

Mimo tych kłopotów Michał stał się taką serialową maskotką. Także tutaj jest bohaterem dziesiątek opowieści: że w planie zdjęć zapisane było odebranie go o 7 rano spod klubu Ekstaza, że kiedyś przyjechał na plan prosto ze szpitala

z ledwie co zaszytą dziurą w brzuchu (efekt weekendowego wypadu na quady) lub że nie pamiętał numeru swojego konta bankowego, więc podawał konto swojej dziewczyny. Aż raz wpadł z obłędem w oczach do kadru i wykrzyczał: – Co zrobiliście?! Przelaliście kasę mojej dziewczynie, a ja już z nią nie jestem!

– Dzwonili do nas z Antyradia, jakichś innych planów filmowych, telewizji, szukali go, bo im mówił, że będzie u nas. Czasem i nam robił takie numery. Mówił: „Będę w radiu”. Dzwoniło się tam, a oni byli święcie przekonani, że go nie ma, bo ma u nas zdjęcia – opowiada Marek Pelka, asystent producenta.

I wreszcie nie wytrzymali. Z Antyradia Koterskiego przegrano w grudniu. Misiek twierdzi, że był to wynik braku szacunku zarządu stacji dla jego pracy. Figurski zapewnia, że to jeszcze nie koniec i po prostu stacja „szuka nowej formuły dla Koterskiego”. A dziennikarze radia mówią wprost: – Raz, drugi nie przyszedł na nagranie, nikogo nie zawiadomił, i pożegnano się z nim.

PRACUJĄCY CHŁOPAK

Nadal pracuje z Wojewódzkim. – Nowa transza programu rusza w lutym i Michał oczywiście w nim będzie. Potem chciałbym namówić zarząd TVN, by dali mu szansę na coś solowego – zapewnia Wojewódzki. – Zresztą miał już podobną propozycję od Polsatu.

– Zaproponowali mi prowadzenie autorskiego programu, i to nadawanego w tych samych godzinach co show Kuby – wyjaśnia Koterski. – Najpierw obiecywali mi swobodę, kasę i najwyższą jakość. A jak przyszło co do czego, to wszystko chcieli jak najmniejszymi środkami. Więc podziękowałem. Coś mnie tam straszyle, że już nigdy nic w tej stacji nie zrobię, ale się nie przejąłem.

Program nie wypalił, w Antyradziu klapa. Ale Koterski nie narzeka na brak propozycji. – Niektóre to mnie powalaly. Jakieś prośby o występ jako gwiazda w „Nianiach” i „Helach”. Że niby miałbym się pojawić w jednym odcinku, przejść i wygłosić parę zdań. Dzwonili już chyba z dziesięć razy, ale ja tego nie chcę. Zresztą, wiesz, jaką stawkę dawali? 1500 złotych. Więc powiedziałem, że jak chcą mnie na gwiazdę, to niech mi dadzą się poczuć jak gwiazdzie, także finansowo.

Odrzuca propozycje reklamowe. – Pewien browar zaproponował mi naprawdę ogromną kasę. Ale jak sobie pomyślałem o wyrzeczeniach, jakie ponosił mój ojciec, który nigdy żadnej reklamy nie zrobił, to po prostu nie mogłem.

Dlatego też nie zdecydował się na propozycję firmy Nike, by razem z Wojewódzkim przygotowali projekt butów.

– Ja chcę tylko i wyłącznie być wielkim aktorem – powtarza jak mantrę, ale na castingi nie chodzi. – Byłem raz, kazali mi się zachowywać jak jakieś małpie w cyrku. Jakieś kawały opowiadać. To nie dla mnie.

Więc gdyby nie Małgorzata Adamska, znajoma Marka Koterskiego, reżyserka i szefowa castingów, nie dostałby roli ani w „Zaginionej”, ani w „Królach śródmieścia”, ani w „Odwroconych”. Wszędzie go rekomendowała. – Pewnie, że nie ma wykształcenia aktorskiego, ale ma to „coś”. Taką prawdę w sobie. Wiem też, że ma ogromne możliwości. Widziałam to we „Wszyscy jesteśmy Chrystusami”. To była naprawdę bardzo trudna rola i razem z jego ojcem poważnie się baliśmy, czy da sobie z nią radę.

Większość moich rozmówców jest zgodna co do jednego – Michała będzie można ocenić jako aktora, dopiero kiedy ktoś da mu szansę zagrać rolę, w której nie będzie sobą. – Ja sam więcej niż chętnie chciałbym go w takiej roli wyreżyserować – zapewnia Migas.

Marek Kondrat milczy na temat zdolności aktorskich Michała, ale zapewnia, że go bardzo lubi i ceni jego zdystansowaną ocenę własnego życia. Surowo ocenia go jednak Godzic: – To aktor, który mówi: patrzcie, ja gram. A przecież nie na tym polega aktorstwo. I nie w aktorstwie powinien on szukać drogi dla siebie. Jest trochę nieprzystosowany, odgrywa rolę takiego wiejskiego głupka. Może jednak stać się także Stańczykiem, który będzie dzisiejsze przywary polskiego show-biznesu wymieniał. Jednak na razie za bardzo liczy na to, że sam z siebie jest taki świetny. Za mało nad sobą pracuje, a nie ma przecież sztabu specjalistów, którzy by to robili za niego.

– Jemu bardzo przydałaby się jakaś pomoc, opieka nad jego karierą. Bez tego ktoś może go skrzywdzić – uważa Piotr Ostrach. Potwierdza tę opinię Odeta Moro-Figurska: – Michał uciekł od podejmowania decyzji. Angażuje się w dziesiątki różnych rzeczy, nie może sobie dać z nimi rady, nie ma agenta i nic dziwnego, że potem zawala.

Misiek właśnie wpadł na nowy pomysł: – Chciałbym o takim chłopaku jak ja, co jeszcze kilka lat temu siedział przed blokiem, a teraz otwierają się przed nimi dziesiątki drzwi i on trochę się w tym świecie gubi, pisać felietony. Może właśnie do „Przekroju”?

NA ZIMĘ BOIRON POLECA

Ostre infekcje wirusowe górnych dróg oddechowych wywołane przez wirusy oddechowe oraz grypa występują powszechnie w okresie jesieni i zimy. Ich leczenie polega zwykle na zaleceniu pacjentowi pozostania w łóżku oraz leczeniu ewentualnych powikłań. Wielu lekarzy przepisuje też swoim pacjentom leki homeopatyczne. Jednym z nich jest **Oscillococcinum***, opatentowany lek w postaci mikrogranulek, znany w większości krajów Europy, w Stanach Zjednoczonych i innych częściach świata.

Skuteczność **Oscillococcinum*** została potwierdzona w wielu badaniach klinicznych prowadzonych systematycznie od 1983 roku.

OSCILLOCOCCINUM skuteczny lek na grype i przeziębienia

Należy do najbardziej uniwersalnych leków homeopatycznych stosowanych w profilaktyce i leczeniu objawów grypy i przeziębienia u dorosłych i dzieci. Działanie leku **Oscillococcinum*** jest tym skuteczniejsze i szybsze im wcześniej zostanie on zastosowany od momentu wystąpienia pierwszych objawów infekcji.



- leczenie zapobiegawcze: w okresie zwiększonej zachorowalności na grype i przeziębienia należy przyjmować jedną dawkę tygodniowo
- pierwsze objawy grypy i przeziębienia: zażyj jak najwcześniej jedną dawkę leku; w razie potrzeby powtórz 2-3 razy co 6 godzin
- rozwinięta infekcja grypowa: przyjmować po jednej dawce leku rano i wieczorem przez 6 dni. Jeżeli objawy choroby utrzymują się dłużej niż 3 dni, należy udać się do lekarza.

Oscillococcinum*

- szybko usuwa i łagodzi objawy infekcji
- skraca czas przeziębienia i grypy
- jest lekiem skutecznym, bezpiecznym i dobrze tolerowanym
- nie posiada przeciwwskazań, nie wchodzi w interakcje z innymi lekami.

PARAGRIPPE pomaga zwalczyć rozwiniętą infekcję grypową

Lek ten jest idealnym uzupełnieniem do **Oscillococcinum*** w leczeniu objawów rozwiniętych infekcji grypowych i przeziębień przebiegających z bólami głowy, bólami mięśniowo-stawowymi, dreszczami i uczuciem ogólnego rozbicia. Lek należy przyjmować od momentu wystąpienia objawów świadczących o infekcji grypowej: ssać powoli po 2 tabletki co 1-2 godziny, wydłużając przerwy w miarę następowania poprawy. Tabletki można też rozpuścić w niewielkiej ilości wody.

Paragrippe*

- można podawać dorosłym i dzieciom
- nie wywołuje żadnych interakcji, może być stosowany z innymi lekami
- nie wywołuje znanych działań ubocznych.



Sponsorem cyklu jest

LABORATOIRES
BOIRON*
www.boiron.pl

Produkty złożone. Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje o stosowaniu produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Zamiast odejść w glorii wielkiego reformatora, kończy rządy w aurze kłamstw i oskarżeń o korupcję. Tony Blair ma już tylko jedną ambicję: wytrwać u władzy dłużej niż Margaret Thatcher

JOANNA WOŹNICZKO,
LUKASZ WÓJCIK

Ulica nie zostawia na premierze suchej nitki. Przewisko „Teflonowy Tony”, którego jeszcze parę lat temu problemy się nie miały, zastąpił „Toksyczny Tony”, a hasło „polityki bielszej niż biel”, z którym brytyjski premier szedł 10 lat temu do wyborów, brzmi dziś jak kpina. Londyńskie dzienniki ogłaszają konkursy pomysłów na prezent pożądany dla Blaira – w rankingu prowadzą bilet do Iraku oraz tytuł szlachecki.

Prezenty są nieprzypadkowe. Jeśli niepopularna wojna podważyła zaufanie wyborców do Tony'ego Blaira, to skandal z rozdawaniem miejsc w Izbie Lordów potwierdził najgorsze przecucia Brytyjczyków: że Nowa Partia Pracy jest równie podatna na korupcję i zepsucie władzą jak wszystkie inne partie, a sam Blair powinien odejść. Afera z tytułami szlacheckimi może nie tylko przyspieszyć jego dymisję, ale zrujnować zasłużony wizerunek reformatora, na który pracował przez ostatnich 10 lat. A śledztwo jeszcze wciąż trwa.

JESTEM MALCOLM, CHCĘ BYĆ LORDEM

21 stycznia Ruth Turner, dyrektor kancelarii premiera do spraw kontaktów z parlamentem, musiała przyjąć poranną wizytę. Po zwiewną pannę Turner przyjechało bładym świtem czterech uzbrojonych po zęby policjantów. Aresztowanie jednej z najbliższych współpracownic Blaira postawiło na nogi całe Downing Street, zwłaszcza że kilka dni wcześniej Scotland Yard przesłuchał jako podejrzanego szefa kancelarii Johnathana Powella. Po 11-miesięcznym śledztwie policja nieoczekiwanie uderzyła bardzo blisko samego premiera.

Pierwszy sygnał afery, która zagraża dziś Blairowi, pojawił się ponad rok temu. 15 stycznia ubiegłego roku do Desa Smitha, członka Fundacji Szkół Specjalistycznych i Akademii, przyszedł niejaki Malcolm – biznesmen pałający chęcią zasponsorowania dowolnej uczelni. Smith przyjął gościa z entuzjazmem, właśnie takich ludzi szukał. Fundacja to oczko w głowie Blaira – dzięki niej w najbardziej ubogich regionach



Jak Tony tonie

kraju miały powstać placówki naukowe. 200 szkół na 2010 rok – tak brzmiała ambitne zadanie. Brakowało tylko bogatych fundatorów.

Des Smith przedstawił Malcolmowi ofertę: w zależności od wysokości dotacji mógł otrzymać tytuł Oficera, Komandora albo wręcz Kawalera Orderu Brytyjskiego Imperium. Ten ostatni to największa gratka, bo wiąże się z rycerskim tytułem „sir” i przynależnością do ekskluzywnego grona, w którym są już tacy rycerze, jak Richard Branson, Paul McCartney czy Alex Ferguson. A dla najhojniejszych pan Smith miał specjalną nagrodę: tytuł lordowski, czyli prawo zasiadania w izbie wyższej brytyjskiego parlamentu. – Premier po prostu zarekomenduje pana do Izby Lordów. To nasza normalna praktyka – wyjaśnił dobroliwie biznesmenowi.

Wyższa izba brytyjskiego parlamentu to niemal 800 lordów. Po dawnej potędze politycznej dziś pozostały już tylko prestiż i królewskie ceremonie

Na jego nieszczęście Malcolm okazał się dziennikarzem „Sunday Timesa”. – Ta historia to nonsens – dementował nazajutrz sensacyjną publikację rzecznik premiera. Śledztwo ruszyło dopiero dwa miesiące później, Smitha aresztowano po raz pierwszy 13 kwietnia. I nawet wtedy nikt nie przypuszczał, że afera „szlachectwo za gotówkę” dosięgnie samego Blaira.

SZPITALA ŁOŻA NA WYBORY

Reorganizacja Izby Lordów była sztandarem hasłem laburzystów w zwycięskiej

kampanii wyborczej z 1997 roku. Niektórzy członkowie Partii Pracy mówili nawet o likwidacji feudalnego przeżytku, jakim jest House of Lords. Przez opór samych lordów skończyło się jednak na niewielkim ograniczeniu ich liczby. I wprowadzeniu do Izby kilku cennych sponsorów Nowej Partii Pracy.

Dziś w Izbie zasiada już tylko 90 lordów dziedzicznych, w tym kilku biskupów. Reszta, ponad 700, to lordowie z nadania, których tytuł wygasa wraz ze śmiercią. Na tej drugiej liście znajdują się naukowcy, przed-



Blair ogłasza program RESPECT, ostatnią reformę społeczną swojego rządu przed jego politycznym paraliżem

siębiorycy i ludzie zasłużeni dla brytyjskiej korony. Formalnie mianuje ich królowa, ale listę kandydatów przygotowuje premier. I tu tkwi pokusa, której ulegała po kolei większość brytyjskich rządów.

W marcu z Izby Lordów wyciekło pismo, które zaalarmowało całą Brytanię. „Doszły mnie wieści, że doradziliście premierowi wycofać moją kandydaturę z listy nominacji do Izby Lordów. Jestem tym głęboko rozczarowany. Moja reputacja znowu cierpi” – napisał do komisji weryfikującej nominację biznesmen Chai Patel.

Reputacja pana Patela ucierpiała nie po raz pierwszy. Najbardziej, gdy oskarżono go o mactwa w publicznej służbie zdrowia. Jako dyrektor państwowych szpitali i domów opieki wypłacał sobie wielotysięczne pensje, choć kierowane przez niego placówki tonęły w długach. Teraz Brytyjczycy dowiedzieli się, na co doktor Chai wydawał swoje tysiące. Na Partię Pracy. A ściślej – na niskoprocentowane pożyczki udzielone na kampanię wyborczą New Labour w 2005 roku. Gdy lordowska komisja zakwestionowała nominację Patela, ten wyznał dziennikarzom, że żałuje swojej hojności. Bo laburzyści nie dotrzymali słowa i wbrew umowie nie zapewnili mu miejsca w Izbie Lordów. Razem z nim Partię Pracy finansowało jeszcze 13 biznesmenów, łącznie wyłożyli

na kampanię 14 milionów funtów, a czterech z nich Tony Blair zarekomendował potem do tytułu szlacheckiego. – Traktowali nas jak marionetki. Bogaczy, którzy chcą zdobyć błyskotkę. Tą błyskotką był tytuł lorda – zwierzał się rozżalony Patel. – Nikt nie rozmawiał z nami o naszych osiągnięciach ani o naszym życiu. Nikt nie interesował się, czy znamy się na ustawodawstwie i jakie mamy poglądy polityczne.

– Korupcja zawsze była obecna w polityce. Tu chodzi jednak o mechanizm, który sam w sobie jest korupcyjny. Izba Lordów już dawno powinna zostać zreformowana, a partyjne finanse powinny być jak najbardziej przejrzyste – mówi Maria Sciera z Constitutional Unit, brytyjskiego think tanku zajmującego się reformą ustrojową.

LORD BANKOMAT IDZIE SIEDZIEĆ

Śledztwo Scotland Yardu ruszyło 21 marca. Sprawą zajął się detektyw John Yates, specjalista od zabójstw. Bezkompromisowy, głoszący, że nikt nie stoi ponad prawem, szybko doprowadził do zatrzymania Desa Smitha. Ale Yates chciał dorwać grubsze ryby. Trop dotacji doprowadził go do lorda Michaela Levy'ego, zaufanego skarbnika Blaira, który zajmował się gromadzeniem funduszy na kampanie New Labour. Wśród laburzystów wybuchła panika.

Levy świetnie nadawał się do kaptowania zamożnych fundatorów. Był impresario brytyjskich gwiazd muzycznych ma sporo przyjaciół w show-biznesie i nosa do interesów. Tytułu lordowskiego dorobił się, wytrwale wyszukując ofiarodawców – pieniądze na Partię Pracy zbiera już od 10 lat.

Gordon Brown, wieczny następca

Niepozorny pan Brown jest ministrem skarbu już od 10 lat, mniej więcej tyle samo czasu przymierza się do premierostwa. Od Tony'ego Blaira różni się niemal wszystkim, a zwłaszcza charyzmą – Gordon Brown po prostu jej nie posiada. Jest natomiast wybitnym znawcą ekonomii i ojcem cudu gospodarczego, jakim jest Wielka Brytania na tle reszty Europy Zachodniej. Zanim został politykiem, 51-letni Brown był między innymi rektorem Uniwersytetu w Edynburgu, dziennikarzem



telewizyjnym i graczem rugby. W 1979 roku pierwszy raz dostał się do Izby Gmin ze szkockiego okręgu Dunfermline East (Brown często podkreśla swoje szkockie pochodzenie). W 1994 roku, po nagłej śmierci lidera Partii Pracy Johna Smitha, zawarł sojusz polityczny z Blair'em. Legenda mówi, że Tony obiecał Gordonowi wolną rękę w sprawach gospodarczych, jeśli on poprze go na szefa partii. Po wygranych wyborach w 1997 Brown został kanclerzem skarbu. Ale to ostatnia spełniona obietnica dana przez Blaira Brownowi. Kanclerz od lat czeka, aż premier ustąpi mu miejsca, a ten przesuwając kolejne terminy odejścia. We wrześniu ubiegłego roku Brown z tylnego siedzenia kierował partyjnym puczem, po którym premier określił nieoficjalną, mającą datę swojego odejścia. Teraz cierpliwie czeka na klucze do kamienicy przy Downing Street 10. (LUC)

Aresztowanie Levy'ego było sygnałem, że detektyw Yates nie boi się premiera. Londyn huczał od plotek, że Blair będzie następny, ale premier został tylko dwukrotnie przesłuchany, każdorazowo w roli świadka. Zapewnienia, że nie wiedział nic o kupczeniu szlachectwami przez jego własną partię, potwierdziły tylko opinie kłamy, którą premier cieszy się od wojny w Iraku. Śledztwo zdawało się tracić impet, a oskarżenia omijały Downing Street. Aż do stycznia tego roku, kiedy Metropolitan Police aresztowała Ruth Turner i przesłuchała szefa kancelarii Blaira.

Sami laburzyści przyznają, że Turner była wymarzoną kuzynką ofiar. 36-letnia, samotna, cicha córka profesora teologii – jedyne, co można jej wypomnieć, to rozbrajające zwierzenie z lubością cytowane przez prasę: – Nigdy nie miałam zamiaru wstąpić do Partii Pracy. Po prostu dałam się porwać niewłaściwemu tłumowi.

Najwierniejsi sojusznicy Blaira komentowali, że śledztwo służy wyłącznie dyskredytacji premiera. – Ostrzegam was, żebyście się zamknęli – odparli dwóm byłym ministrom Len Duvall, szef komisji nadzorującej Metropolitan Police i członek Partii Pracy. – Przeście się stękać, jęczeć i zawodzić. Kiedy wszystkie informacje wyjdą na jaw, możecie żałować swoich słów. I będziecie wtedy wyglądać jak pieprzeni idioci.

Co to za informacje? Jakimi dowodami dysponuje policja? Te pytania stawia sobie cały Londyn, ale dowody wcale nie muszą być rozstrzygające. Yates może oskarżyć ekipę Blaira nie o karalne kupczenie tytułami (co jest trudne do udowodnienia), ale o utrudnianie śledztwa w tej sprawie. Ten właśnie zarzut postawiono Turner, która miała zniszczyć e-maile wymieniane z premierem w sprawie dobijania targów „tytuły za kasę”.

Brzmi niegroźnie, tyle że osiem lat temu za „utrudnianie śledztwa” poszedł sędzić Jonathan Aitken, sekretarz stanu w rządzie Johna Majora (nie udało mu udowodnić przekrętów w kontraktach zbrojeniowych z Saudyjczykami). Nic dziwnego, że aresztowanie Turner wywołało na Downing Street panikę.

NIECHCIANY KOCHANY PRZYWÓDCA

Wątpliwe, by Scotland Yard postawił zarzuty samemu Blairowi, ale skazanie jego najbliższych współpracowników może definitywnie przekreślić dorobek jego 10-letnich rządów. Kłopoty z prawem nakładają się na słabnącą pozycję premiera we własnej partii.

Od wojny w Iraku Blair jest dla New Labour rosnącym obciążeniem, a sami Brytyjczycy chętnie zobaczyliby przy Downing Street kogoś nowego. Z drugiej strony Partia Pracy nie ma w swoich szeregach równie charyzmatycznego lidera. Nie jest nim na pewno Gordon

Brown, który w maju ma przejąć od Blaira tekę premiera (patrz ramka).

Rosnąca w siłę partyjna opozycja domaga się przyspieszenia zmiany przy Downing Street, bo kłopoty Blaira ciągną laburzystów w dół. Według najnowszego sondażu agencji IMC 56 procent pytanym Brytyjczyków chce rezygnacji premiera, a 66 procent uważa, że Blair utrudnia śledztwo w sprawie kupczenia tytułami lordowskimi. Blair jednak trwa. Za wszelką cenę chce pozostać premierem do 2 maja, kiedy minie 10 lat od objęcia przez niego rządów. Jednocześnie po cichu przygotowuje swoje odejście. ■

Więcej o Wielkiej Brytanii w WP.PL w serwisie wiadomosci.wp.pl

Antidotum na zimową chandrę

DZIECI WIEDZĄ LEPIEJ 2



Czy wiedzą Państwo, że...

...dziecko rodzi się dzięki uprzejmości taty

...młodzież nie powinna pić alkoholu we krwi

...płeć to jest coś takiego co wyrasta z człowieka

...domy nachodzą duchy ze starych przodków?

Czy zauważyli Państwo, że...

...myśli nalegają się w wilgoci

...kiedy człowiek jedzie do Tubylców to zazwyczaj wraca zjedzony?

Czy mimo wszystko wybrałoby się Państwo w góry Origami?

Ja tam byłam. Wróciłam cała i zdrowa, może tylko trochę bardziej zaskoczona.

Kasia Stoparczyk

Więcej o płytach POLSKIEGO RADIA na stronie: polskieradio.pl/rf

patroni medialni:



Patronem płyt jest galeria rysunków NERETKA SAWKI PRZYSŁAWKA.PL



Scarlett

CHRISTOPHER GOODWIN/© CULTURE, LONDON

JOHANSSON

Dziewczyna z werwą

Żegnaj, nastoletnia syreno ekranu! **SCARLETT JOHANSSON** jest teraz muzą Woody'ego Allena. I jest mądrzejsza, niż by na to wskazywał jej wiek

Kiedy ma się najbardziej kuszące usta w Hollywood, jedzenie jest aktem niezwykle zmysłowym. To wyjaśnia, dlaczego zaledwie minutę po spotkaniu Scarlett Johansson jestem niepokojąco podenerwowany. Wsuwa bajgiel z wędzonym lososiem, ale ponieważ losos jest nieco włóknisty, musi wpychać go między pulchne usta palcami. Potem oblizuje wargi, a na końcu palce, jeden po drugim, czyszcząc je w ten sposób z resztek ryby... Taak, o co to ja miałem ją zapytać?

Nie czuję się specjalnie zepsuty, odkrywając, że erotyczny ładunek Johansson działa nawet na mnie. W końcu najbardziej ekscytująca od lat młoda aktorka buduje swoją imponującą karierę na doprowadzaniu starszych facetów do szału. Do publicznej świadomości przebiła się jako *fille fatale* „Między słowami”, który nakręcono, gdy miała zaledwie 17 lat, i w „Dziewczynie z perłą”. Za oba filmy zdobyła nominację do Złotego Globu. Gdy tak siedzi teraz w Nowym Jorku z blond włosami związanymi w luźny koński ogon, nie ulega wątpliwości, że jest dorosła. W nocy przed naszym spotkaniem hucznie obchodziła swoje 21. urodziny. Widać, że mało spała.

Jednak nawet senną Johansson otacza niepowtarzalna aura hollywoodzkiej seksbomby w starym stylu. Tak, udowodniła, że potrafi grać, ale nie możemy przecież zapomnieć o efekcie wspomnianych ust, o figurze tak ponętnej, że na myśl przychodzi Marilyn Monroe, i głosie tak uwodzicielsko chrapliwym, że zaczęto ją porównywać z młodą Lauren Bacall, która miała zaledwie 19 lat, gdy pierwszy raz złowiła na ekranie znacznie starszego Humphreya Bogarta. Cóż, przynajmniej ja nie mogę.

Do jej wizerunku nieletniej przynęty dla intelektualistów w średnim wieku przyczyniła się wypowiedź w jednym z wywiadów, w którym stwierdziła, że nie wyobraża sobie umiawiania się z kimkolwiek poniżej trzydziestki. Zważywszy na takie preferencje, było tylko kwestią czasu, kiedy Johansson zwróci na siebie uwagę Woody'ego Allena, który wie to i owo o przedwcześnie dojrzałych seksualnie młodych kobietach. Johansson została najnowszą muzą Allena i zagrała główne role w jego dwóch ostatnich filmach: „Wszystko gra” i „Scoop”. Oba kręcono w Londynie i oba po raz pierwszy są tak mocno osadzone poza ukochanym przez reżysera Manhattanem. „Wszystko gra” to zaskakująco mroczny dramat psychologiczny przywodzący na myśl powieści Patricii Highsmith i filmy Claude'a Chabrola.

We „Wszystko gra” kamera Allena obserwowała każdy por świetlistego ciała Johansson. Tu także zagrała młodą syrenę – choć tym razem ofiarą, która rozbija się na jej zwodniczo miękkich skałach, jest bliższy jej wiekiem Jonathan Rhys Meyers występujący w roli młodego człowieka na progu brytyjskiej elity, który popada w niebezpieczną fascynację Johansson. Punktem kulminacyjnym filmu jest intensywna scena erotyczna na skąpanym w deszczu angielskim polu – z pewnością pierwsza tego typu scena w filmografii Allena.

Byla w Kalifornii i chciałam zrobić sobie wakacje, gdy zadzwonił mój agent. Powiedział, że Woody Allen jest zainteresowany – wspomina Johansson. – Zaczniemy od tego, że wystarczy jakakolwiek wzmianka o Allenie, a ja staję na baczność. Oglądałam jego filmy, gdy byłam na to jeszcze o wiele za młoda. Jest jednym z niewielu reżyserów, za pracę z którym dałabym się pokroić. Na szczęście nie musiałam. On zadzwonił i powiedział, że aktorka, która miała grać moją rolę, wycofała się i czy rozważyłabym jej przyjęcie? „Czy bym rozważyła?” – powiedziałam. „Już tam jestem”. Tydzień później byłam na planie.

Johansson tak dobrze pracowała się z Allenem, że zagrała także w jego następnym filmie „Scoop” – komedii z udziałem Hugh Jackmana i Lana McShane'a. Robienie komedii z Allenem to zaskakująco poważna sprawa. – We „Wszystko gra” czterostronicową scenę

kręciliśmy dwa lub trzy razy i szliśmy dalej – mówi Johansson. – W „Scoop” jedną stronę poprawialiśmy osiem albo dziewięć razy, zanim Allen był zadowolony.

Choć wszyscy wiedzą, że Johansson jest nad wiek rozważna, nie mogę opędnąć się od jednego pytania: czy nigdy nie czuła dyskomfortu z tego powodu, że reżyserzy i publiczność żerują na jej nastoletniej seksualności, napawając się każdym centymetrem jej wdzięków? Zarówno w „Między słowami”, jak i w „Dziewczynie z perłą” dramatyczne napięcie filmu opiera się na przełomowym wpływie, jaki bohaterka wywiera na życie starszego od siebie mężczyzny – Billa Murraya w roli wypalonego aktora i Colina Firtha jako posępnego malarza Jana Vermeera. „Między słowami” otwiera słynna scena z najazdem kamery na pupę Johansson.

– Nigdy nie myślałam o tym jak o napaści – odpowiada po chwili milczenia. – Jako aktorzy decydujemy się na to, by każda nasza emocja została uchwycona w filmie, i nigdy nie myślałam o tym w kategoriach wyzysku. Mam nadzieję, że potrafię przekazać to, co czuję. O to w tym wszystkim chodzi. Czuję się dobrze jako młoda kobieta, jako młoda, nowoczesna, wyzwolona osoba. Dobrze mi z moją seksualnością. Gdyby ktoś chciał wejść z butami w moje prywatne życie uczuciowe, to inna historia. Bardzo go strzeżę, bo nie uważam, by bycie osobą publiczną oznaczało, że moje całe życie należy do publiczności. Jestem aktorką, nie podpisywałam kontraktu na obnażanie całego mojego życia. Jeżeli jednak chodzi o moje uczucia do postaci granej przez Billa w „Między słowami” czy Colina w „Dziewczynie z perłą”, to są one piękną częścią tej historii.



W „Dziewczynie z perłą” Johansson wcieliła się w obiekt westchnień i źródło inspiracji holenderskiego malarza Jana Vermeera



Fot. CLIFF WATTS/ICON

– Potrafi przekazywać uczucia i głębię, prawie nic nie robiąc. Poza tym lubię jej niski głos – mówi Sofia Coppola, która odkryła dojrzały talent Johansson w filmie „Między słowami”

Johansson jest wyraźnie zadowolona z dotychczasowego przebiegu swojej kariery. Przyznaje jednak, że popularność, jaką zyskała nieoczekiwanie w 2003 roku, kiedy na ekrany weszły „Między słowami” i „Dziewczyna z perłą”, wytrąciła ją nieco z równowagi. – Byłam bardzo podekscytowana obydwojema filmami – mówi. – Włożyłam w nie wiele pracy i byłam naprawdę szczęśliwa, że zostały tak wspaniale odebrane, ale byłam wyczerpana. Właśnie skończyłam szkołę średnią i zaliczyłam pierwsze rozstanie. Po raz pierwszy byłam młodą, samotną osobą. Niełatwo było poradzić sobie z całą tą popularnością.

Ta popularność zaowocowała między innymi zainteresowaniem Toma Cruise'a, który chciał ją obsadzić w roli swojej flamy w „Mission Impossible III”. Johansson wycofała się jednak z projektu krótko po tym, jak Cruise zabrał ją na wycieczkę do Centrum Scjentologicznego w Hollywood. Tabloidy spekulowały, że aktor miał wobec niej nie tylko zawodowe plany, zanim spotkał Katie Holmes. Johansson twierdzi jednak, że wycofała się z powodu „napiętego kalendarza”.

Rok później, ku przerażeniu Johansson, uwaga opinii publicznej skupiła się na jej jeszcze bardziej. Stała się obiektem polowań paparazzich. W 2005 roku miała wypadek

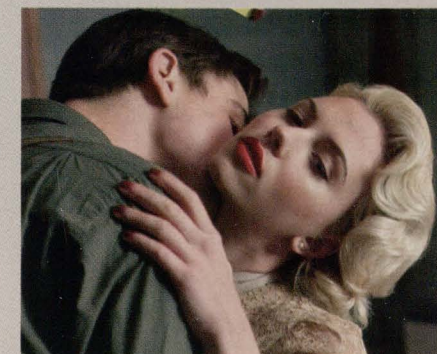
Sezon Scarlett

2007 to sezon Scarlett Johansson. Zobaczymy przynajmniej trzy najnowsze filmy z udziałem tej aktorki. W kinach jest już „Prestiż” w reżyserii Christophera Nolana. Johansson gra tu asystentkę i kochankę dwóch rywalizujących ze sobą iluzjonistów.

13 kwietnia polska premiera „Scoop” Woody'ego Allena. Scarlett występująca w roli studentki dziennikarstwa wplątuje się w historię zagadkowych morderstw i romansuje z przystojnym Anglikiem. Wiosną lub wczesnym latem pojawi się też czarny kryminał „Black Dahlia” Briana de Palmy. Johansson gra piękność uwiklaną w trójkąt miłosny z dwoma stróżami prawa. O filmie było głośno na wiele miesięcy przed premierą za sprawą uczucia, które połączyło Scarlett i Josha Hartnetta (zagrał jednego z policjantów) nie tylko na ekranie, ale i poza nim. Teraz plotkarskie magazyny opisują rozstanie kochanków i spekulują, kto zajmie zwolnione miejsce u boku aktorki. Tymczasem Scarlett Johansson przygotowuje się do promocji najnowszej produkcji ze swoim udziałem – ekranizacji bestsellerowej powieści „Niania w Nowym Jorku”. Amerykańska premiera filmu odbędzie się 20 kwietnia. Terminu polskiej premiery jeszcze nie podano. (SOL)



W „Scoopie” u boku Woody'ego Allena



W „Black Dahlia” Briana de Palmy



W „Niani w Nowym Jorku”



W „Między słowami” zagrała młodą żonę, która nawiązuje platoniczny, ale namiętny romans z przypadkowo poznanym mężczyzną (Bill Murray)

samochodowy w Los Angeles, gdy próbowała przed nimi uciec. – To jakieś szaleństwo – narzeka. – Pojechałam do LA i codziennie przed moim domem parkowało kilka terenówek. Jeździli za mną wszędzie, gdziekolwiek się wybierałam: do sklepu, na spotkanie, gdziekolwiek. Kilka razy wzywałam policję i mówiłam: „Słuchajcie, jeżdżą za mną ludzie w bardzo dużych samochodach. Czuję się zagrożona”. Ale policja nie mogła nic zrobić. Nawet nie chodzi o fakt bycia fotografowanym. To po prostu wkurza i niepokoi. Oni zagrażają ludziom, nie tylko mnie, ale każdemu, kto jedzie w pobliżu. To okropne.

Po części ze względu na większą anonimowość Johansson woli mieszkać w Nowym Jorku. Ma apartament w West Village. Mimo wszystko jest zdeterminowana, by oddzielić niewygody życia osoby publicznej od przyjemności, jaką czerpie ze swojej pracy.

– Chciałabym utrzymać w swojej pracy pewien poziom – mówi. – Bo jaki jest sens w robieniu filmów, które nie są dobre, nawet jeżeli masz za nie dostać mnóstwo pieniędzy? Hollywood wypuszcza tyle fatalnych produkcji, wydaje na nie tyle pieniędzy, więc myślisz sobie: dlaczego nie sfinansować jednego z tych świetnych scenariuszy, które porastają kurzem w jakiejś szafie? Chciałabym w czymś takim zagrać.

polki.pl polecają:

norah jones
not too late



Nowy album laureatki Grammy w sklepach!

CD: 3820352, edycja limitowana CD+DVD: 3862192*

*edycja limitowana albumu zawiera: teledyski, materiały dokumentalne zza kulis, wywiad z Artystką





Szczęściologia

USZCZĘŚLIW SIĘ SAM

Na naszych oczach rodzi się nowa ekonomia i nowa psychologia. Ich zadaniem ma być doprowadzenie człowieka do jego odwiecznego celu. Do szczęścia

MARCEL ANDINO VELEZ



csikszenmihalyi. To nie zaklęcie w starożytnym języku. Ale nauczenie się tego słowa może stać się pierwszym ćwiczeniem na drodze do lepszego życia. – O, to książka tego faceta, którego nazwiska nie umiem wymówić – ożywia się i zawstydzają jednocześnie kasjerka w małej warszawskiej księgarni. Proszę pani, ten facet sam powiada, że jego nazwisko wymawia się jak kolokwialne angielskie zdanie „Chick sent me high”. „Czik-sent-mi-haj”, czyli – „Lalunia posłała mnie w kosmos”.

Książka nosi tytuł „Przepływ”. Za jej pomocą autor, amerykański psycholog węgierskiego pochodzenia Mihaly Csikszentmihalyi, posyła w kosmos coraz szersze kręgi swoich wyznawców. Wśród nich są nie tylko typowi miłośnicy poradników psychologicznych i odwieczni poszukiwacze rozmaitych duchowych guru, ale także poważni naukowcy, intelektualiści, ekonomiści, politycy, szefowie wielkich korporacji.

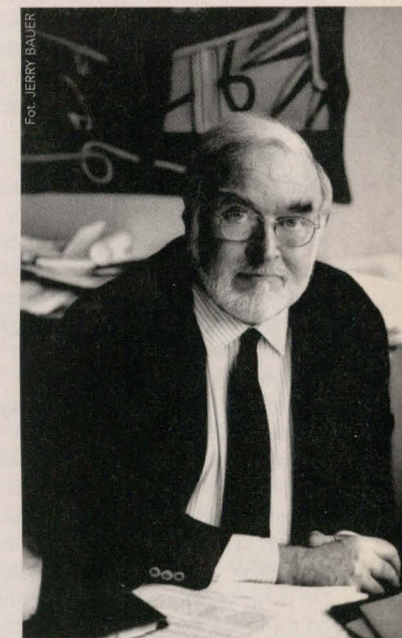
Dzieło Csikszentmihalyiego mogłoby nosić po polsku tytuł „Uskrzydlenie” lub po prostu „Odlot”, bo dotyczy duchowego stanu, w którym człowiek odrywa się od ziemi, niestety tłumaczka zdecydowała inaczej. W USA książka wyszła na początku lat 90., wystarczająco wcześnie, by stać się lekturą obowiązkową Billa Clintona, a potem Tony’ego Blaira. Dziś jest biblią ruchu intelektualnego, który na sztandarze wypisał sobie hasło „Powrót do szczęścia” – tak brzmi tytuł pierwszego rozdziału „Przepływu”.

W ubiegłym roku na Uniwersytecie Harvarda najpopularniejsze były zajęcia właśnie z powracania do szczęścia, czyli nowej dziedziny akademickiej nazwanej już oficjalnie „psychologią pozytywną”. Dwa razy w tygodniu prawie 900 studentów tłoczyło się w audytorium, by słuchać, co wykładowca ma do powiedzenia na temat rozkwitu i osiągania spełnienia w życiu. W trakcie zajęć studenci między innymi medytują. Mają ulegać uczuciom, które właśnie przeżywają, uwolnić oddech.

Od roku 2002 pozytywna psychologia trafiła już na ponad sto amerykańskich uniwersytetów. Zajęcia z tego przedmiotu są jak podróz w czasie do przełomu lat 60. i 70., kiedy amerykańskie kampusy ogarnęło New Age, kontestacja i rewolucja seksualna. Studenci i prowadzący wymieniają się wspomnieniami doznań szczególnie przyjemnych i takich, kiedy czuli, że czynią dobro. Zwierzenia są nieodłącznym elementem tych zajęć. Niektóre z nich przekształcają się na przykład w „wieczory wdzięczności”.

Martin Seligman, profesor psychologii Uniwersytetu Pensylwańskiego w Filadelfii, autor sztandarowego dzieła z zakresu psychologii pozytywnej pod tytułem „Prawdziwe szczęście”, tak opisuje zorganizowany przez siebie wieczorek tego typu: „Studenci mieli przyprowadzić gości, którzy odegrali ważną rolę w ich życiu, ale którym nigdy odpowiednio nie podziękowali. Każdy miał przygotować mowę dziękczynną dla swojego gościa, a po jej wygłoszeniu miała odbyć się dyskusja. Goście mieli aż do ostatniej chwili nic nie wiedzieć o dokładnym celu tego spotkania”.

To wszystko może zatracać nieco hochsztaplerstwem, ale Seligman, współtwórca psychologii pozytywnej, uchodzi za jednego z czołowych specjalistów od depresji, jest badaczem



Amerykański psycholog pochodzący z Siedmiogrodu Mihaly Csikszentmihalyi, odkrywca „przepływu”, stanu, który zbliża człowieka do trwałego szczęścia

Foto: CORBIS (3)

...any wynik jest stopą zwrotu jednostki uczestnictwa kategorii A Funduszu w okresie 31.12.2002 – 31.12.2006, nie uwzględnia opłat z tytułu zbycia lub odkupienia jednostek ani podatku od dochodów kapitałowych. Indywidualna stopa zwrotu jest zależna od daty zbycia i odkupienia jednostek oraz poniesionych opłat i podatków. Fundusz nie gwarantuje uzyskania podobnych wyników w przyszłości. Wartość aktywów netto Funduszu cechuje się dużą zmiennością ze względu na skład portfela inwestycyjnego. Fundusz może inwestować więcej niż 35% aktywów w papiery wartościowe emitowane, poręczane lub gwarantowane przez Skarb Państwa lub NBP. Dane finansowe dotyczące Funduszu oraz czynniki ryzyka znajdują się w prospekcie informacyjnym dostępnym w Internecie: www.arka.pl oraz w placówkach dystrybuujących Fundusze Inwestycyjne Arka.

W 2006 roku

WBK | Fundusze Inwestycyjne Arka

Polacy wybrali Arkę

www.arka.pl | Doradcy: 0801 123 801

REKLAMA

temat „Przekroju”

Projekt SZCZĘŚLIWA GRETCHEN

Bycie szczęśliwym to kupa roboty

Hello, Gretchen, właśnie wpadłem na twoją stronę internetową, jestem dziennikarzem i piszę o szczęściu. Chyba mi spadłaś z nieba – tak zaczynał się mój e-mail

do nowojorskiej pisarki Gretchen Rubin, autorki między innymi biografii Winstona Churchilla i Johna F. Kennedy'ego, a także przełożonego na polski dziełka „Władza, pieniądze, sława i seks. Poradnik”. Pod koniec marca ubiegłego roku Gretchen postanowiła przeżyć okrągły rok, stosując przykazania psychologii pozytywnej. Sprawdzić na sobie, czy to działa. Na bieżąco opisuje swoją pracę na blogu www.happiness-project.com. Chce wydać książkę pod tym samym tytułem. „Dzięki. Poczulał się bardzo szczęśliwa. Zadzwoń jutro” – odpisała wkrótce Gretchen Rubin.

Gretchen, skąd wziął się pomysł projektu „Szczęście”?

– Któregoś dnia jechałam taksówką i gapiłam się przez okno. Ni stąd, ni zowąd przysła mi do głowy myśl: „czego ja chcę w życiu?”. Chcę być szczęśliwa! I zdałam sobie sprawę, że nie poświęcałam nigdy nawet chwili na myślenie, co to znaczy. Czy to w ogóle możliwe, być szczęśliwym. Zrozumiałam, że powinienam zrealizować projekt „Szczęście”.

Od czego zaczęłaś?

– Najpierw obłożyłam się chyba 50 książkami. Arystoteles, Seneka, Benjamin Franklin. Wzięłam nawet popularne poradniki typu: „Nauka porządkowania domu i życia”. No i oczywiście „Prawdziwe szczęście” Martina Seligmmana. Postanowiłam określić, z czym mam problemy. Nawet tak prosta sprawa jak bałagan. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę się skupić i łatwo się irytuję, kiedy mam graty porozrzucane dookoła. A jestem strasznie bałaganiarą. To ni by głupie, ale też wzięłam to pod uwagę. Wszyscy mówią, że do szczęścia najbardziej potrzebne są udane więzi z ludźmi. Ale co to znaczy konkretnie dla mnie? Jak te więzi mają wyglądać?

Zweryfikowałaś, co cię łączy z rodziną i przyjaciółmi?

– Oczywiście. Zauważyłam, że z ludźmi, na których mi naprawdę zależy, spotykam się za rzadko, natomiast podtrzymuję wiele nieznaczących znajomości, które zastępują mi te ważne. Bo tak jest łatwiej. Postanowiłam więcej energii poświęcać przyjaciołom.

A co o projekcie „Szczęście” mówi twój mąż?

– Ach, uważa się chyba za męczennika tej sprawy! (śmiej) Ale wiem, że on też czuje różnicę. Przez te miesiące uporałam się z jedną ważną rzeczą – moim zrzędzeniem. Zrzęczenie jest do kitu, nic nie daje. Kosztowało mnie to sporo pracy, ale już nie zrzędzę.

Musiałaś zrzucić jakieś swoje zwyczaje na drodze do szczęścia?

– Jasne! Bycie szczęśliwym to kupa roboty. Ludzie myślą, że to jakiś bierny stan, który się nam po prostu przytrafia. Teraz uprawiam dużo więcej sportu, więcej sprzątam. Regularnie wysyłam rodzinie w Kansas zdjęcia naszych córeczek, dzwonię. To bywa męczące.

Psychologia pozytywna podkreśla znaczenie wybaczenia i wdzięczności. Czy robisz to tak, jak oni zalecają?

– Szczęśliwie nie musiałam nikomu niczego wybaczać. Natomiast wdzięczność jest bardzo ważna. Seligman i inni zalecają nawet prowadzenie dzienniczka. No, z tym dałam spokój. Chodzi o pewien stan umysłu, o zwracanie uwagi na to, co nas spotyka dobrego. Niekoniecznie od ludzi. Nawet coś takiego jak Amazon.com (księgarnia internetowa). Kocham Amazon.

Co robisz w kiepskie dni?

– Staram się robić rzeczy, które poprawiają mi nastrój. Choćby pójść na 10-minutowy spacer. W złym nastroju robienie czegośkolwiek pozytywnego zwykle wydaje się zawracaniem głowy – wtedy nawet zapięcie pasa w taksówce jest głupie i tego nie robisz. Poza tym ludzie znajdują jakąś perwersyjną przyjemność w rozdrapywaniu ran. To głupota.

Podobno jesteśmy zbyt skoncentrowani na własnych zachciankach. Zwracasz na to uwagę?

– Z tym się nie do końca zgadzam. Ta cała nauka o szczęściu piętnuje



ludzi, którzy zarabiają więcej, niż mogą wydać. Jakby w tym chodziło tylko o chciwość. A przecież ludzie mogą po prostu kochać swoją pracę. Psychologia pozytywna sugeruje, że ludzie pracują, bo mają obsesję na punkcie dóbr materialnych. To paradoks, bo z drugiej strony Seligman i spółka przekonują, że szczęście to nie wieczne wakacje pod palmami. A co ludzie niby mają robić, skoro praca to zniewolenie, a bez pracy popadają w lenistwo i otępienie?! Nie można przecież żyć w wiecznym „przepływie”!

No właśnie, „przeplwy”! Doświadczasz go?

– Pewnie. Każdy to czasem przeżywa. Ale moim zdaniem ten stan nie ma wpływu na nasze ogólne poczucie szczęścia. Przepływ daje poczucie spełnienia, ale tylko na chwilę. Psychologia pozytywna ma problem z ogłędaniem przez ludzi telewizji. Bo to nie wprawia nas w stan „przepływu”. Ale przecież można być szczęśliwym nie tylko w takim stanie.

No a właściwie to czy przez ten miniony rok twoje życie stało się lepsze?

– Ależ oczywiście! Odczuwam więcej radości, śmieję się więcej. Więcej czytam, więcej spotykam się z przyjaciółmi. Nie przejmuję się drobnymi wpadkami. Naprawdę, idzie mi coraz lepiej.

No cóż, zatem żyć szczęścia i dziękuję.



(MAV)

zjawiska „wyuczonej bezradności”, a w czasie, gdy pod koniec lat 90. szlifował koncepcję psychologii pozytywnej, był również prezesem Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, potężnej organizacji skupiającej 160 tysięcy psychologów. I to za sprawą psychologii pozytywnej szczęście stało się ostatnio niemal politycznym tematem.

Pod obrady Światowego Forum Ekonomicznego w Davos trafiło po raz pierwszy dwa lata temu. Ci, którzy zwyczajowo przyjeżdżają na to spotkanie do szwajcarskiego kurortu, czyli moiżni i zamożni naszego świata, dyskutowali nad tezami książki lorda Richarda Layarda, profesora London School of Economics, „Happiness – Lessons from a New Science”, czyli „Szczęście – czego uczy nas nowa nauka”.

Pychologia pozytywna uczy nas przede wszystkim, że pieniądze szczęścia nie dają. Wszelkie dostępne badania wskazują, że choć poziom zamożności zachodnich społeczeństw wzrósł w ciągu ostatniego półwiecza dwukrotnie, to poziom zadowolenia z życia pozostał praktycznie bez zmian. Co więcej, mieszkańcy ubogich krajów, szczególnie w Ameryce Łacińskiej, wcale nie uważają siebie za mniej szczęśliwych niż mieszkańcy bogatej Północy.

Politolog z Uniwersytetu Michigan Ronald Inglehart przebadł poczucie szczęścia w kilkudziesięciu krajach i wyszło mu, że Meksykanie są równie zadowoleni z życia jak Duńczycy i Szwajcarzy, a Kolumbijczycy cieszą się życiem w tym samym stopniu co Amerykanie.

Lepiej być bogatym niż biednym – to jedyna teza, o którą nie spierają się dziś zwolennicy nowej ekonomii szczęścia i starej ekonomii, skoncentrowanej na wzroście gospodarczym. Ale Layard postawił pytanie, które odwraca do góry nogami całe dotychczasowe myślenie ekonomiczne. Powyżej jakiego poziomu bogactwa dalsze bogacenie przestaje mieć sens?

Za Layardem całe rzesze ekonomistów wliczają teraz, ile potrzeba dolarów na głowę mieszkańca rocznie, by mieszkaniec ten uznał się za trwale szczęśliwego. Choć kalkulacje te są wzięte nieco z sufitu, to większość liczących zgadza się, że raj na ziemi osiągnąć można z dochodem pomiędzy 10 a 15 tysiącami dolarów PKB na głowę mieszkańca. Całe bogactwo narodów przewyższające ten poziom zostaje pochłonięte przez „hedoniczny kołowrót”. To pojęcie ze styku psychologii i ekonomii, które najłatwiej wyjaśnić refrenem piosenki Kazika Staszewskiego, prywatnie apologety liberalnego kapitalizmu: „To jest tak, że gdy mam, co chcę / Wtedy więcej chcę jeszcze / I ty też, gdy już masz, co chcesz / Wtedy więcej chcesz, niż zjesz”.

Nagrodę Nobla z ekonomii w 2002 roku otrzymał psycholog z Uniwersytetu Princeton Daniel Kahneman badający emocje, jakie towarzyszą ludziom, gdy przewidują przyszłe zdarzenia. Okazuje się, że są to zawsze emocje na wyrost. Dlatego tak wiele decyzji ekonomicznych, które podejmujemy, wcale nie jest racjonalnych. Kupno „wszystkomającego” telewizora plazmowego nie uszczęśliwi nas nigdy tak bardzo, jak się spodziewamy. Dzieje się tak, bo ludzki mózg zaprogramowany jest na to, by adaptować się do każdego nowych okoliczności zewnętrznych. Nawet wygrana w totolotka podniesie nasze poczucie szczęścia zaledwie na mniej więcej rok (na badania tych „szczęściarzy” powołuje się Seligman w „Prawdziwym szczęściu”).

Kołowrót hedoniczny kręci się bezustannie. Dlatego ekonomiści spod znaku Layarda apelują, byśmy przestali wymyślać sobie wciąż nowe zachcianki oraz marmować naszą pracę i bogactwo na pogoń za nimi. Psychologia pozytywna też ma swo-



W ciągu półwiecza zamożność zachodnich społeczeństw wzrosła dwukrotnie. Poziom zadowolenia z życia się nie zmienił. Jaki jest zatem cel ciągłego bogacenia się?

Jeżdzanie na temat obecnej fazy kapitalizmu: „W ostatnich 40 latach we wszystkich bogatych krajach na ziemi nastąpił alarmujący wzrost przypadków depresji. (...) Jest to paradoks, ponieważ wszystkie obiektywne wskaźniki dobrobytu – siła nabywca, poziom wykształcenia, dostępność muzyki i odżywianie się – stale przesuwają się do krajów leżących na półkuli północnej, podczas gdy wszystkie wskaźniki subiektywnego poczucia dobrobytu (samopoczucia) przesuwają się na południe. Jak można wytłumaczyć tę epidemię?” – pyta w „Prawdziwym szczęściu” Seligman.

I podaje przyczynę. Jest nią „zbytne poleganie na drogach prowadzących do szczęścia na skróty. Każdy bogaty naród tworzy coraz więcej takich skrótów: telewizję, narkotyki, zakupy, seks bez miłości”. Niczym kaznodzieja prezes Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego piętnuje też współczesne „nieusprawiedliwione poczucie własnej wartości” i „wybujaly indywidualizm”.

Seligman bezlitośnie chłoszcze zwłaszcza „wiktymologię”, czyli szkołę myślenia, która winą za wszelkie ludzkie niepowodzenia obarcza uwarunkowanie zewnętrzne. Przeraża go, że niewłaściwa edukacja psychologiczna doprowadziła w zachodnich społeczeństwach „do wytworzenia się całego pokolenia narcyzów, których główną troską jest oczywiście to, jak się czują”. Nauczono nas bezustannie analizować własne emocje, a to dla Seligmmana najgorsza postać egoizmu. Przyjrzyjmy się zatem, co Seligman, Csikszentmihalyi i spółka proponują nam w zamian.

Rewolucyjność psychologii pozytywnej bierze się przede wszystkim z tego, że jest... pozytywna. Psychologia skupiała się do tej pory przede wszystkim na patologiach, na emocjach negatywnych. Na doprowadzaniu ludzi ze stanu „minus trzy” do stanu „zero”, jak tłumaczy Seligman. Tymczasem jego zdaniem „nadszedł w końcu czas stworzenia nauki, która stara się zrozumieć emocje pozytywne, kształtować zalety i cnoty oraz dostarczać wskazówek umożliwiających osiągnięcie tego, co Arystoteles nazwał »dobrym życiem«”.

Psychologia pozytywna ma naprawdę wielkie ambicje. Jedną z definicji „przepływu” czy „uskrzydlenia” Csikszentmihalyia jest „proces całkowitego zaangażowania w życie”. Seligman mówi, że chce zaprowadzić ludzi „na szczyty trwałego spełnienia, którymi są sens i cel”. I myśli ni mniej, ni więcej, ale o świętości i znalezieniu klucza do zrozumienia miejsca człowieka we wszechświecie.

Pierwszą zachętą do psychologii pozytywnej jest zapewnienie, że umiejętność przeżywania szczęścia oznacza lepsze zdrowie i dłuższe, bardziej satysfakcjonujące życie.

Fot. CORBIS (3)

Wśród licznych dowodów Seligman wymienia studia nad pamiętnikami zakonnic pewnego klasztoru w Milwaukee. Wszystkie siostry, których notatki obfitowały w słowa pełne optymizmu i radości, żyły dłużej niż siostry marudy. A przecież każda zakonnica miała niemal identyczny tryb życia.

Seligman powołuje się też na badania zbiorowych fotografii absolwentów uczelni. Osoby, które uśmiechały się pełnym, szczerym uśmiechem, po wielu latach okazywały się szczęśliwsze i zdrowsze od kolegów, którzy na fotografii wyszli markotnie. Ci szczerze uśmiechnięci (podobno istnieje uchwytyna dla amerykańskich psychologów fizjologiczna różnica pomiędzy uśmiechem szczerym a nieszczerym) mieli też w dorosłym życiu bardziej udane związki partnerskie.

W ogóle nim psychologia podała swój przepis na szczęście, dokonała tytanicznej pracy przebadania wszystkiego, co na temat tego stanu wiadomo. Tysiące eksperymentów, badań statystycznych, projektów badawczych przyniosło

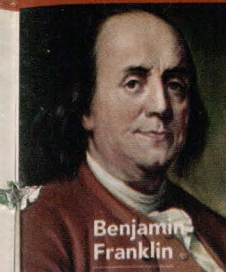
zaskakujące wyniki na temat tego, co nas uszczęśliwia. O „kołowrocie hedonicznym” już była mowa. O adaptacji również. Ani młodość, ani uroda, ani nawet zdrowie nie trafiały jednak na czołówkę listy czynników szczęścia. Wykształcenie i życie w słonecznym klimacie też ma niewielkie znaczenie.

Badania Seligmana wykazały, że wśród ludzi określających się jako szczęśliwi nadreprezentowane są osoby towarzyskie i takie, które mają udane związki. Rozwodników i samotników było w tym gronie nad wyraz mało. Nikt z psychologów pozytywnych, którzy od początku dekady opracowują dane na temat szczęścia, nie odważył się stwierdzić, co jest tu skutkiem, co przyczyną. Ale jedno jest pewne: nie ma szczęścia bez innych ludzi. Bez przyjaciół, bez rodziny i bez zaangażowania w tkankę społeczną. Inaczej mówiąc, „egoizm” nie równa się „szczęściu”. Religijność również wysoko plasowała się na drabinie ku szczęściu, choć trudno ustalić, czy

religijność rozumiana jako więź z Bogiem, czy także ze wspólnotą wyznawców.

Dzięki tym wszystkim mozolnym badaniom psychologii pozytywnej udało się skonstruować specyficzną drabinę szczęścia. Na samym dole Seligman i inni naukowcy umieścili przyjemności. Chodzi tu o wszystko, co ulotnie zaspokaja nasze potrzeby fizyczne i estetyczne. Nie chodzi o to, by z nich rezygnować na drodze do szczęścia. Przeciwnie – warto nauczyć się je „zamrażać” we wspomnieniach. Tworzyć mentalne „fotografie” takich chwil. Ale właśnie marność, ulotność przyjemności przemawia za tym, by nie na nich budować szczęścia.

Seligman tworzy pojęcie gratyfikacji – przyjemności wyższego rzędu, która wynika z przełamania oporu, wysiłku, pracy. A gratyfikacja wymaga oddania się szlachetnemu celowi. Wspinaczka górską, postawienie sobie trudnego zadania i wykonanie go, niesienie pomocy, udział w pielgrzymce, oddanie



FOR. BETTMANN/CORBIS

Wielki comeback cnot

nie ma mowy o osiągnięciu szczęścia bez wysiłku, bez wyrzeczeń i konsekwentnej pracy nad sobą. Współczesna „szczęściologia” swój projekt dobrego życia buduje na podstawie wytycznych, które zostawili nam przeszłe pokolenia. Starożytni filozofowie, Jezus, Budda, Konfucjusz – psychologia pozytywna czerpie z nich garściami. Jednak za prawdziwego patrona

psychologowie pozytywni uznają Beniamina Franklina, jednego z „Ojców Założycieli” Stanów Zjednoczonych, współautora amerykańskiej Deklaracji Niepodległości i konstytucji. Ten myśliciel, wynalazca piorunochronu i fotela bujanego w swej autobiografii zawarł listę 13 cnot, które mają zapewnić człowiekowi dobre życie. Ponad 200 lat później nauka wciąż nie ma człowiekowi szukającemu szczęścia wiele więcej do zaoferowania oprócz przypomnienia cnot Franklina. Oto kilka z nich:

UMIAR – Nie jedz do otepienia, nie pij do podniecenia.
ŁAD – Niech wszystkie twoje rzeczy mają swoje miejsce; niech wszystkie twoje sprawy mają swój czas.
OSZCZĘDNOŚĆ – Nie czyń wydatków, chyba dla dobra innych lub swego; to znaczy nic nie marnotraw.
POWŚCIĄGLIWOŚĆ – Unikaj krańcowości; nie odczuwaj krzywd w tym stopniu, jak twoim zdaniem na to zasługują.
SPOKÓJ – Niech ci nie zamągają umysłu drobnotki lub też zdarzenia pospolite i nieuchronne.



Pozytywne emocje to dobre życie

O korzyściach z pozytywnych uczuć, wybaczenia i okazywania wdzięczności mówi profesor **EWA TRZEBIŃSKA** z Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej:

Wiele decyzji, które podejmujemy każdego dnia, to wybór pomiędzy przeżywaniem emocji negatywnych albo pozytywnych. Chodzi nawet o drobne sprawy. Od naszej decyzji

zależy, czy będziemy rozpaczali i krzyczeć, kiedy dziecko przyniesie ze szkoły zły stopień z matematyki, czy też zastanowimy się wspólnie, co zrobić, by tę ocenę poprawić. Wystarczy elementarna samoświadomość, by wybrać rozwiązanie pozytywne. A takie wybory decydują o kwestiach bardzo dla nas ważnych.

Otóż badania pokazują, że w ogromnej większości sytuacji przeżywanie pozytywnych emocji sprzyja dobremu życiu. Pozytywne emocje uruchamiają korzystne procesy fizjologiczne. Mogą mieć charakter uzdrawiający, na przy-

kład neutralizują negatywne skutki stresu. Pozwalają odzyskiwać energię, przyczyniają się do otwartości poznawczej, sprzyjają pozyskiwaniu nowych informacji, pomagają w uczeniu się nowych sposobów radzenia sobie. Zadbanie o to, żebyśmy przeżywali więcej pozytywnych emocji, jest w zasięgu każdego człowieka. Kolejna ważna rzecz to okazywanie wdzięczności i wybaczenie. Korzyści z nich jest tak wiele, że trudno wymienić wszystkie. Wiadomo z badań, że dobre relacje z innymi to podstawowy składnik dobrostanu. A i wdzięczność, i wybaczenie powodują poprawę naszych wię-

zi z ludźmi. W języku psychologii nazywamy to „prospołecznością”. Kto ma świadomość, że zaszła dobra od innej osoby, temu łatwiej przychodzi pomagania nawet całkowicie obcym ludziom. Dowodzą tego wyniki badań. Ważne jest też to, że okazując wdzięczność, wpływamy na dobrostan drugiego człowieka. To sprawia, że obiektywnie ilość dobra wzrasta. Podobnie dzieje się z wybaczeniem. To nie jest wcale łatwe zadanie. By się udało, człowiek musi spróbować wczuć się w intencje kogoś, kto go skrzywdził. Ważne, byśmy wykonali wysiłek i dowiedzieli się, czy nasza

krzywdą była umyślna, czy nie. Czy sprawca żałuje tego, co zrobił. Tymczasem najczęściej po prostu ulegamy emocjom negatywnym. Wybaczenie nie jest zapomnieniem zła, które się wydarzyło, ani jego wyparciem. Nie jest też przyzwalaniem, by dalej nas krzywdzono. Wybacząc, wybieramy dobro. Otwieramy się ponownie na emocje pozytywne i manifestujemy to wobec innych osób. Prawdziwym przesłaniem psychologii pozytywnej jest to, że zawsze istnieje krok naprzód. Że człowiek może świadomie działaniem poprawiać swoje życie i świat, który go otacza. (MAV)

się pasji tworzenia, poddanie się „przepływowi”, czyli stanowi, kiedy człowiek jest czymś całkowicie pochłonięty, traci poczucie czasu i przestrzeni – to są moralnie słusne przyjemności.

Na drugim szczeblu drabiny psychologia pozytywna umieszcza właśnie więzi z ludźmi. Altruizm, a przede wszystkim okazywanie wdzięczności i wybaczenie. Pisanie listów dziękczynnych do osób, które w jakiś sposób pozytywnie wpłynęły na nasze życie, jest według badań psychologów pozytywnych jedną z najbardziej uszczęśliwiających czynności. Naukowcy zalecają też prowadzenie tygodniowego bilansu wdzięczności – na przykład w postaci dziennika.

Jednak dobre relacje z ludźmi muszą być zrównoważone dobrymi relacjami z samym sobą. Pomaga to osiągnąć jeden z długich testów, z którego Amerykanie i zwolennicy psychologii pozytywnej z całego świata dowiadują się o swoich „zaletach sygnaturowych”. Kluczowe dla poczucia harmonii i spełnienia zdaniem Seligmana jest dopasowanie swojego życia do własnych predyspozycji.

Po półgodzinie spędzonej nad testem (można go wypełnić w Internecie, po angielsku, na stronie www.authentic-happiness.sas.upenn.edu) otrzymujemy wynik. Okazuje się na przykład, że jesteś znakomitym „admiratorem piękna i doskonałości”, niezłym przywódcą i partnerem w związkach uczuciowych, za to fatalnym z wytrwałości, duchowości i samokontroli. I weź tu, człowieku, czuj się szczęśliwy z takim wynikiem.

Ale jest tu jeszcze 16 innych testów, w tym jeden na „ogólne poczucie szczęścia”, i na szczęście okazuje się, że wypadasz powyżej średniej. Dla odważnych jest tu także kwestionariusz z sensu życia. Chyba nie byłoby wskazane wypaść mamie w tym teście.

„Szczęściologia” mówi o cnotach i sensie życia, o zbłąkaniu współczesnych niewolników konsumpcji, o potrzebie stawiania sobie wyższych celów. Czy stanie się religią XXI wieku?

I choć to testowanie zaczyna być nieco irytujące, to przecież służy zachowaniu wymogów naukowości. Psychologia pozytywna mówi o cnotach i sensie życia, o zbłąkaniu współczesnych niewolników konsumpcji, o potrzebie stawiania sobie przez ludzi wyższych celów, a zarazem nie przestaje być empiryczną nauką, która udowadnia swoje twierdzenia poprzez statystykę.

Szczytem drabiny szczęśliwego życia wedle psychologów spod znaku Seligmana jest poświęcenie się wyższemu celom. I tu niektóre postulaty tej szkoły wkraczają na pole religii, psychologicznej religii etycznej pozbawionej Boga. Zamiast Boga nowa nauka o szczęściu proponuje ideę dobra przystającego we wszechświecie dzięki porzuceniu przez ludzi zasad gry o sumie zerowej (jeden wygrywa, drugi przegrywa), zaś zastąpieniu jej ogólną zasadą gry o sumie niezerowej (obydwie strony zyskują, co ma miejsce na przykład w tak ważnym dla nauki o szczęściu akcie wdzięczności i wybaczenia).

Mihaly Csikszentmihalyi po latach kierowania Wydziałem Psychologii na Uniwersytecie Chicagowskim jest obecnie szefem Centrum Badań nad Jakością Życia Uniwersytetu Claremont w Kalifornii. Nie ma problemów z grantami. Największe prywatne fundacje łożą na centrum, które bada to, „co sprawia, że warto żyć”. Na przykład wpływ sztuki na jakość życia, rolę kontemplacji i praktyk duchowych w życiu codziennym, a nawet naturę przyjemności płynącej z gry w szachy przez Internet.

Ale kluczowe są badania nad „przepływem”. Ten stan, przypomnijmy, osiągany jest przez zapamiętanie się w jakiejś czynności dla niej samej. Zmęczenie, ból, nawet niebezpieczeństwo nie są w stanie oderwać człowieka od pełnego zaangażowania w to, co robi. Dla Csikszentmihalyia właśnie ten stan nadaje życiu sens.

Niestety, autor koncepcji „przepływu” nie do końca jest zadowolony z oszalałej kariery, jaką zrobiła ona we współczesnym świecie. Okazało się bowiem, że „przepływu” w życiu zaczęli szukać nie tylko ludzie na własną rękę, ale i menedżerowie od „zasobów ludzkich” z wielkich korporacji. Firmy zapragnęły po prostu, by ich pracownicy osiągnęli „przepływ” w godzinach pracy. By przeżywali wyżyny szczęścia, siedząc przy biurkach. Koncern Ericsson, którego wiceprezes Stefan Falk przeczytał „Przepływ” w 2002 roku, wprowadził specjalny system zwiększania wydajności i zaangażowania w pracę.

Zgodnie ze wskazaniami Csikszentmihalyia położono nacisk na warunki sprzyjające koncentracji, by zadania pracowników były ściśle dopasowane do predyspozycji (testy!) i by ich kontakt z menedżerami był trwały i bliski. Co dwa miesiące pracownik spotyka się ze swoim menedżerem na półtoragodzinną, indywidualną sesję, podczas której ustala się osobistą listę zadań dla pracownika, omawia jego mocne i słabe punkty. Taka metoda motywowania okazała się rewelacyjnie skuteczna.

Csikszentmihalyi uważa, że stan „przepływu” wywala w człowieku najgłębsze pokłady kreatywności. Współczesne korporacje niczego tak bardzo nie domagają się od swoich pracowników jak właśnie kreatywności. Być może akurat w chwili „przepływu” ktoś z menedżerów Microsoftu wymyślił, że ten stan dobry jest nie tylko dla pracowników, ale i użytkowników produkowanego przez firmę oprogramowania. Podobnie jak Microsoft wiele firm prowadzi badania nad tym, jak sprawić, by produkty ich firm wprawiły konsumentów w „przepływ”.

Bez wątpienia lepiej jest, kiedy człowiek angażuje się w to, co robi. Ale zaprzęgnięcie kluczowego pojęcia psychologii pozytywnej do pracy na rzecz wzrostu wydajności i wzrostu sprzedaży klęci się nieco z tym, co nowa nauka o szczęściu chce przekazać ludziom.

Wciąż nie wiadomo, jak społeczeństwa i gospodarki miałyby przestawić się z podnoszenia PKB na podnoszenie ogólnego poziomu szczęścia. Uszczęśliwianie ludzi na siłę było domeną komunizmu, kapitalizm od zawsze zajmował się tylko ich materialnym wzbogacaniem. Bogactwa duchowego dostarczały ludziom religie. To one nakłaniały do czynienia dobra i wnoszenia się na wyższy poziom człowieczeństwa. Ale „szczęściologia” nie chce walczyć z religią i kapitalizmem. Jest po prostu głosem współczesnej nauki w ważnej sprawie. W sprawie tego, jak żyjemy. I jak moglibyśmy żyć.

Podyskutuj o tym na onet.pl



W czwartek 15 lutego po godzinie 15.00 o szczęściologii słuchaj w Blog FM w Radiu TOK FM. Zaprasza Jakub Janiszewski. www.tokfm.com.pl

Ostercal

SUPLEMENT DIETY 1250 D



Osteoporoza nie boli, zazywaj wapń z witaminą D₃

- zapobiega utracie masy kostnej
- wzmacnia kości i zęby
- zmniejsza ryzyko złamań
- zapobiega demineralizacji kości
- zapewnia właściwe wchłanianie wapnia w przewodzie pokarmowym (wit. D₃)
- uzupełnia niedobory wapnia, które powstają:
 - ~ naturalnie z wiekiem
 - ~ w okresie intensywnego wzrostu dzieci i młodzieży
 - ~ u kobiet w ciąży i okresie karmienia
 - ~ przy diecie ubogiej w nabiał
 - ~ u osób palących i pijących kawę

Miesięczna kuracja już od 6,90 zł*

1 tabletkę zawiera: 1250 mg węgla wapnia z muszli ostrego 125 j.m. witaminy D₃

Tabletki powlekane, łatwe do przełykania.

*Orientacyjna cena detaliczna, przy dawkowaniu 1 tabl. dziennie



CEZARY ŁAZAREWICZ

Wytwórcy kisielu

Uwaga, kobiety! Jeśli nieciekawo dotąd facet zaczyna na was dziwnie działać, być może ukończył właśnie kurs NLS, czyli neurolingwistycznego uwodzenia

ty, które będą działały tak, jak się je neurolingwistycznie programuje.

Andrzej Batko jest ojcem polskiego Neuro-Linguistic Seduction (NLS), czyli neurolingwistycznego uwodzenia zwanego przez prasę katolicką szarlatanerią lub psycho-prostytucją.

Po ukończeniu psychologii na Uniwersytecie Warszawskim w połowie lat 80. wyjechał do Anglii. Potem do Kanady. Tam zetknął się z twórcami Neurolingwistycznego Programowania (NLP). Gdy wrócił w latach 90. do Polski, zaczął stosować nowatorską metodę w szkoleniach dla ludzi biznesu.

– Zająłem się dziedzinami, które uczą, jak wpływać na ludzi – mówi Batko. – Jak sprawić, by zaczęli wykonywać polecenia i reagowali na sugestie. Jakiego języka użyć, by na nich wpłynąć.

Batko pamięta, że już na pierwszych szkoleniach handlowców zaczęły pojawiać się pytania o to, co by się stało, gdyby te techniki manipulowania ludźmi eksperymentalnie przetestować na kobietach.

Siedem lat temu Andrzej Batko wraz z dwoma swoimi uczniami Lechem Dębskim, psychiatrą z Gdańska, i Paw-

łem Sową, trenerem NLP, zorganizował pierwszy kurs uwodzenia. Na ogłoszenie w Internecie odpowiedziały trzy osoby.

Gdy Andrzej Batko wygłasza kazanie o swojej metodzie pozyskiwania kobiet, przypomina nieco kaznodzieję jakiejś nowej religii.

– My dajemy tym ludziom czarodziejską różdżkę, o której marzyli, gdy byli nastolatkami – mówi. – Któż z nas nie śnił o tym, by zacząć znowu dziewczynę, która najbardziej nam się podobała, i rozkochać ją w sobie? Teraz rozdajemy mężczyznom tę magiczną moc. Dzięki niej każdy może zdecydować z kim, jak długo i jak często.

RWAŃ NA PISARZA

Bycie bożyszczem kobiet nie wymaga już, jak zapewniają organizatorzy seminarium, ani prezencji, ani pieniędzy, ani występowania w serialu, ani posiadania władzy. Nie trzeba być nawet wysokim szczupłym blondynem o niebieskich oczach, by w kobiecie rozbudzić magnetyczny pociąg.

Teraz mogą to robić grubi, łysi i rudzi. Pod warunkiem że będą potrafili używać podprogowych sugestii, zmiękczaćcych technik lingwistycznych i w odpowiednim czasie wyeliminują pojawiające się w ostatniej chwili opory przed seksem.

Andrzej Batko uważa jednak za najważniejsze wypełnianie kobiecego umysłu wyobrazeniami, dzięki którym uruchomią się w nim mechanizmy fantazji seksualnych. Do tego potrzebny jest pattern, czyli wyuczony wzorzec rozmowy.

Doktor Dębski proponuje w swoim newsletterze wyrywanie „na pisarza”: „Bycie pisarzem daje przyzwolenie na opowiadanie o różnych dziwnych tematach oraz pozwala zadawać równie dziwne pytania”.

Doktor Dębski zauważa, że „pisarz” jest idealny, bo wtedy kobiety same zaczynają pytać, o czym taki pisarz



pisze książki. Nie należy się bać dekonspiracji, bo książek nikt dziś nie czyta. W razie czego, radzi Dębski, można powiedzieć, że książek nie chcą wydawać, bo są zbyt śmiałe. I patrzeć kobiecie w oczy, opowiedzieć początek jednej z nich. Dębski proponuje tę, w której facet podchodzi do nieznamyjowej w barze i mówi do niej: „Chcę liść twoją cipkę w taki sposób, jaki najbardziej lubisz, tak żebyś zaczęła skrecać się z rozkoszy”.

Gdy pojawiają się wszystkie wskaźniki fizjologiczne ostrego podniecenia, należy powiedzieć: „Dziękuję za fascynującą rozmowę, szkoda, że nie będziemy już mieli okazji kontynuować”.

Wtedy ona sama proponuje swój numer telefonu i poprosi o kontakt widoczorem.

TECHNIKA BUDOWANIA STANÓW

Zdania na temat skuteczności metody NLS są podzielone. Na stronach internetowych organizatorów kursanci wychwalają pod niebiosa zdobytą wiedzę. „Przyciągam uwagę wielu pięknych kobiet nawet wtedy, gdy nic nie robię” – Leszek S. „Po pierwszym dniu kursu zadzwoniłem do kobiety, z którą kombinowałem dwa lata, a teraz wystarczyły dwie minuty. Kilka zdań i nie chciała przestać ze mną rozmawiać” – Grzegorz. „Idź i bierz słodycz twego życia zakodowaną w trzech literach NLS” – Igrasek.

Choć pojawiały się też krytyczne uwagi: „Takie podejście sprowadza kobiety do roli łownej zwierzyny, na którą chłopaki polują, wykorzystując jej najszybsze potrzeby i ukryte pragnienia, żeby dobrać jej się do majtek i ją przelecieć. Jest to dwuznaczne moralnie” – Anna J.

Na pytanie, czy warto w to inwestować, Mormegil odpowiedział w e-mailu, że jego zdaniem lepiej czytać „Men’s Health” i pakować mięśnie klatki piersiowej. „Jeśli chcesz skorzystać z szybkiego wyrwania, to lepiej zainwestuj w perfumy z feromonami pobudzające w kobietach podniecenie”.

Mimo że zdaniem niektórych mediów reklama internetowa NLS skierowana jest do mężczyzn prymitywnych i wulgarnych, od kilku lat klienci walą na seminaria uwodzenia drzwiami i oknami. Co 2–3 miesiące zgłasza się średnio po 30 osób. Biznesmeni, menedżerowie, handlowcy korporacyjni. Z małych miasteczek i z wielkich metropolii. Żadnych – jak słyszę – kierowców tirów, bezrobotnych, robotników, bo oni wolą zapłacić 30 złotych paniom stojącym przy autostradach. I wcale nie przychodzą tu pokraki.

– Są mężczyźni, którym nic nie brakuje – podkreśla Batko. – To ludzie świadomi, którzy chcą się uczyć i są gotowi za to zapłacić. Zdają sobie sprawę, że kino, kolacja i spacer to system tyleż kosztowny, co nieskuteczny.

Kursantów wcale nie przeraża cena szkolenia. – Nie przesadzajmy – zauważa trzeźwo Paweł Sowa. – To cena dobrej kolacji i wieczornego wyjścia na dwizki. Zresztą seminarzyści, by im serce nie krwawiło, już na pierwszym spotkaniu proszeni są o wykonanie prostego ćwiczenia. Mają podliczyć, ile pieniędzy wydali ostatnio na dziewczyny, nie uzyskując żadnego rezultatu. Rachunki zwykle wyglądają podobnie: kawa cztery razy po 50 złotych plus dwie kolacje po 200 złotych i wyjście do pubu za 500 złotych (rekordzista wydał 20 tysięcy złotych na wycieczkę do Tajlandii).

Wtedy Paweł Sowa stawia sprawę jasno: – My nie dajemy recepty na to, jak wydymać laskę, ale uzbrajamy was w technikę, która zmieni was tak, że staniecie się atrakcyjni dla kobiet. Zrobimy z was mężczyzn, o których one marzą. Sprawimy, że będziecie traktować siebie jako narzędzie do budowania różnych stanów w wybranej kobiecie.

Zanim neurolingwistyczne uwodzenie stało się masowe, Batko, Sowa i Dębski mieli monopol na szkolenia. I jako jedyni w kraju wypracowali własne know-how. Teraz ich uczniowie założyli konkurencyjne ośrodki: Akademię Uwodzenia i Warszawski Lair.

Batko przyznaje, że szkolenia uwodzicieli rozwijają się lawinowo i mogą stać się żylą złotą. Seminarium, szkolenia, treningi jeden na jeden odbywają się często, również poza Warszawą. A chętnych nie brakuje. Firma wydała już własne płyty z instrukcją uwodzenia (577 złotych), sprzedawała licencje na prowadzenie kursu w Internecie, a wkrótce ukaże się książka „Alchemia uwodzenia”, z której będzie się można nauczyć pewnych technik.

Mekką uwodzicieli są dziś USA, gdzie dawno już zauważono, że NLS jest dochodowym interesem. W Europie powstają dziesiątki ośrodków uwodzenia i wydaje się setki książek na ten temat.

SUBKOMUNIKACJA PODNIECENIA

Jeszcze trzy lata temu Tomek był typowym beznadziejnym przypadkiem, jak my wszyscy, zupełnie niezającym instrukcji obsługi kobiet. Był niewolnikiem koncernu i krew wypijały z niego zupełnie przypadkowe panie. O mechanizmach uwodzenia dowiedział się z Internetu i te strzępki wydarto z sieci, które – jak dziś przyznaje – były śmiesznie niepełne, od razu przetestował na przypadkowej uczestniczce serwisu randkowego. Sukces sprawił, że zainteresował się neurolingwistycznym programowaniem. Tak trafił w grudniu 2003 roku na kurs uwodzenia organizowany przez NLS Andrzeja Batki.

Na lekcji poświęconej temu, jak myślą kobiety, dowiedział się, że podświadomie poszukują one prawdziwych samców zdecydowanych i przebojowych, a nie urzędników bankowych. Poznał wtedy podstawy ich budowy i obsługi. Ważne okazały się ćwiczenia z podchodzenia do kobiet, wzbudzania zainteresowania i pożądania, wywoływania podniecenia oraz używania wyrażen transowych. Bardzo ważne jest zachowanie schematów wypowiedzi.

– Zostaliśmy wyposażeni we wzorce do wywoływania w nich różnych stanów – wspomina Tomek. – Od podniecenia do poczucia winy.

Wzorzec (pattern) przewiduje, by pracę zaczynać od komplementu. Powinno on dotyczyć tego, nad czym kobieta pracowała, czyli stroju, fryzury lub zapachu perfum, a nie ograniczać się do ogólnego stwierdzenia, że ładnie wygląda lub ma zgrabne nogi. Tomek jednak zauważył, że patterny niosą ze sobą spore ograniczenia.

– Na przykład na superlaski to w ogóle nie działało – mówi.

Wtedy zaczął zgłębiać dostępną literaturę i szukać odpowiedzi u innych trenerów NLS. Okazało się, że w kontekście uwodzenia równie ważna jak wypowiedziane słowa jest mowa ciała, o której na seminariach prawie w ogóle nie wspomniano. Dopiero gdy sam został trenerem neurolingwistycznego uwodzenia, sporządził wykres kołowy, w którym umieścił najważniejsze elementy działające na kobietę. Pół koła zajmuje na takim wykresie mowa ciała, a tylko siedmioprocentowy wycinek – wypowiedziane słowa.

– Ciało jest najważniejsze, a słowa są zbędne – tłumaczy Tomek. – To znaczy, jak gada się według wzorców lingwistycznych, można wywołać stany uniesienia u kobiet, ale nie funkcjonuje wtedy subkomunikacja. Co innego mówi język, a co innego ciało. Kobieta, odbierając sprzeczne komunikaty, nie wie, co ma robić.

PIERDOŁA JAK VALENTINO

Andrzej Batko poziom komplikacji lekcji uwodzenia porównałby do nauki języka angielskiego. Już po paru dniach pilnej nauki można się bez problemu dogadać z kobietą. Jednak biegła znajomość wymaga pomocy native speakerów.

Tę funkcję pełni w czasie kursu Andy, który towarzyszy seminarzystom podczas wieczornych zajęć praktycznych polegających na zapoznawaniu wskazanych przez trenera kobiet.

– Ćwiczenia wymyślił po to, by nikt nie wyszedł z seminarium wyposażony tylko w wiedzę teoretyczną – mówi Andrzej Batko.

Dla Tomka, z którym spotkałem się w Green Café przy ulicy Marszałkowskiej, nikt nie jest stracony. Nawet ten łysy pierdoła z nosem wetkniętym w gazetę, na którego nikt nie zwraca uwagi. Nawet on zdaniem Tomka mógłby łamać serca jak kiedyś Rudolf Valentino.

– Jesliby się tylko zdecydował, to jest możliwe – Tomek przez chwilę przygląda się tysemu, a po chwili dodaje: – Ale przed nim bardzo długa droga. ■

Podyskutuj o tym artykule w [WR.PL](http://www.wr.pl) w serwisie media.wp.pl



Kup następny numer „Przekroju”

Tylko dla studentów – w każdą ostatnią środę miesiąca

– specjalne pokazy filmowe w kinie ATLANTIC (Warszawa, ul. Chmielna 33)!

W NASTĘPNYM NUMERZE:
Bilety na pokaz filmu „Dobry agent”, 28 lutego o godz. 20.30
Biletów do kina sztukaj w „Przekroju” nr 8, 22 lutego 2007

Więcej szczegółów:
www.gazetastudencka.pl
www.kinoatlantic.pl
www.radiokampus.pl
www.przekroj.pl

SPECJALNIE DLA STUDENTÓW:

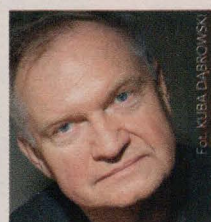
studencki klub filmowy



REKLAMA

Dobrá zabawę zapewniamy:
Kino ATLANTIC
merlin.pl
Kampus 974 fm
STUDENCKA
PRZEKRÓJ

Gorętsze niż Magda M.



PAWEŁ NOWICKI (56)
Szewiał teatrom:
Dramatycznemu w Słupsku
i Studijnemu w Łodzi.
Do Kolumbii wyjechał
w 1989 roku. Niektóre
z 32 spektakli, jakie tam
zrealizował, objechały
festiwale na całym świecie.
Dla telewizji Canal Caracol
pracował przy takich
telenowelach jak „Candela”
czy „Prisioneros de amor”.
Po powrocie do Polski
tworzył seriale „Samo
Życie”, „Warto kochać”
i „Adam i Ewa”. W tym
ostatnim jego żona Anna
zagrała tajemniczą kobietę
z Ameryki Łacińskiej
– Milagros Skierniewice
Przełęczki de Valasquez.

„Amores de mercado”
– ten przystojniak
to serialowy amant Diego.
Gra go Michel Brown,
a właścicielem Misael
Browarnik Beiguel.
On także ma
polskie korzenie

Jak się robi telenowełe?
– Szybko. W Polsce dziennie kręci się jakieś 10 minut materiału. U Latynosów co najmniej dwa razy tyle, więc nie ma czasu na ileś tam dubli. Wystarczy, że aktorzy poprawnie powiedzieli swoje kwestie, i jedzie się dalej. Chodzi o to, by ekipy nie zamęczyć, ponieważ to jest ciężka robota. Od poniedziałku do soboty, po 12 godzin dziennie.

A więc na co panu – człowiekowi teatru – te telenowełe?
– Tak naprawdę to pojawiły się przypadkiem. W Kolumbii także pracuję głównie w teatrze. Współpracuję z kilkoma scenami. Tyle że teatr w Ameryce Łacińskiej, choć kochany przez ludzi, jest biedny. W samej Bogocie jest ponad 200 grup teatralnych, więc aktorstwo jest traktowane jako oficio – zajęcie, a nie profesja – zawód. Pieniądza na aktorów, ale także scenarzystów czy reżyserów, czekają w telewizji. A tak naprawdę w królowej telewizji, czyli telenowelach.

Dlaczego właśnie tam?
– Bo to ogromny rynek. Rocznie w Ameryce Łacińskiej powstaje blisko sto telenowel. W Peru na pięciu kanałach można codziennie obejrzeć 30 różnych tytułów, w Kolumbii 10, a w Wenezeli 18. Najlepsze mają oglądalność na poziomie 70-90 procent. Telenoweła, która odnosi sukces, zarabia ponad milion dolarów, a zyski z jej emisji utrzymują całą stację.

Pieniądże pieniędzi, ale nie ma pan poczucia, że marnuje swój talent?
– To takie elitarne myślenie, że telenowełę jest łatwo zrobić. Dobra telenoweła jest równie dużym wyzwaniem jak dobra, poruszająca sztuka. Jest tyle różnych gatunków telenowel, od novela rosa, czyli tradycyjnej, melodramatycznej, po komediowe, parodystyczne, że można znaleźć coś dla siebie.

W Polsce słowo „telenoweła” to inwektywa. Szanujący się producent robi film odcinkowy, a nadawca pokazuje serial. Reżyser teatralny PAWEŁ NOWICKI nie tylko nie wstydzi się opowiadać o tym, jak od blisko 15 lat realizuje w Kolumbii telenowełe, ale stwierdza ich niewątpliwą wyższość nad polskimi serialami

ROZMAWIŁA SYLWIA CZUBKOWSKA

Trudno mi w to uwierzyć. Nie oszukujmy się, przecież to tak kie proste opowiadki o miłości.

– Wie pani, z telenowelami jest – jak to powiedział kiedyś Arquimedes Rivero nazywany „carem wenezuelskiej telenowel” – jak z szachami: 32 figury i tysiące kombinacji. Niby wszystko zawsze jest tak samo, ale ciągle jest inaczej. Oczywiście, najważniejsza jest miłość. Ona jest tu wielką autostradą, po której się jedzie. Ale to nie wystarczy. Diego Garcia, ważny scenarzysta, przeanalizował siedem największych hitów, jakie powstały w historii, i odnalazł 69 powtarzalnych elementów.

69? Sporo. Jakże są najważniejsze?

– Po pierwsze, obecność złych. Czasem jest tak, że nie pamięta się już wszystkich pozytywnych bohaterów, za to złych – jak najbardziej. Tak było z Isaurą i Leonciem. To jego dzięki spojrzenie wspominamy. Dalej telenoweła nie ukrywa, że jest bajką, która obowiązkowo dobrze się kończy. Tylko że dwa razy spróbowano innych zakończeń i były z tego powodu ogromne skandale. Thum nawet pobił scenarzystę. Miłość musi być związana z tajemniczą przeszłością bohaterów. I tu pojawia się to, z czego my się tak bardzo śmiejemy. Ktoś musi się okazać czyjąś dawno zaginioną córką, siostrą lub ojcem.

A Latynosi się z tego nie śmieją?

– Śmieją się, śmieją, ale i tak to uwielbiają.
No dobrze, ale skoro tych wspólnych elementów jest tak dużo, to czym się różnią te seriale? Są jakieś różnice, które zależą od kraju, w którym powstały?

– Oczywiście. Ameryka Łacińska tylko z naszego punktu widzenia jest taka jednorodna. A telenowełe różnią się tak jak poszczególne kraje. W Polsce przyjęło się mówić najgorzej o brazylijskich. To nasza zemsta za to, że kilkanaście lat temu zwariowaliśmy na punkcie Isury. W rzeczywistości to telenoweła brazylijska jest uznawana za najbardziej nowatorską i naj-

lepiej realizowaną. Są w niej dwa nurty. Realistyczny, poruszający współczesne problemy, i „realizm fantastyczny”, który sięga do brazylijskich legend. Pełen czarów, duchów. Tak jest na przykład w „Xica da Silva”, opowieści dziennej się w XVIII wieku. Xica to postać autentyczna. Była niewolnicą – podobno brzydką i do tego dzieciątą – w której zakochał się gubernator. W telenowelach jednak grała już piękna Mulatka. Producenti zrobili naprawdę ogromne widowisko. W epizodzie rolę włoskiej burdelmamy zagrała nawet Ciciolina!

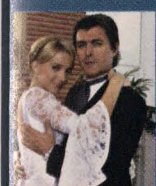
A seriale z innych krajów?

– Meksykańskie telenowełe są dosyć konserwatywne, moralizatorskie i lomas, czyli płacziwe, za to te z Wenezeli już gritona, czyli bohaterowie lubią sobie pokrzyżować. W Kolumbii telewizję podobnie jak w Polsce postrzegano się poprzez pryzmat jej misji, więc początkowo telenowełe były głównie adaptacjami klasyki literatury. W efekcie – jak mawiają Kolumbijczycy – Balzac i Tolstoj przewracają się do dziś w grobie. Równie chętnie ekranizowane są tam rodzime dzieła literackie. Z telewizją współpracuje nawet Gabriel Garcia Márquez. Dość szybko zaczęto tutaj bawić się samym gatunkiem, więc powstają liczne parodie telenowel. Chyba najbardziej znaną jest pokazywana także w Polsce „Yo soy Betty, la fea” („Brzydula”), która wywołała taką furorę, że nawet Salma Hayek wyprodukowała jej remake na rynek USA.

Jestem pewna, że w „M jak miłość” nie będzie rozmowy na temat lustracji, choć w codziennym życiu nikt u nas nie może się przed tym powstrzymać. A czy Latynosi odwołują się do polityki?

– Z tym jest różnie. Z zasady tak jak w kolumbijskiej „Brzyduli”, która w ogóle nie dotykała tematu partyzantek i porwań, choć ekipa serialu sama miała z tego powodu kłopoty. Ale zdarzają się też seriale, które opowiadają o polityce. Brazylijski „Roque Santeiro” („Roch od świętych”) był ostrą satyrą na świat polityki, a wenezuelska „Por estas calles” („Na tych ulicach”) według wielu miała zdecydowany wpływ na zmiany polityczne w tym kraju w połowie lat 90.

NAJCHĘTNIEJ OGLĄDANE TELENOWELE W POLSKICH STACJACH



Polsat
12.00 „Sidła miłości” („Juanita la Soltera”)
Argentyna 2006 – 578 tysięcy.
Juanita ma odziedziczyć fortunę, pod warunkiem że wyjdzie za mąż. Tommy jest splukany i postanawia, że to Juanita rozwiąże jego problemy.



TVN
15.00 „Cena marzeń” („Rubi”)
Meksyk 2004 – 1,4 miliona.
Rubi jest młoda i ambitna. Bóg obdarzył ją stylem, klasą i urodą. Na studiach poznaje Maribel i jej bogatego narzeczonego Hectora. Rubi postanawia go uwieść.



TV 4
19.00 „Jesteś moim życiem” („Sos mi vida”), Argentyna 2006 – 349 tysięcy.
Monita jest bokserką, ale postanawia szukać zajęcia z dala od ringu. Poznaje Martina, byłego kierowcę Formuły 1.



TVN 7
14.05 „Grzesznica” („Amarte es mi pecado”), Meksyk 2004 – 154 tysiące.
Nora po zdradzie ukochanego i utracie dziecka staje się twardą kobietą. Dzięki swojej urodzie wykorzystuje mężczyznę i zbija fortunę.



PULS
17.00 „Kobieta w lustrze” („La mujer en el espejo”), Meksyk 2004–2005 – 41 tysięcy.
Juliana Soler jest czarująca i inteligentna, ale jest też brzydka. Dzięki zaklęciu ukrytemu w lustrze przemienia się w piękną kobietę. Niestety, zaklęcie działa tylko w dzień.



TELE 5
17.25 „Moja piękna grubaska” („Mi gorda bella”), Wenezuela 2002 – 44 tysiące.
„Piękna grubaska” Valentina, 17-latką z nadwagą, zakochuje się w swoim kuzynie.

PODAJEMY ŚREDNIĄ OGLĄDALNOŚĆ Z OSTATNIEGO TYGODNIA STYCZNIA 2007, ŹRÓDŁO: AGB

Są w telenowelach jakieś tematy tabu?

– Dziś już właściwie nie. Dwa lata temu cała Brazylia pasjonowała się telenowelą o miłości dwóch chłopaków. Coraz częściej w serialach pojawiają się także narkotyki, korupcja czy AIDS. Za to normą są pewne sztuczności fabularne. I tak przez lata w Kolumbii bohaterka nie mogła być Murzynką i Indianką, a nawet więcej: winna być blondynką. Gdyby więc na podstawie telenowel wyciągać wnioski na temat społeczeństwa Ameryki Łacińskiej, można by sądzić, że podbili ją nie Hiszpanie, tylko Szwedzi.

W takim razie nasze rodzime telenowełe są już bardziej realistyczne.

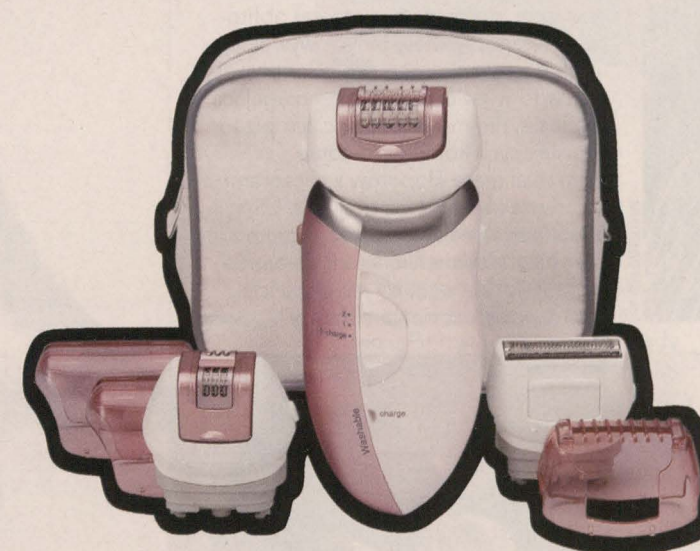
– Tyle że w Polsce nie kręci się telenowel „M jak miłość” czy „Klan” to seriale bliższe amerykańskim soap operom i od seriali latynoskich mocno się różnią. Po pierwsze, telenoweła to forma zamknięta. W takiej na przykład Wenezueli sam rząd wydał rozporządzenie, że nie powinna mieć więcej niż 180 odcinków. Po drugie, to opowieści o wielkiej, niemożliwej i namiętnej miłości. U nas seriale ciągną się w nieskończoność i są opowiadaniem o codzienności, o tym, co

wydarzyło u sąsiadów, jak się gotowało zupę. Jeżeli już jakaś miłość się przydarzy, to jest to miłość taka prosta, codzienna. Oczywiście nasze telenowełe są bliższe rzeczywistości, ale są też nudniejsze. Boimy się strasznie kiczu, w związku z tym w polskich serialach jest monochromatycznie. Taki szary kicz.

Ale jakoś trudno mi uwierzyć, że Polacy nie tęsknią za taką wielką miłością na ekranie. Wystarczy spojrzeć na sukcesy komercyjne, jakie odnoszą polskie komedie romantyczne. A „Magda M.” to już chyba klasyczna telenoweła, tylko pokazywana w transzach? Ona kocha jego, ale na drodze do ich szczęścia piętrzą się przeszkody...

– Ale ta miłość nie jest namiętna! Ona jest letnia. Bohaterkom tego serialu nawet nie przychodzi do głowy ciągnięcie się za włosy w walce o bohatera. Wszystko jest takie ułożone, wręcz konserwatywne. U Latynosów jest więcej napięcia seksualno-zmysłowego: spojżenia, muśnięcia rąk, pocałunki, prowokujące ubrania. Czysta gra wstępna. A w polskich serialach życie seksualne toczy się zgodnie z receptą polskiej aktorki Marii Ciunelis: leż w łóżku i jedno wstaje. ■

Panasonic



Dla ochrony skóry wrażliwej

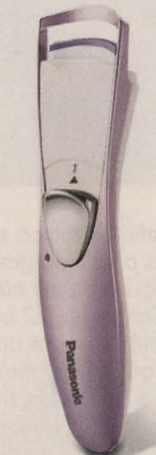
Depilatory marki Panasonic wyposażone są w unikalny system ochrony skóry wrażliwej SKIN PROTECTOR. Specjalna nasadka dociska skórę i nawet króciutkie włosy usuwane są skutecznie wraz z cebulką. Zapomnij o uporczywym bólu podczas depilacji... Pozostałe zalety w zależności od modelu: możliwość czyszczenia w wodzie, dwie prędkości pracy, wymienna głowica gołocząca oraz depilująca do pach i bikini, zasilanie przewodowe/bezprzewodowe. Ceny od 99 zł.

Jeszcze piękniejsza z Panasonic

Marka Panasonic ma w swojej bogatej ofercie szereg innowacyjnych produktów do pielęgnacji ciała. Tylko spojrz!



Jonowa szczotka do włosów EH2203



Zalotka do rąs EH2331



Urządzenie do oczyszczania porów EH2511

- poprzez emisję jonów ujemnych nawilża włosy poprawiając ich wygląd
- zielona lub różowa cena: 69 zł

- elegancko podkręca rzęsy od podstawy po same końce, delikatnie podgrzewane poduszki gwarantują długotrwały efekt
- zielona lub różowa cena: 89 zł

- wodna mgielka nawilża skórę powodując delikatne poruszanie się nasadki a skóra jest dogłębnie oczyszczana i w efekcie staje się ładniejsza i zdrowsza
- zasilanie akumulatorowe
- kolor biały lub niebieski cena: 149 zł



„Ekstaza”, reż. Gustav Machaty (1933)
 Erotyczna, zmysłowa „Ekstaza” to pierwszy w dziejach film, w którym mogliśmy zobaczyć kobietę przeżywającą orgazm na ekranie. Kamera najędza na twarz młodziutkiej Hedy Kiesler (znanej później jako Hedy Lamarr) dokładnie w momencie, gdy malują się na niej paroksyzmy rozkoszy. „Ekstaza” opowiada o sfrustrowanej seksualnie kobiecie (ma męża impotentą) obfitowała jeszcze w wiele innych wywołujących poruszenie scen: z Kiesler pływającą nago w jeziorze czy nago biegającą po lesie, nie mówiąc o ujęciach przedstawiających kopulujące konie. Film miał masę kłopotów z cenzorami (pierwsza kopia, która trafiła do USA, została spalona), ale także z mężem Kiesler, austriackim milionerem daremnie starającym się o to, by nie dopuścić do rozpowszechniania „Ekstazy”. (MASA)



„Ostatnie tango w Paryżu”, reż. Bernardo Bertolucci (1972)
 Żadnych imion, czysta fizyczność – słowem: seks od pierwszego wejrzenia. W licznych wywiadach po premierze „Ostatniego tanga w Paryżu” Bernardo Bertolucci przyznawał, że taki typ niezobowiązującej relacji, jaka zawiązuje się między jego bohaterami Paulem (Marlon Brando) i Jeanie (Marie Schneider), był odzwierciedleniem jego własnych fantazji. Według pierwotnych planów film miał trwać aż cztery godziny. Chwała Bogu, że się z nich wycofano. Groziłoby to chyba stożkiem, bo już za wersję ponaddwugodzinną reżyser i aktorki zostali oskarżeni przez sąd w Bolonii o rozpowszechnianie

pornografii. Bertolucci stracił nawet na pewien czas prawo do głosowania. Trudno się dziwić, bo brutalność scen między młodziutką Schneider (22 lata) i dużo starszym Brando (48 lat) może bulwersować. Tym bardziej gdy znamy niektóre kulisy ich wystawiania (najsłynniejszej sceny z użyciem masła nie było w scenariuszu, Bertolucci i Brando wymyślili jej zaimprovizowanie bez konsultacji ze Schneider – jej lzy i szok nie są więc odegrane...) i rezultaty: Schneider leczyła się potem jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym. „Ostatnie tango w Paryżu” naznaczona zniesławionym statusem X (pornografia i duża przemoc). Na rehabilitację i przyznanie statusu R (tylko dla dorosłych) film czekał aż 10 lat. (KP)

„Barbarella”, reż. Roger Vadim (1968)
 – Umrzesz z rozkoszy – obiecuje blondwłosej Barbarelli naukowiec Durand Durand (od którego notabene wziął nazwę zespół Duran Duran). I nie są to przechwaki erotomana gawędziarza, ale poważna groźba śmierci. Bo seksownej blondynce będą aplikowane orgazmy, póki nie wyzionie ducha. W tym celu szalony doktor umieszcza Barbarellę w kosmicznej maszynie, która z daleka przypomina meduzę lub muszlę ze słynnego obrazu Botticellego. Na ekranie widzimy wyłącznie twarz młodziutkiej Jane Fonda, której mimika pobudza (wyobraźnię) nie słabiej niż nagość w niejednej „Emmanuelle”. Na międzygwiazdną agentkę nie ma jednak mocnych – maszyna rozkoszy przegrzewa się. Sfrustrowany Durand Durand wrzeszczy: „Wyczerpałaś ją, nie mogła dotrzymać ci kroku! Co z siebie za dziewczyna, nie masz wstydu?”.

Dodajmy, że w trakcie powstawania filmu reżyser i jego aktorka (ochrzczona przez krytyka z „New Yorkera” cudowną heroiną pornograficznej komedii) byli małżeństwem, a na świecie trwała rewolucja seksualna. Freudowska interpretacja sceny narzuca się sama. Film Vadima, który powstał na podstawie francuskiego komiksu, okazał się frekwencyjną porażką, ale po kilku latach zyskał status kultowego, również z powodu słynnej sceny striptizu w stanie nieważkości oraz kiczowatych dekoracji. Do tego stopnia, że całkiem niedawno nie mniej legendarny producent „Barbarelli” Dino de Laurentiis postanowił zrobić remake filmu. Nie zdradził, jaką aktorkę widzi w roli blond kociaka. (SOŁ)



13 MOMENTÓW które wstrząsnęły kinem

W parze i grupowo. W kuchni i w pokoju. Przed koncertem i po nim. W samochodzie, na samochodzie i pod nim. Z użyciem masła lub z podduszaniem. Oto 13 filmów, które miały pecha do cenzury obyczajowej, ale szczęście do wzbudzania emocji. Może dlatego, że momenty były. Czasem nawet same momenty...

„Głębokie gardło”, reż. Gerard Damiano (1972)
 Mająca problemy z osiągnięciem orgazmu Linda Lovelace (Linda Boreman) udaje się do niejakiego doktora Younga po radę. Specjalista po kilku minutach odkrywa źródło problemu zdesperowanej kobiety – jej lechtaczka umiejscowiona jest głęboko w gardle (sic!). Jako receptę na tę dolegliwość zalecony zostaje seks oralny z mężczyznami, a pan doktor, jak na prawdziwego specjalistę przystało, postanawia sprawdzić trafność swojej diagnozy osobiście.



„Emmanuelle”, reż. Just Jaeckin (1974)
 Już jedna z początkowych scen w filmie jest symboliczna dla seksualnego wyzwolenia tytułowej bohaterki. Emmanuelle (mająca wtedy 22 lata Sylvia Kristel) leci samolotem z Paryża do Bangkoku. Nudny lot Francuzka postanawia urozmaicić zabawą z samą sobą. Szybko na ratunek przybywa jeden z pasażerów – nie zwracając uwagi na innych, para zupełnie nieznanym zaczyna się kochać. W dalszej części bohaterka, żona dyplomaty, między innymi sypia z kobietami oraz zostaje zgwałcona. Producent tego filmu chciał zarobić na sukcesie „Głębokiego gardła” i przy okazji stworzyć francuską odpowiedź na amerykańską wersję ekranowego

seksu. Z pomocą niespodziewanie przyszedł prezydent Valéry Giscard d'Estaing, znosząc cenzuralne obostrzenia swojego poprzednika Georges'a Pompidou. Film „Emmanuelle” okazał się największym sukcesem francuskiej kinematografii tamtych lat. Przez 18 miesięcy nie zniknął z repertuarów kin i doczekał się wielu kontynuacji, łącznie z „Emmanuelle w kosmosie”. Film bił także rekordy popularności na kasetach VHS. Wielokrotnie przegrywaną kopię w czasach PRL widział na przykład Marcin Daniec, ale dziś wspomina, że film nie zrobił na nim wrażenia. (ŁUK)





„Salò, czyli 120 dni Sodomy”, reż. Pier Paolo Pasolini (1975)
 Ostatni film Pasoliniego to luźna adaptacja powieści markiza de Sade „120 dni Sodomy”, której akcję przeniesiono w czasie II wojny. Niemal każda scena „Salò...” budziła kontrowersje. I nic dziwnego – w końcu była tu mowa o grupie maniaków, która porwała młode dziewczęta i chłopców i zmusza ich do udziału w naj-
 bardziej perwersyjnych, często obrzydliwych seksualnych ekscesach. Gwałty, morderstwa, zjadanie własnych genitaliów czy kału to tylko niewielka część tego, co działo się na ekranie. Nawet jawnie antyfaszystowska wymowa (Pasolini pokazał amoralność faszystowskiej władzy, jej dewiacyjny charakter i związki z przemocą) nie pomogła radykalnemu filmowi, który w wielu krajach nigdy nie wszedł na ekrany. (MASA)



„Crash: niebezpieczne pożądanie”, reż. David Cronenberg (1996)
 Seks na tylnym siedzeniu, na przednim siedzeniu, pomiędzy siedzeniami i na masce. Najbardziej szokujące w filmie Cronenberga (opartym na prozie Jamesa Ballarda) było jednak to, że ową przestrzeń bohaterowie znajdowali w wypadkowym wraku. Uprawiali seks, zanim zdążyli otrząsnąć się po wypadku samochodowym, który zdarzył się przed momentem. A w ostateczności – po obejrzeniu wideo z legendarnymi kolizjami bądź wysłuchaniu o nich opowieści. Filmowym pomysłodawcą tej dziwacznej gry wstępnej był Vaughan – dawniej naukowiec, obecnie ktoś na miarę przywódcy sekty samochodowych fetystów, do której trafił główny bohater James (James Spader). Rada Westminster, uznawszy film za wybitnie pornograficzny, zakazała jego emisji i sprzedaży na terenie centralnego Londynu. (KP)



„Intymność”, reż. Patrice Chéreau (2001)
 – Sceny erotyczne w filmie zaczynają się tam, gdzie w innych filmach się kończą – tłumaczył się z dosadnych ujęć reżyser „Intymności”. Dwoje obcych sobie londyńczyków spotyka się co środa, by uprawiać seks na zimnej podłodze pokoju z odrapanymi ścianami. Nie rozmawiają ze sobą, czasem nawet nie zdejmują wszystkich ubrań. Francu-
 ski reżyser pokazał w sposób szczerzy i chłodny akt seksualny: widzimy bladość i nie zawsze atrakcyjną nagłość aktorów, operator nie szuka korzystnego kąta ani światła. A początkowo gorące pytanie: „Zrobili to naprawdę czy nie?”, studzą odważne, ale niespecjalnie seksowne sceny. W filmie tytułowej intymności właściwie nie ma. Jest natomiast emocjonalna alienacja, której nie niweluje fizyczna bliskość. (sol)

„Nagi instykt”, reż. Paul Verhoeven (1992)
 – Nie mam nic do ukrycia – deklaruje, wchodząc do pokoju przesłuchań, Catherine Trammel (Sharon Stone). I kilka minut później przekonamy się, że mówiła prawdę. Powieściopisarka Trammel podejrzana jest o zabicie szpikulem do łodu swojego kochanka. Jednak zamiast grzecznie zeznawać, prowokuje śledczych, zwłaszcza granego przez Michaela Douglasa Nicka Currana („Zdradzałeś kiedyś żonę, Nick?”). W słynnej scenie przesłuchania *femme fatale*, która uwielbia wciągać mężczyzn w ryzykowną grę, ubrana jest w króciutką białą sukienkę i biały płaszcz, który po chwili zsuwa. Choć to zabronione, zapala papierosa, sugerując, że lubi rzeczy zakazane. Ale pot wstępuje na czoła policjantów (i widzów) dopiero w momencie, gdy Sharon Stone zakłada nogę na nogę, nie pozostawiając wątpliwości, że pod sukienką nie ma nic a nic. Jak głosi legenda, pochodzący z Holandii Verhoeven został reżyserem „Nagiego instyktu” po złożonej w towarzystwie producentów deklaracji, że oto zrobi „pierwszy hollywoodzki film pokazujący członka w erekcji”. Pokazał jednak kawałek nagiego kobiecego ciała i to – jak twierdziła wielokrotnie Stone – całkowicie bez jej zgody. Reżyser przekonał ją, że powinna zdjąć majtki z przyczyn... technicznych (biel majtek zbyt mocno odbijały światło), obiecując, że nic nie będzie widać. Kiedy się okazało, że skłamał, Stone miała go spoliczkować i zażądać usunięcia sceny. Oczywiście bez rezultatu. Pod wpływem nacisków Verhoeven zmuszony był do kilkukrotnego przemontowania filmu, do kin trafiła więc jego „złagodzona” wersja. (MASA)



„9 Songs”, reż. Michael Winterbottom (2004)
 Zasadniczo mamy tu tylko dwa miejsca akcji: londyński klub Brixton Academy (świetne fragmenty koncertów między innymi Franza Ferdinanda i Boba Hardy'ego)... i łóżko, ewentualnie stół kuchenny czy wannę, które odgrywają jedną rolę – scenarii zbliżeń bohaterów filmu Matta (Kieran O'Brien) i Lisy (Margo Stilley). W tych ostatnich nie ma nic z pornografią, ale i nic z lukrowanych obrazków rodem z komedii romantycznych. Winterbottom nakręcił dziewięć scen miłosnych, mniej lub bardziej odważnych (w jednej Matt przewiązuje Lisie oczy czarną chustką, a ręce krępuje u wezglowia łóżka). „9 Songs” przełamał lody: jest pierwszym filmem ze scenami seksu, który we Francji i Irlandii uniknął znieślawionego symbolu X. (KP)

Orgia w „Kaliguli” trwa od dziewiątej minuty filmu. I trudno spamiętać, co się w niej nie działo, bo nie zabrakło niczego – od seksu oralnego, przez homoseksualizm, a na kazirodztwie kończąc



„Imperium zmysłów”, reż. Nagisa Oshima (1976)
 W wielu krajach zakazane do dziś (Irlandia) „Imperium zmysłów” zszokowało widzów w latach 70. Oshima nakręcił film o destrukcyjnej sile pożądania, zawierający niemal wyłącznie sceny seksu (niepozowanego). Nikt wcześniej tak jednoznacznie i mocno nie pokazał związku popędu śmierci z popędem seksualnym. Najgłośniejszą sceną jest finałowa, gdy Sada dusi swojego kochanka – za jego zgodą – by sprawić mu najwyższą rozkosz, a następnie obcina mu genitalia i z nimi odchodzi. Uznano by go pewnie za człowieka o chorej wyobraźni, gdyby nie to, że ta historia zdarzyła się naprawdę w Tokio w 1936 roku. Prawdziwa Sada została gwiazdą prasy, ikoną pożądania, ale też niewinności. Za zabicie kochanka skazano ją na sześć lat. Japońska cenzura nie pozwoliłaby na stworzenie czegoś takiego, więc Oshima nakręcony materiał wysłał do Francji. Dopiero tu go wywołano i zmontowano. Premiera w Berlinie skończyła się konfiskatą taśmy i dopiero po 18 miesiącach sąd zgodził się na pokazywanie filmu, i to bez cenzury. Do obiegu wideo „Imperium...” trafiło kilkanaście lat po premierze. (MASA)

„Kaligula”, reż. Tinto Brass (1979)
 Wrzask dziewiątej minuty filmu rozpoczyna się orgia u cesarza Kaliguli (Malcolm McDowell). Łątwie chyba napisać, co się tam nie działo, ponieważ nie zabrakło niczego – począwszy od seksu oralnego, przez homoseksualizm, a na kazirodztwie kończąc. Pamiętną sceną podczas rzymskich ekscesów okazuje się trójkąt miłosny między Kaligulą, jego siostrą Julią Druzyllą (Teresa Ann Savoy) oraz jego czwartą żoną Cezonią (Helen Mirren). Nominowana w tym roku do Oscara Mirren przed igraszkami tańczy w prześwitującym stroju. Dla niej to nic
 nowego – prywatnie jest aktywną nudystką. Film wywołał kontrowersje jeszcze przed premierą, i to nie ze względu na seks. Pierwotny scenariusz Gore'a Vidala został przepisany na nowo przez Brassę i McDowella, co nie spodobało się znowu Bobowi Guccione, producentowi, a zarazem wydawcy magazynu „Penthouse”. Poza wiedzą reżysera i aktorów dokręcił on kilka pornograficznych scen z zupełnie inną obsadą. Doprowadziło to do sporów o prawa autorskie i kilkunastu wersji filmu – od 85-minutowego wariantu soft po 156-minutowego „Kaligulę” przypominającego porno. (KUU)



„9 i pół tygodnia”, reż. Adrian Lyne (1986)
 – Ona była w stanie zjeść wszystko, na przykład pieprz jadła jak cukierki. Mam na myśli pieprz, galaretki i szampana jednocześnie – wspomina Mickey Rourke pracę z Kim Basinger. Jeden z najbardziej erotycznych i skandalizujących filmów wszech czasów słynie właśnie ze sceny, która rozgrywa się nie w sypialni, lecz w kuchni. Eterycznie piękna Basinger ma zamknięte oczy, a Rourke karmi ją czym popadnie. Menu przypomina trochę bulimiczny napad głodu: kandyzowane wiśnie, truskawki, szampań, makaron, syrop na kaszel, ostra papryka, mleko. Być może dzięki takiej diecie aktorzy byli w stanie w deszczowej, równie pamiętnej scenie wykonać skrepy, skłony i wygięcia godne jogninów. (sol)

- TAK, ZGADZAM SIĘ!

Walentynki
z

Wygraj romantyczny weekend
w Mikołajkach
lub 1 z 50 złotych pierścionków

Dostępne w sklepach i na: www.durex.pl

szczegóły i regulamin konkursu na www.durex.pl
szukaj promocyjnych produktów w sklepach i na stacjach benzynowych



Z profesorem
BOGUSŁAWEM
PAWŁOWSKIM
o seksie,
prawdziwej miłości
i o rozrodczych
sztuczках obu
płci rozmawia
Aneta Prymaka

BIOLOGIA WCZUĆ

Czy istnieje romantyczna miłość, niezwykle poryw serca? Po lekturze tekstów antropologicznych można dojść do wniosku, że to tylko sztuczka mężczyzn, by skłonić kobietę do seksu.

– Tak daleko bym się nie posunął. Zwłaszcza że to raczej kobiety „wymyśliły” miłość. Z punktu widzenia antropologii miłość jest ewolucyjnym efektem przywiązania kobiety do dziecka. W przypadku gatunków, których potomstwo rodzi się niezdolne do samodzielnego życia, niezbędna jest im opieka, często pełna poświęceń i narażania się rodziców. Natura więc niejako wymusiła tę miłość na kobietach, między innymi poprzez gospodarkę hormonalną. Zwłaszcza przez wydzielanie oksytocyny podczas akcji porodowej. Badania dowiodły, że wstrzyknięcie tego hormonu samicy ssaka sprawia, że zaakceptuje ona cudze dziecko i będzie wychowywać jak własne, choć w innych warunkach pewnie by je odrzuciła. Dzięki temu niemal od chwili porodu kobieta jest związana z dzieckiem, jest w stanie je pielęgnować, przewijać, karmić własną piersią, przytulać, pieścić itp.

Co ciekawe, także kobiecy orgazm związany jest z wydzielaniem oksytocyny. Być może przez to silnie wiąże się ona z mężczyzną

doprowadzającym ją do rozkoszy? Wszystkie się więc zaczęło od miłości matczynej. Zresztą wiele zwyczajów miłosnych stosowanych przez kochanków narodziło się właśnie w relacji dziecko–matka. Weźmy na przykład pocałunek pokarmowy znany niemal we wszystkich kulturach. Dziś mamy miksery, ale pierwotnie matka sama przeżuwała pokarm i z ust do ust podawała swemu maleńkiemu dziecku. Był to oczywiście pocałunek nieseksualny, dziś jednak kochankowie często podają sobie z ust do ust jakieś delikatesy.

I to miłość matczyna jest pierwowzorem zaangażowania emocjonalnego kochanków?

– Tak, miłość romantyczna jest ewolucyjnie późniejsza. I to kobietom bardziej zależało na jej powstaniu. Z punktu widzenia kobiety wiązanie się z mężczyzną, który o nią zabiega, przynosi jej prezenty, było korzystną strategią. Jeśli podczas zalotów przynosił jej najlepsze kawałki upolowanej zwierzyny, to pokazywał, że jest na tyle zaradny i sprytny, by zdobyć pożywienie i zapewnić opiekę kobiecie oraz dziecku, które się w ich związku urodzi. U mężczyzny zaś wcześniej ewolucja raczej nie promowała wierności i więzi emocjonalnej z jedną wybranką przez całe życie. Dla niego i jego genów najkorzystniejsze było zapłodnienie jak największej liczby kobiet.

By je zdobyć, mógł więc pokazać im swoje zaangażowanie oraz miłość, która będzie trwała wiecznie. Ale chyba nie trwa?

– Bo jesteśmy tak biologicznie zaprogramowani, by nie trwała wiecznie. Przecież zakochanie i wszystkie wynikające z tego odczucia wiążą się z ogromnym hormonalnym zamieszaniem w naszym organizmie. I ta hormonalna burza trwa od kilkunastu do nawet 40 miesięcy. Czyli przez czas potrzebny do tego, by począć, wydać na świat i odchowić dziecko do momentu zakończenia karmienia piersią.

Czyby trwały związki damsko-męskie, w tym małżeństwo, były wbrew naturze? Przynajmniej wbrew męskiej naturze?

– Nie do końca. Do powstania instytucji małżeństwa doprowadziło kilka przyczyn. Po pierwsze, potrzeba wspólnej opieki nad potomstwem. Wcześniej to kobieta ponosiła cały ciężar z tym związany – to ona jest w ciąży, a potem musi karmić piersią i zajmować się dzieckiem. Małżeństwo sprawiło, że wysiłek przynajmniej częściowo rozkładał się na dwie osoby. Mężczyzna zapewniał pożywienie i opiekę.

To chyba także przyczyniało się do przekazywania własnych genów. Co z tego, że mężczyzna zapłodnił kilkanaście kobiet, skoro dzieci bez opieki ojca mogły nie przeżyć pierwszych miesięcy...

– To prawda. Do tego dochodził aspekt ekonomiczny – wspólne kumulowanie zasobów, które podobnie jak posiadanie dzieci bardzo wiąże ludzi ze sobą. A także aspekt społeczny – silny nacisk kładziony na to, by mężczyźni poskromili swoje samcze zapędy. Poza tym przecież w społeczeństwie, w którym żyje mniej więcej tyle samo kobiet i mężczyzn, większość i tak nie znalazłaby więcej niż jednej kandydatki na żonę. Zresztą znacznej części mężczyzn nie stać byłoby na kilka żon. Tu nie mała rolę odgrywały warunki środowiska. Na przykład wśród Eskimosów surowe warunki życia sprawiają, że mężczyźni z trudem stać na utrzymanie jednej żony, a co dopiero kilku.

A kiedy narodziło się małżeństwo?

– Niestety, nie wiemy. Niektórzy wprawdzie próbują dowodzić, że już australopiteki żyły w stałych związkach, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Zresztą nasza biologia sugeruje, że nie jesteśmy gatunkiem monogamicznym. Bo gdybyśmy byli, kobiety i mężczyźni mieliby ten sam wzrost i ważyli tyle samo, tak jak nasi monogamiczni krewni gibony. Tymczasem mężczyźni są średnio o 7–9 procent wyżsi od kobiet.

Człowiek jest gatunkiem umiarkowanie poligamicznym. Większość ludzi żyje w związkach monogamicznych. Ale część z nich się rozpada, dość często zdarzają się zdrady.

Mężczyzna hulaka, który ma wiele partnerek i często je zmienia, w przeszłości był dość skutecznym reprodukcyjnie. Dziś jego taktyka może się okazać kompletną porażką – uważa profesor Bogusław Pawłowski z Katedry Antropologii Uniwersytetu Wrocławskiego i Zakładu Antropologii PAN

Zachowaniami związanymi z miłością i seksem rządzą więc bardzo pierwotne prawa, które jednak podlegają pewnym zmianom. Mam wrażenie, że możemy je właśnie obserwować.

– Rzeczywiście w świecie Zachodu zachodzą ogromne kulturowe zmiany. To efekt bardzo silnego sfeminizowania tej kultury. Kobiety od kilkudziesięciu lat mają niespotykany dotychczas wpływ na procesy społeczne. Świat zaczyna być wręcz postrzegany oczami kobiet – wcześniej była to przecież męska perspektywa. Dlatego też zaczyna dominować, przynajmniej oficjalnie, ich punkt widzenia, jeśli chodzi o miłość: kładzie się dziś na nią bardzo duży nacisk. To oczywiście bardziej złożone zjawisko, bo dochodzą tu także czynniki ekonomiczno-prawne, społeczne oraz religijne promujące wierność i monogamię.

Czy to kulturowe zamieszanie może trwale wpłynąć na wzorce zachowań człowieka?

– Trudno powiedzieć, jak długo obserwowana dziś tendencja się utrzyma. Jeśli na przestrzeni kilkudziesięciu pokoleń ewolucja promuje określony wzorec zachowań, to może on zacząć dominować. Gdy na przykład większy sukces reprodukcyjny odniosą mężczyźni opiekuńczy, troszczący się o swoją partnerkę i pozostający jej wierni, to możemy się spodziewać, że za kilka tysięcy lat taki typ mężczyzny stanie się dominujący. Cechy te, jak dowodzą badania, są przecież w niemalym stopniu uwarunkowane genetycznie. Musimy też wziąć pod uwagę inne czynniki, które mogą doprowadzić do zmian. Typ mężczyzny hulaki, który ma wiele partnerek i zmienia je bardzo szybko, w przeszłości był dość skutecznym reprodukcyjnie. Obecnie może być eliminowany przez to, że kobiety stosują antykoncepcję i mogą precyzyjnie planować i skutecznie kontrolować reprodukcję. Nie zachodzą więc w ciąży, gdy partner jest nieodpowiedzialny i nie zamierza się z nimi wiązać ani łączyć na utrzymanie wspólnych dzieci. Co więc z tego, że ten mężczyzna przez całe swoje życie będzie miał nawet sto partnerek, jeśli żadna z nich nie zjadzie z nim w ciąży? Kiedy kobiety nie mogły sterować swoją płodnością, taki hulaka mógł liczyć, że z tych stu kobiet kilkanaście urodzi jego dzieci. Dziś jego taktyka może się okazać kompletną porażką i za ileś tam pokoleń mężczyźni o takich cechach będą o wiele rzadziej spotykani. Za to mężczyźni opiekuńczy i wierni będą mieli więcej potomków, którzy odziedziczą ich cechy. Jakby powiedział to dzisiejszy macho – mężczyźni staną się w swoich zachowaniach zniewieściali.

Choć trzeba przyznać, że ta tradycyjna męska strategia poszukiwania jak największej liczby partnerek jest dość silnie zakorzeniona w biologii i wielu mężczyzn stosuje strategię mieszaną – z jednej strony żyją z jedną partnerką, ale z drugiej robią skoki w bok. Zresztą w pewnym stopniu dotyczy to również kobiet.

No właśnie, porozmawiajmy o kobietach. Czy to, że kobiety zyskały tak silny wpływ na zachodnią kulturę, pozwoliło nam dowiedzieć się czegoś więcej o ich naturze?

– Na pewno. Zmieniło się bardzo wiele. Kiedyś w naszym kręgu kulturowym kobieta miała niewielki wpływ na to, co się z nią dzieje – decydowała za nią najpierw rodzina, potem mąż. Dlatego jej strategii zachowań reprodukcyjnych były ograniczone, podczas gdy męskie były szerokie i zróżnicowane. Teraz okazało się, że wachlarz kobiecych zachowań również może być dość szeroki. Emancypacja kobiet pokazała na przykład, że one są bardziej skłonne do zdrady, niż kiedyś uważano. Wprawdzie kobiety zdradzają inaczej niż panowie – gdy już decydują się na zdradę, wybierają kogoś lepszego niż ich stały partner. Jest on więc bardziej uczuciowy, czulszy niż ich małżonek, ma zasobniejszy portfel albo wyższą pozycję społeczną.

Jest też młodszy?

– Niekoniecznie. Wiek partnera nie ma dla kobiet aż tak dużego znaczenia. Chyba że mężczyzna stał się impotentem, przestał je za-

o zasobność portfela i zaradność życiową, która dla kobiety jest dowodem na to, że mężczyzna będzie w stanie zapewnić jej i dzieciom utrzymanie. Gdy analizujemy ogłoszenia matrymonialne, właśnie te cechy starają się mężczyźni podkreślić i wysunąć na pierwszy plan. Stąd też często wydawałoby się nieracjonalne zachowania – prezenty ponad stan, ekstrawaganckie wydatki. Słyszałem kiedyś historię mężczyzny, który kupował ukochanej majtki za 200 dolarów, choć wcale nie był zamożny. Chciał jej w ten sposób pokazać: zobacz, kochanie, stać mnie nawet na takie fanaberie, muszę więc być bardzo bogaty. Gdy jego bank zobaczył, że ile ten człowiek kupuje bieliznę, stwierdził, że musi to być ktoś niesłychanie majątny, i od razu przyznał mu złotą kartę kredytową.

Mężczyźni zdobywający kobietę często zachowują się jak pawie. Po co paw ma taki wielki ogon? Z punktu widzenia ewolucyjnego wydaje się to kompletnie bez sensu. To ogromny ciężar, a więc wielki wydatek energetyczny, to siedlisko pasożytów i czytelnik sygnał dla potencjalnego drapieżnika. Generalnie taki bujny „ornament” to udręka dla tego posiadacza. Ale imponuje samicom. I o to chodzi. Dlatego czasami warto te wszelkie udręki znosić.

Dziś jednak nie brakuje mężczyzn, którzy spędzają całe dnie u kosmetyczek i fryzjerów. Po co?

– Na to złożyło się kilka czynników. Przede wszystkim postęp medycyny i pojawienie się antykoncepcji, dzięki której kobiety mogą kontrolować swoją płodność. Istotne jest też to, że wraz ze wzrostem poziomu życia bardzo wzrosły koszty wychowania potomka. I nie chodzi tu tylko o nakłady materialne. Wysokie są także koszty społeczne, zwłaszcza z punktu widzenia kobiety. Jednocześnie status kobiet bardzo się zmienił: zyskały one dostęp do edukacji, ich ambicje upodobniły się do ambicji mężczyzn. Tyle tylko że w przypadku mężczyzn w parze z sukcesem zawodowym idzie zwykle sukces reprodukcyjny wyższy od przeciętnego. Mężczyźni osiągający wysoką pozycję społeczną mają zwykle więcej dzieci niż wynosi średnia. U kobiet jest odwrotnie. Ponad połowa kobiet menedżerów w Europie nie ma dzieci. Poza tym dłuższa edukacja sprawiła, że moment zakładania rodziny i rodzenie dzieci przychodzi później.

Czyby biologia nie miała metod, by się obronić przed dzisiejszymi zmianami kulturowymi?



Mężczyzna starający się o kobietę zachowuje się jak paw. Pręży pierś, szasta pieniędzmi i spełnia fanaberie wybranki. Ale mija 40 miesięcy i biologia każe mu się rozglądać za nową partnerką

dawała seksualnie itp. Trzeba jednak pamiętać, że sprawność seksualna mężczyzny wprawdzie słabnie, ale wystarczy nowa partnerka, by wróciła im ochota na seks oraz możliwość. Mężczyźni – w przeciwieństwie do kobiet – jeśli zdradzają, to ich nowe partnerki często bywają gorsze niż ich żony: brzydsze, mniej inteligentne... Ale za to często młodsze. Bo w przypadku kobiety wiek jest związany z jej możliwościami rozrodczymi, dlatego bardziej pożądane były te młode, które zdążyły urodzić kilkoro dzieci. Ale jako że mężczyźni nie znali metryki, oceniali wiek wybranki na podstawie wyglądu. Cennymi cechami były na przykład aksamitna skóra czy szczupła sylwetka. Dlatego kobiety od wielu pokoleń starają się ukryć swój wiek. Pod makijażem, ubraniem, poprzez operacje plastyczne, intensywnie się odchudzając. Współczesne techniki sprawiają, że robią to coraz bardziej perfekcyjnie.

Mężczyźni nie oszukują po to, by zdobyć partnerkę?

– Oczywiście, że oszukują, ale zupełnie inaczej. Coś innego jest w ich przypadku ważne dla płci przeciwnej: tu chodzi bardziej

– Generalnie mężczyźni w mniejszym stopniu zajmują się swoim wyglądem zewnętrznym, bo ich wygląd nie jest tak istotny dla kobiet jak wygląd kobiet dla mężczyzn. Owszem, zdarzają się grupy, które troszczą się o to bardzo mocno, ale to margines. Metroseksualność i inne takie zjawiska pojawiają się w tych środowiskach, w których potrzebna jest dodatkowa cecha różnicująca mężczyzn. Na przykład wśród hollywoodzkich aktorów wszyscy mają bardzo zasobny portfel i po kilka willi. Potrzebna jest zatem dodatkowa cecha, by wyróżnić się na tle konkurentów. Piękna muskulatura i wypiełgnowana twarz dobrze się do tego nadają. To tak jak przy wyborze pralki: gdy wszystkie są równie doskonałe i mają podobną cenę, to czym się kierować przy jej zakupie? Wtedy bierzemy pod uwagę nieistotne cechy.

A jak wytłumaczyć niż demograficzny? Świat Zachodu nie musi się martwić o przetrwanie, żywności jest w bród, żyje się względnie bezpiecznie. Wydawałoby się, że panują idealne warunki do tego, by się rozmnażać. A ludzie dobrowolnie rezygnują z przekazywania swoich genów.

– Biologia sobie poradzi. Tyle tylko że może za kilkaset lat dzisiejszą Europę zamieszkiwać będą na przykład Latynosi albo potomkowie mieszkańców krajów azjatyckich. I będą tylko od czasu do czasu wspominać ze śmiechem, że byli kiedyś jacyś Słowianie, jacyś Anglosasi, ale wyginęli na własne życzenie. Zresztą historia zna już przypadki sekt, które do tego stopnia potępiły seks, że nie były w stanie się rozmnażać: na przykład rosyjscy Skopcy. I w związku z tym wyginęły.

Co się zatem stało z naszą potrzebą przekazywania swoich genów?

– Jeśli nic się nie zmieni, może się okazać, że duży mózg czy silne rozwijanie inteligencji to ewolucyjny bubel. Historia zna i takie przypadki. Przykładem może być jeleń irlandzki, u którego dobór płciowy promował coraz większe poroże. Według jednej z hipotez w pewnym momencie poroże osiągnęło takie rozmiary, że samce tego gatunku nie mogły z takim ciężarem prawidłowo funkcjonować. I jeleń wyginął. Ale nie ulegajmy panice. Ta sama historia pokazuje, że w dziejach ludzkości nie brakuje zaskakujących zwrotów i zmian.

PRZE KROJ

Tygodnik „Przekrój” zaprasza na spotkanie w ramach **Kawiarni Naukowej**

CZAS: 19 lutego godz. 18-20
MIJESCE: Traffic Club przy ul. Brackiej 25 w Warszawie (III piętro)

TEMAT: Gra w spoteczeństwo

Zapraszamy Państwa do udziału w niezwykłym eksperymencie. Pracownia Gier Szkolenia przygotowała specjalną zabawę, grę „Łowisko”, której uczestnicy na własnej skórze przeżyją jakie mechanizmy rządzą ludzkimi społecznymi. Sprawdźmy, czy bardziej oplota się sobie do gardła czy walczą ramię w ramię. Wbrew pozorom odpowiedź nie jest oczywista. Wszystko leży w Państwa rękach - w grze wezmą udział wszyscy uczestnicy Kawiarni. Serdecznie zapraszamy!

UNIWERSYTET WARSZAWSKI
TRAFFIC CLUB
Koganna i salon muzyczny

KAWIARNIA NAUKOWA

PRZEKROJ NAUKI

wstęp wolny

Amerykańska astronautka chciała zabić koleżankę, która uwiodła obiekt jej westchnień – pilota wahadłowca. Teraz NASA głowi się, jak niedoszła zabójczyni przeszła testy psychologiczne agencji lotów kosmicznych



Lisa Nowak tuż przed wylotem w kosmos. Zazdrość o pilota NASA (po prawej) zrujnowała jej karierę

Kosmiczny romans

Nad lotniskiem w Orlando na Florydzie zaczyna świtać. Kapitan amerykańskich sił powietrznych Colleen Shipman właśnie przyleciała z Houston. Idzie do swojego samochodu przez parking nieopodal lotniska, gdy słyszy za sobą niepokojące kroki. Przekonana, że ktoś ją śledzi, zaczyna biec. Dobiega do auta, wsiada do niego i natychmiast blokuje wszystkie drzwi. Chwilę później do samochodu podchodzi postać w płaszczu przeciwdeszczowym i ciemnych okularach.

Shipman rozpoznaje kobietę, która jechała razem z nią lotniskowym autobusem. Nieznajoma najpierw puka do drzwi samochodu, potem szarpie za klamkę, w końcu prosi o podwiezienie, tłumacząc, że umówiła się tutaj z narzeczonym, który nie przyjechał. Shipman odmawia. Widząc jednak, że kobieta zaczyna płakać, uchyla o kilka centymetrów szybę. Wtedy nieznajoma błyskawicznie wyciąga pojemnik z gazem, którym przyska jej prosto w oczy. Shipman po omacku uruchamia samochód i odjeżdża.

W SIDŁACH ZAZDROŚCI

Kilka godzin później policja zatrzymuje astronautkę NASA Lisę Nowak. Motyw? Zazdrość. Shipman romansowała z pilotem wahadłowca Billem Oefeleinem, a zakochana w nim Nowak przechwyliła ich miłosne e-maile. Choć Nowak i Oefelein nigdy nie byli parą, w samochodzie napastniczkę znaleziono płomienny list miłosny, z którego wynika, że astronautka uważała pilota za mężczyznę swojego życia.

Przygotowanie się do podróży w kosmos na pokładzie Discovery zajęło jej 10 lat. Zrujnowanie obiecującej kariery w elitarnym klubie astronautów – zaledwie 14 godzin.

Wyniki policyjnego śledztwa wskazują na to, że zaslepiona zazdrością kobieta ze szczegółami zaplanowała atak na rywalkę. Kiedy już sprawdziła dokładną godzinę jej przylotu do Orlando, zapakowała do torby lateksowe rękawiczki, 10-centymetrowy nóż i wiatrówkę, a następnie w jedną noc przejechała 1400 kilometrów z Teksasu, aby się z nią rozprawić.

Spieszyło jej się tak bardzo, że chcąc ograniczyć liczbę postojów do minimum, prowadziła w pampersie (do takich sposobów uciekają się zwykle astronauta, ponieważ podczas startu i lądowania kosmicznych promów nie mają czasu na korzystanie z toalety). Przy realizacji dalszej części planu inspirowała się zapewne filmami grozy. Przebrana w perukę, prochowiec i ciemne okulary ruszyła na spotkanie z rywalką. Jednak jej romantyczna odyseja zakończyła się fiaskiem – za zaplanowanie morderstwa grozi jej dożywocie.

ZAWODNE TESTY

Rzecznik prasowy NASA James Hartsfield nie pamięta, kiedy ostatnio jakiś astronauta został aresztowany. Nic dziwnego – przy rekrutacji kandydaci są poddawani starannej selekcji i przechodzą szereg testów psychologicznych.

Silną rzeczy eliminuje to osoby z zaburzeniami emocjonalnymi. Ale kiedy delikwenci zostają już astronautami, nikt nie bada więcej stanu ich nerwów.

Zdaniem specjalistów to błąd: bo powrót na Ziemię po krótkich misjach, które wymagają lat przygotowań, może przecież spowodować trwale zmiany psychiczne nawet u najbardziej wytrzymałej osoby. Lisa Nowak jest tego najlepszym przykładem. Na pokład wahadłowca Discovery wsiadała atrakcyjna, pewna siebie kobieta. Pół roku później świat obiegły zdjęcia jej wychudłej twarzy i zapadniętych oczu. Zakładanie, że powodem jej zachowania jest wyłącznie miłosny zawód, byłoby szczytem naiwności.

NASA zweryfikuje testy rekrutacyjne, a Nowak awizowano na 30 dni, do chwili ogłoszenia wyroku. Ale wiadomo już, że zakochana astronautka nigdy więcej nie polecą w kosmos. Na razie została zwolniona z aresztu za kaucją w wysokości 25 tysięcy dolarów. Musi jednak cały czas mieć przy sobie nadajnik GPS, aby można ją było namierzyć. Otrzymała też bezwzględny zakaz zbliżania się do Colleen Shipman. Ciekawe tylko, czy się do niego zastosuje. Serce nie służy, a zazdrosna kobieta jest zdolna do wszystkiego...

AGNIESZKA CHADZYŃSKA

Ciemna strona miłości

Szaleństwo, uzależnienie, zazdrość, złość, zbrodnia – oto mniej przyjemne oblicze zakochania

Zakochani są naprawdę niezdolni. Czasem zachowują się tak, jakby byli pod wpływem narkotyków. I jest to bliskie prawdy, bo zakochanie to chemicznie sprowokowany stan szaleństwa. Uczucie euforii towarzyszące wczesnym okresom miłości ma źródło głównie w działaniu związku chemicznego podobnego do amfetaminy – fenyletyloaminy (PEA). PEA wywołuje stan podekscytowania, szczęścia. Pod jej wpływem można przetańczyć całą noc, nie jeść i prawie nie spać. Powoduje zaburzenia koncentracji. Miłosny koktajl wzbogacają duże ilości działającej na nasz mózg dopaminy (jej niski poziom jest powodem depresji; zależność miłości od dopaminy sugeruje, że nie jest ona emocją, ale pierwotnym popędem, takim jak głód), oksytocyny (to hormon „przywiązania”, który u rozłączonych kochanków wywołuje niepokój; oksytocyna także na krótko stępia pamięć) oraz testosteronu i estrogenów (hormonów wywołujących popęd płciowy).

Trudno się dziwić, że zakochani są zwykle bardziej wyalienowani z rzeczywistości, wesolkowaci, tryskający nadmiernym optymizmem – zwłaszcza w kwestiach dotyczących przyszłości swego związku. Nie umieją też racjonalnie ocenić charakteru i zachowania swego wybranka. A gdy spotka ich zawód miłosny, ich uczucie nie zostanie odwzajemnione lub zostaną zdradzeni, rzecz może się skończyć nawet zbrodnią. Co ciekawe, w wielu krajach świata zabójstwa popełnione w miłosnym afekcie traktowane są przez sąd ulgowo. Zdrada partnera postrzegana jest jako „okoliczność łagodząca”.

„Jeśli ja jej nie mogę mieć, nikt jej nie będzie miał” – argumentują często zdradzeni kochankowie, którzy posunęli się do zbrodni. Z danych statystycznych wynika, że najczęstszymi przyczynami zabójstw w związku są niewierność i odmowa współżycia. Do tak drastycznego kroku posuwają się częściej mężczyźni niż kobiety, i to przeważnie wtedy, kiedy jasno dociera do nich fakt, że na dobre

tracą partnerkę. 91 procent zabójstw współmałżonków popełnianych jest rok po rozstaniu.

W mózgu osoby osamotnionej zmniejsza się ilość serotoniny – „hormonu zadowolenia”. Układ nerwowy protestuje: chce, żeby znów było mi przyjemnie – wola. Wzrasta panika. Pojawiają się złość i nienawiść. Wtedy łatwo o nieszczęście.

Kiedy jednak przechodzi złość, sytuacja trwa, a zabójstwa udało się szczęśliwie uniknąć, po proteście nadchodzi melancholia. Gapienie się w telewizor, obżeranie czekoladą, płacz, depresja – to wtedy niektórzy ludzie popełniają samobójstwo z powodu złamanego serca.

– Nieszczęśliwa miłość może doprowadzić człowieka do wyczerpania fizycznego i psychicznego – uważa profesor psychologii klinicznej Alex Gardner, członek Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego, postulując jednocześnie, by ludzi w takim stanie obejmować leczeniem klinicznym. Jego zdaniem człowiek chory z miłości może mieć objawy typowe dla różnych chorób psychicznych, na przykład depresji (bezsenna noc, poczucie beznadziei, nadmierna płaczliwość), manii (pobudzenie, podwyższone samoocena i nastrój), a nawet nerwicy natręctw, o próbach samobójczych nie wspominając.

Dość poważnym problemem społecznym jest także prześladowanie, często wskutek nieodwzajemnionej miłości. W samych Stanach Zjednoczonych ponad milion kobiet i 370 tysięcy mężczyzn jest prześladowanych przez byłych (lub obecnych) kochanków. Wiele ofiar prześladowań to także osoby, które nigdy nie były w związku ze swym prześladowcą i nie chciałyby w nim być. Opętani miłością wielbiciele usiłują w ten sposób przekonać je do zmiany decyzji.

Okazuje się jednak, że w 60 procentach przypadków prześladowanie danej osoby zaczęło się jeszcze przed zakończeniem związku. Winę za to ponoszą zaburzenia w wydzielaniu neuroprzekazników – dopaminy i serotoniny. Miłość, która wprowadza dodatkowy ferment w równowagę między tymi substancjami w naszym mózgu, może popchnąć co bardziej wrażliwe jednostki w kierunku choroby maniako-depresyjnej. Jednym z jej objawów może być właśnie psychiczne dręczenie ukochanej osoby.

Na szczęście zakochanie to dla większości z nas stan całkowicie uleczalny. W końcu jak długo można żyć samą miłością?

URSZULA G. JAKUBOWSKA



www.kler.eu

Ekologiczny ślad stopy

Do zaspokojenia potrzeb statystycznego mieszkańca Ziemi potrzeba około 2,24 hektara gruntu. A dla nas wszystkich? Więcej niż jedną planetę



Ekologiczni dłużnicy...

Kraje zużywające ponad 50% więcej, niż wynosi zasobność ich środowiska

Kraje zużywające do 50% więcej, niż wynosi zasobność ich środowiska

...i bankierzy

Kraje zużywające od 50 do 100% zasobów swojego środowiska

Kraje zużywające mniej niż 50% zasobów swojego środowiska

Brak danych

Problemy w tym, że od 20 lat konsumujemy więcej zasobów, niż może nam dostarczyć Ziemia. Po podzieleniu powierzchni produkcyjnej naszej planety przez liczbę jej mieszkańców każdy może rocznie skosztować z 1,78 hektara. Tyle powinien wynosić średni „ekologiczny ślad stopy” Ziemi. Ekoskład składa się z wielu czynników i uwzględnia nasze zapotrzebowanie na produkty z pól i pastwisk, wykorzystanie dróg i budynków, zużycie wody, energii, produkcję odpadów, a także powierzchnię terenów zielonych i oceanów, które pochłoną wytworzony przez nas dwutlenek węgla. Współczynnik wykorzystania

środowiska można też oszacować dla wybranego kraju, fabryki, a nawet dla konkretnego produktu – laptopa czy kilograma ziemniaków.

Niestety, jakkolwiek liczyć, wyniki nie są pocieszające. Jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku żyliśmy, wykorzystując połowę możliwości środowiska. Dziś przekraczamy je rocznie o 25 procent. Oznacza to, że pod koniec każdego roku zaczynamy żyć na kredyt kosztem zasobów z kolejnych lat. Planeta nie ma możliwości regeneracji. Taka presja na środowisko prowadzi do wymierania gatunków, degradacji gleb i coraz dotkliwszego braku wody – alarmują ekolodzy. Co radzą? Rozsądniejsze życie. Nie wszędzie

trzeba lecieć samolotem, a jadąc samochodem do pracy, można zabrać sąsiada lub podrzucić dzieci do szkoły. Warto kupować możliwie mało przetworzone jedzenie, najlepiej produkowane w pobliżu domu. I korzystać z nowoczesnych technologii. Jeśli uda się opracować o połowę bardziej wydajną metodę produkcji papieru, to „ślad stopy” każdej kartki zmniejszy się o połowę. Jeśli wyhodujemy odmianę żyta dającą większy plon z hektara, to spadnie współczynnik dla chleba. Jeśli chcecie sprawdzić, jaki odciskacie ślad na Ziemi i jak go zmniejszyć – skorzystajcie z ekologicznych kalkulatorów w Internecie: www.ecofoot.org lub www.myfootprint.org.

„Ślad stopy” statystycznego mieszkańca Ziemi to tylko część prawdy. Niektóre kraje żyją na koszt tych, które nie wyczerpują zasobów swojego środowiska. Ekologiczny dług mają też państwa konsumujące poniżej światowej średniej, ale obdarzone bardzo ubogim środowiskiem. Tak jest na przykład w Północnej Afryce

SZKODZISZ



Jazda autem w pojedynkę. Każde 20 000 km to „ekoślad” na 1,4 ha



Energia z węgla. Wydobyć tony to 1 ha. Do tego koszty spalania.



Dieta przetworzona mięsem. 1000 kilo wołowiny to 2 ha

KTO ZOSTAWIA NAJWIĘKSZE EKOŚLADY NA ZIEMI?

Tak narasta nasz ekologiczny dług

Rosnąca konsumpcja sprawia, że coraz wcześniej kończą się nam zasoby środowiska przeznaczone na dany rok



Wielkie stopy i mikroślady

dane za 2003 rok (w hektarach)



Zaciągamy dług na poczet kolejnych lat. To prosta droga do zatamania się ekosystemów. Kto jest najbardziej zachłanny? Rekord należy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Mieszkańcy tego kraju zostawiają ekoślady wielkości prawie 12 hektarów! Aż tyle ziemi, by zaspokoić potrzeby. To ponad 5 razy więcej niż średnia dla Ziemi i niemal 100 razy tyle, ile wynosi zapotrzebowanie najoszczędniejszych – mieszkańców Afganistanu

POMAGASZ



Korzystaj z komunikacji publicznej. Jadąc autem – weź pasażerów



Oszczędzaj prąd. Każde 1000 kWh zużytej energii to „ślad” na 0,1 ha



Jedz dużo zieleniny. Tona takiego jedzenia to tylko 0,78 ha

DANE O „ŚLADACH STOPY” - PRODUKTÓW I DZIAŁAŃ DZIEKI UPRIEMOŚCI FIRMY BEST FOOT FORWARD. ZAMIAJĄCE SIĘ KONSULTINGIEM EKOCENTRUM DLA BIZNESU. WWW.BESTFOOTFORWARD.COM

DNI OTWARTE W SALONACH KLER OD 16 DO 28 LUTEGO PREMIERY RABATY KREDYTY PRZYJDZ I SKORZYSTAJ



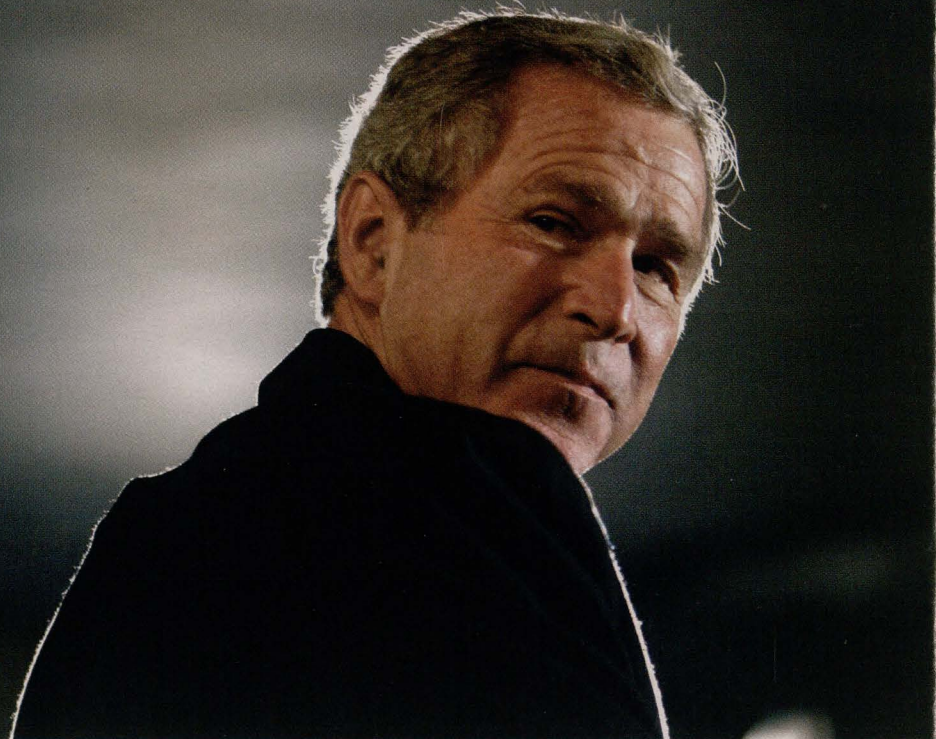
dni otwarte
16-28.02
premiery, rabaty, kredyty

SALONY I STOISKA FIRMOWE: Białystok 085 664 90 07, Bielsko-Biala 033 498 71 03, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Dobroźń 034 352 91 66, Gdańsk 058 520 38 03, 058 522 60 96, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 075 647 24 31, Katowice 032 256 61 57, 032 735 27 10, Kalisz 062 757 03 88, Kielce 041 334 00 06-91, Koszalin 094 547 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Łódź 042 672 46 25, Nowy Sącz 018 449 01 27, Nowy Targ 018 264 10 42, Olsztyn 089 539 04 80, Opole 077 403 01 50, Poznań 061 871 86 72-73, Poznań-Komorniki 061 893 50 71, Poznań-Swarzędz 061 665 08 21, Racibórz 032 415 07 78, 032 419 08 14, Radom 048 365 57 37, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa: 022 771 21 90, 022 645 66 50-51, 022 654 64 04, 022 611 34 49, Janki k. Warszawy 022 720 46 70, Wrocław 071 781 03 54, 071 390 19 22, Zielona Góra 068 329 03 06
SALONY I STOISKA AUTORYZOWANE: Belchatów 044 632 87 22, Chojnice 052 395 12 62, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77, e-mail kler@kler.com.pl
SALONY W USA: Chicago 1/ 773 788 9700, 1/ 773 545 9700, Trenton 1/ 609 392 3936, 1/ 609 392 3932.
SALONY W KANADZIE: Oakville 1/ 905 829 0088, Mississauga 1/ 905 828 1533.
Dostarczamy meble na terenie całej Europy +48 1 34 352 91 64
Regulamin Dni Otwartych dostępny w Salonach Kler i na stronie www.kler.eu

Prezydent musi

kłamać

Od Waszyngtona, przez Franklina Delano Roosevelta, po Nixona – wszyscy prezydenci kłamali. Jednak George'a W. Busha coś od nich różni



CARL M. CANNON

W 1944 roku Harry Truman został zapytany przez kolegę z Senatu, jaki naprawdę jest Franklin Roosevelt. Truman nie znał swojego zwierzchnika zbyt dobrze, ale jako człowiek nominowany z ramienia Demokratów na stanowisko wiceprezydenta spędził w jego obecności wystarczająco dużo czasu, by przedstawić związką odpowiedź. – On kłamie – odpowiedział.

W tamtym momencie najbardziej doniosłą kwestią, w której prezydent mijał się z prawdą, było jego zdrowie. Stan Roosevelta szybko się pogarszał, a prezydenccy lekarze nie mogli na to nic poradzić. Gdy alianci otwierali drugi front w Europie i zdobywali kolejne wyspy na Pacyfiku, wódz naczelny pracował najwyżej cztery godziny dziennie. 28 marca kardiolog Roosevelta przedstawił swoją diagnozę: nadciśnienie i choroba nadciśnieniowa z zajęciem serca, niedomoga serca i rozległe zapalenie oskrzeli.

Opinii publicznej przedstawiano jednak zupełnie inny obraz głowy państwa: oto zwały, dynamiczny prezydent przygotowuje się do zgniecenia Hitlera i cesarstwa Japonii. Truman szybko został wciągnięty w to oszustwo. 18 sierpnia zjadł lunch z Rooseveltem, a potem powiedział dziennikarzom, że prezydent: „Wyglądał dobrze i zjadł większy lunch niż ja”.

Rok wcześniej, w 1943 roku, o złym stanie Roosevelta przekonał się Winston Churchill. Premier Wielkiej Brytanii nie miał nic przeciwko mistyfikacji prowadzonej przez Amerykanów – Roosevelt był zbyt ważny dla powodzenia wojny. Na konferencji w Teheranie Churchill powiedział do Józefa Stalina: – W czasie wojny prawda jest tak cenna, że powinna się zawsze poruszać w towarzystwie ochrony złożonej z kłamstw.

– Prezydenci kłamią z wszelkiego rodzaju powodów – powiedział mi latem zeszłego roku Sean Wilentz, profesor historii w Prince-

ton, podczas rozmowy o moralności i użyteczności ukrywania prawdy w Białym Domu. – Richard Nixon kłamał, by ocalić swoją prezydenturę. Franklin Delano Roosevelt wprowadzał kraj w błąd po to, by realizować koncepcje, co do których miał przekonanie, że ocalą świat, choć trudno byłoby sprzedać je politycznie. Uczciwość niekoniecznie pomaga w skutecznych rządach. W końcu to opinia publiczna musi ocenić, czy rządzący kłamią dla dobra kraju, czy we własnym interesie.

Zainteresowania Wilentza nie są czysto akademickie. W grudniu 1998 roku z pasją zwał wniosek o impeachment Billa Clintona, w którym najpoważniejszy zarzut dotyczył kłamstwa pod przysięgą. Wilentz argumentował, że wykreślenie Clintona brały się z jego osobistego – a nie oficjalnego – postępowania, a nie o takie chodziło „ojcom założycielom”, gdy uzbrolili Kongres w prawo do odwoływania prezydenta. – Dla historyka jest jasne, że impeachment prezydenta Clin-

tona wyrządziłby znacznie więcej szkód tym instytucjom i rządowi prawa niż przestępstwa, o które jest oskarżony prezydent.

KRĘCĄ JAK ZWYKLI LUDZIE

George W. Bush także stoi dziś w obliczu kryzysu wiarygodności. Tym razem nie chodzi jednak o kwestie z życia prywatnego, ale o jedną z najbardziej brzemiennej decyzji politycznych w historii demokracji: decyzję o poprowadzeniu kraju na wojnę.

Przez ostatnie półtora roku większość Amerykanów wyrażała wątpliwości, czy prezydent poszedł na wojnę z Irakiem z tych powodów, które przedstawiał publicznie. W sondażu Gallupa z kwietnia 2005 roku znaczna część obywateli USA uznała, że Bush „celowo wprowadzał w błąd amerykańską opinię publiczną”, mówiąc o irackiej bronii masowego rażenia. W maju ubiegłego roku 46 procent respondentów „Washington Post” uznało, że forsując pomysł wojny w Iraku,

Znaleźliśmy broń masowego rażenia – GEORGE W. BUSH

Potrafie przeczytać 1200 słów na minutę

– JOHN F. KENNEDY



FOR: CECIL STOUGHTON/WHITE HOUSE/JFK LIBRARY, BOSTON

administracja Busha mówiła to, „o czym sądziła, że jest prawdą”, a 52 procent było zdania, że Białe Dobre „celowo wprowadził w błąd amerykańską opinię publiczną”.

Choć znaczna część opinii publicznej zmieniła swój pogląd na prawdomówność prezydenta, miejsce Busha w historii będzie zależało nie od tego, czy okłamał naród amerykański (każdy amerykański prezydent z pewnością uległ tej pokusie), ale od tego, jak kłamał, jakie konsekwencje miały jego kłamstwa i jak ostatecznie na nie odpowiedział. Ujmując rzecz brutalnie, potomność oceni obecnego prezydenta przede wszystkim nie za to, czy mówił prawdę, tylko za to, czy zdawał sobie sprawę z tego, jaka ta prawda w istocie jest.

Dlaczego prezydenci kłamią? Czy kłamią więcej niż większość ludzi? Czy kłamstwo celowe i kłamstwo poprzez niedomówienie jest tym samym? A co z prezydentami, którzy są przekonani do rzeczy nieprawdziwych, którzy – jak byśmy powiedzieli – pozostają w „stanie zaprzeczenia”? Czy to jest równoznaczne z kłamstwem? Czy prezydenci mogą być w pełni skuteczni, nie kłamiąc? I skąd opinia publiczna ma wiedzieć, czy prezydenci nadużywają swoich prerogatyw?

Głowy państw kręcą z tych samych powodów, co zwykli ludzie: z patologii, z uprzejmości, z paternalizmu, z przekonania, że wstydu, z braku poczucia bezpieczeństwa, z narcyzmu, a nawet w szczytnym celu. Najwyższe umiejętności rządzenia krajem wymagają talentu do mówienia różnym grupom osób tego, co chcą usłyszeć. To nie jest najlepszy przepis na mówienie prawdy, szczególnie w czasach wojny lub zagrożenia narodowego.

Od Arystotelesa do Niebuhra filozofowie wprowadzali moralne rozróżnienia pomiędzy kłamstwami. I tak mamy tak zwane białe kłamstwa, wypowiedziane dla społecznej wygody lub po to, by uszanować czyjeś uczucia; wymówki, które są tylko w połowie prawdziwe, ale racjonalizują nasze własne zachowanie; kłamstwa mówione w czasie kryzysów; kłamstwa mówione kłamcom; paternalistyczne kłamstwa, które mają służyć ochronie tych, za których jesteśmy odpowiedzialni, i wreszcie kłamstwa wypowia-

dane dla dobra społecznego – znane również jako „szlachetne”.

Najbliższym kuzynem białych kłamstw jest czcze samochwalstwo – nie tak niegroźne, ale również nie nikczemne. Prezydenci muszą być po trochu fanfanami. Mówiąc bardziej uprzejmie, prezydent niemal z definicji musi manipulować swoim pochodzeniem i swoimi osiągnięciami, by móc zadzierzgnąć więzi z wyborcami i powiedzieć im: „Jestem jednym z was”.

WATERGATE SIEJE NIEUFNOŚĆ

Znany z kokieterii John F. Kennedy powiedział swego czasu magazynowi „Time”, że potrafi przeczytać 1200 słów na minutę. Lyndon Johnson mówił amerykańskim żołnierzom w Korei, że jego prapradziadek zginął w Alamo (brat jego prapradziadek walczył w bitwie pod San Jacinto, ale nie został zabity).

Al Gore mówił na spotkaniu z robotnikami, że gdy był mały, jego matka kołysała go do snu, nuciąc „Look for the Union Label”, choć piosenka powstała w 1975 roku, gdy Gore miał 27 lat. Ronald Reagan powiedział premierowi Izraela Itchakowi Szamirowi i łowcy nazistów Szymonowi Wiesenthalowi, że jako młody żołnierz filmował wyzwalanie hitlerowskich obozów śmierci. Tymczasem Reagan nigdy nie służył w Europie, choć prawdą jest, że do jego zadań należała obróbka filmów nakręconych przez wojskowych kamerzystów i korespondentów wojennych.

Moim faworytem jest jednak Bill Clinton, który wyznał jednej z gazet, że jest jedynym prezydentem, który wiedział cokolwiek o rolnictwie, zanim objął urząd – przechodząc do porządku dziennego nad takimi rolnikami jak Waszyngton, Jefferson, Truman i Jimmy Carter oraz farmerem z Iowa Herbertem Hooverem.

Przez rok insynuowano i rzucono podejrzenia, że wiedziałem o planach włamania do budynku Watergate

– RICHARD NIXON



FOR: J.P. LAFONT/SYGMA/CORBIS

Gdy podczas kampanii prezydenckiej kandydaci prześcigają się w obiecywaniu wyborcom świetlanej przyszłości, prawda często pada ich pierwszą ofiarą. To zjawisko nie jest niczym nowym. W ostatnich dniach kampanii w 1932 roku Franklin Delano Roosevelt obiecał na wiecu w Pittsburghu, że zrównoważy budżet federalny i jednocześnie obetnie wydatki rządowe o jedną czwartą. Wykazał się rozważą, nie próbując zrobić ani jednego, ani drugiego, ale cztery lata później, przed kolejną podróżą wyborczą do zachodniej Pensylwanii zapytał swojego specjalistę od pisania przemówień Sama Rosenmana, co ma powiedzieć, jeżeli ktoś przypomni sobie o jego wcześniejszej deklaracji. – Powiedz, że nigdy nie byłeś w Pittsburghu – wypalił Rosenman.

Uwaga Rosenmana wciąż jest zabawna. Oczywiście ktoś oburzonym głosem mógłby się domagać bezwzględnego podporządkowania prawdzie, ale żyjemy przecież w realnym świecie i dobrze wiemy, że ani prezydent, ani jego specjaliści od przemówień nie wierzą w każdą publiczną deklarację. Wciąż powinniśmy jednak dokonywać rozróżnień.

Niektóre kłamstwa są stosunkowo nieszkodliwe – mają oczemnić zyciorys oponenta i wypolerować własny, ale ich konsekwencje są niewielkie. Oszustwa, których celem jest promowanie lub ochrona jakiejś polityki czy działań prezydenta, są bardziej brzemienne w skutkach. I to przez pryzmat tych konsekwencji powinny być oceniane, tak jak zrobiła to amerykańska opinia publiczna w sprawie kłamstw na temat Wietnamu i Watergate. Skutkiem tych afer był nie tylko żalony koniec niepopularnej wojny i upadek prezydenta, ale także głęboka zmiana poziomu tolerancji opinii publicznej dla oszustw w Gabinetach Owalnych.

Zaufanie amerykańskiej opinii publicznej do przywódców zostało nadszarpięte już wcześniej. W książce z 1973 roku zatytułowanej „Polityka kłamstwa” David Wise uło-

Hiroszima to baza wojskowa

– HARRY TRUMAN

żył katalog prezydenckich nieprawd. „W 1972 roku polityka kłamstwa zmieniła sposób uprawiania polityki w Ameryce” – pisał. „W miejsce zaufania pojawiła się powszechna nieufność. Zamiast pewności pojawiły się niewiara i wątpliwości co do systemu i jego przywódców”.

A było to jeszcze przed aferą Watergate i publikacją tańm z Białego Domu, na których Lyndon Johnson zdradza Robertowi McNamarcze, że wiedział o tym, że rzekomy atak na amerykańskie okręty w Zatoce Tonkińskiej był tylko fikcyjnym pretekstem do zwiększenia obecności wojskowej w Wietnamie. Kiedy w 1975 roku padł Sajgon, 69 procent Amerykanów odpowiadało twierdząc na pytanie zadane w sondażu, czy ich zdaniem „przez ostatnie 10 lat przywódce tego kraju systematycznie okłamywali naród”.

Ta powszechna erozja zaufania skłoniła również Sisselę Bok do napisania książki „Kłamstwo: Wybór moralny w życiu publicznym i prywatnym”, do dziś obowiązkowej lektury każdego, kto zajmuje się moralnością i społecznymi kosztami kłamstwa. Bok twierdzi, że choć zdarzają się rzadkie okazje, kiedy kłamstwo może być usprawiedliwione, kłamstwa polityczne generalnie przyczyniają się do lekceważenia obowiązku mówienia prawdy.

Na to zatroskanie Amerykanów prawdomównością kandydaci na prezydenta (nawet ci, którzy mieli reputację krętaczy) zareagowali błyskawicznie. Następcą Nixona – Gerald Ford = ogłosił podczas zaprzysiężenia, że prawda będzie „klejem spajającym rząd”. Jimmy Carter poszedł jeszcze dalej w swej obietnicy złożonej narodowi amerykańskiemu: „Nigdy nie wypowiem kłamstwa. Nigdy nie przedstawię wprowadzającego w błąd oświadczenia. Nigdy nie zawiodę zaufania, jakie we mnie pokładacie”.

PATRZĘ POŻĄDLIWIE NA KOBIECY

Administracja Cartera była bardziej otwarta, transparentna i szczerza niż wielu poprzedników i następców tego prezydenta. Ale monastyczne zobowiązanie Cartera do absolutnej szczerości obróciło się również przeciwko niemu.

Nowatorska forma komunikacji – na przykład wyznaczenie w „Playboyu”, że „z pożądaniem patrzy na wiele kobiet”, czy lamentowanie nad narodowym „kryzysem zaufania” – nie znalazła uznania w oczach wyborców, którzy chcieli mieć kompetentną władzę wykonawczą i przywódcę, który spowoduje, że Amerykanie poczują się dobrze sami ze sobą.

George Hopkins, profesor historii z Western Illinois University, uważa, że wszyscy prezydenci kłamią z tego prostego powodu, że gdyby tego nie robili, nie wybralibyśmy ich. – Problem nie tkwi więc w nich, tylko w nas

– powiedział mi niedawno Hopkins. – Powinniśmy spojrzeć w lustro.

W listopadzie 1986 roku Reagan powiedział narodowi amerykańskiemu, że jego administracja nigdy nie sprzedawała broni „ani niczego innego” Iranowi w zamian za zwolnienie amerykańskich zakładników przetrzymywanych w Libanie. Trzy tygodnie później prezydent zlągodził swą tezę i stwierdził: – Niech mi wolno będzie tylko powiedzieć, że nie było moim zamiarem robienie interesów z Chomeinim ani handlowanie bronią w zamian za zakładników.

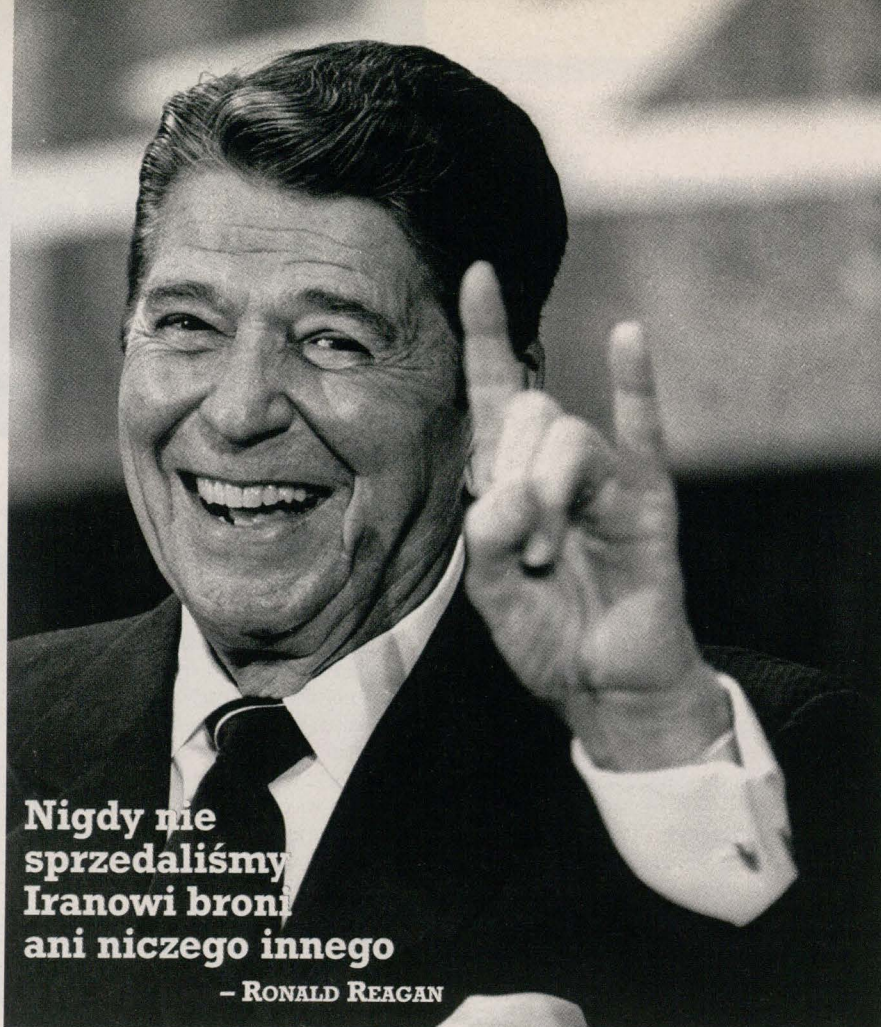
Trzy miesiące później Reagan wyznał: – Kilka miesięcy temu powiedziałem Amerykanom, że nie wymieniałem broni na zakładników. Moje serce i moje najlepsze intencje mówią mi, że wciąż jest to prawda, ale twarde fakty wskazują co innego.

Prezydentura Reagana zmierzała ku końcowi, ale na przyszłego prezydenta George’a H. W. Busha już padł cień podejrzania. Twierdził on, że w aferze Iran-Contras i wymianie broni na zakładników był „poza sprawą”. Specjalny prokurator Lawrence Walsh spędził cztery lata prezydentury Busha seniora na sprawdzaniu jego alibi. Ostatecznie uznał, że było ono fałszywe, i na trzy dni przed wyborami w 1992 roku opublikował dokumenty, z których wynikało, że Bush uczestniczył w kluczowych spotkaniach na temat sprawy Iran-Contras i zaakceptował plan.

Kłamstwa Billa Clintona odcisnęły z kolei swoje piętno na kampanii w 2000 roku. John McCain nazwał swój kampanijny autobus Ekspresem Prawdomówności i deklarował, że jako prezydent będzie „mówił narodowi amerykańskiemu prawdę – nawet jeśli będą to złe wieści”. George W. Bush także podkreślał ten temat. W trzeciej debacie z Alem Gore’em powiedział, że: „Ten kraj potrzebuje na fotelu prezydenckim kogoś, kto będzie mówił prawdę”. I wygrał.

GEORGE W. PRAWDOMÓWNY

Bush obejmował urząd, mając reputację człowieka prawdomównego nawet wśród



Nigdy nie sprzedaliśmy Iranowi broni ani niczego innego

– RONALD REAGAN

Amyrykanów, którzy nie popierali jego polityki lub nie uważali, że jest taki kryształowy. Dwa miesiące przed 11 września 69 procent Amerykanów uznało Busha za „uczciwego i godnego zaufania”. Zdanie przeciwne wyraziło jedynie 20 procent respondentów.

W jaki sposób w oczach opinii publicznej Bush zmienił się z człowieka mówiącego prawdę w naczelnego krętacza? Pod pręgierzem stawiają go dziś w końcu nie tylko zdeklarowani lewicowcy, ale także coraz bardziej

wrogie mu media głównego nurtu, w tym czołowe gazety ogólnokrajowe i magazyn „The New Yorker”. Żle wypadła także w głośnych książkach na temat wojny w Iraku i w „Stanie zaprzeczenia”, ostatniej części trylogii Boba Woodwarda poświęconej tej administracji.

Prezydenci rzadko mówią całą prawdę w czasie ważnych operacji wojskowych i do czasu wojny w Wietnamie Amerykanie byli skłonni im to wybaczać, chociażby dla dobra swoich żołnierzy. Na przykład podczas

II wojny światowej rząd prowadził skomplikowaną kampanię dezinformacyjną, by zaskakować szczegóły D-Day – ten epizod przywołuje Sissela Bok (jako podstawowy przykład kłamstwa powszechnie uważanego za usprawiedliwione i wpisującego się w kontekst wypowiedzi Churchilla skierowanej do Stalina o ochronie prawdy zaporą z kłamstw). Podobne wymysły w książce Bok podchodzą pod definicję „kłamstw paternalistycznych”.

Poważni komentatorzy amerykańskiego życia publicznego rzadko kwestionowali prawo prezydenta do kłamania w takich okolicznościach. Powoli jednak sytuacja się zmienia. Przypomnijmy sobie, jak media załamywały ręce, gdy prezydent Bush nieoczekiwanie pojechał w listopadzie 2003 roku do Iraku, a jego doradcy kłamali w sprawie planów prezydenta na Święto Dziękczynienia, by zapewnić bezpieczeństwo zarówno jemu, jak i żołnierzom, których miał odwiedzić. Podobnie jak podczas wojny w Wietnamie obrót spraw w Iraku każde ponownie ocenić wartość prawdy wypowiadanej dla samej prawdy.

KŁAMSTWA MOGĄ KOSZTOWAĆ

W książce „Kiedy prezydent kłamie” lewicowy dziennikarz polityczny Eric Alterman próbuje podnieść poprzeczkę, jeżeli chodzi o to, kiedy głównodowodzący może oszukiwać. Twierdzi, że choć czas wojny to moment, kiedy głowy państw mogą najłatwiej uciec się do kłamstwa – i zapewne najbardziej czują wtedy, że powinny kłamać – to najnowsza historia Ameryki sugeruje, że także wtedy cena kłamstwa może się okazać zbyt wysoka.

Alterman uważa, że kłamstwa wygłaszane przez Roosevelta w czasie II wojny światowej, zwłaszcza obietnice składane Stalinowi w Jaltcie, doprowadziły do wybuchu zimnej wojny, a nerealistyczne oczekiwania Zachodu co do przyszłości Europy Wschodniej wzmogły podejrzliwość Sowiec, jeśli chodzi o motywy, którymi kierowali się Amerykanie.

Te podejrzania, twierdzi dziennikarz, zostały jeszcze wzmocnione przez publiczne zaprzeczenia Dwighta Eisenhowera na temat ka-

astrofajnej misji szpiegowskiej samolotu U-2 pilotowanego przez Francis’a Gary’ego Powersa. Towarzysząca kryzysowi utrata wiarygodności przez Stany Zjednoczone była jednym z czynników, które doprowadziły do kubańskiego kryzysu rakietowego.

Z kolei mit, który John F. Kennedy i zespół jego hagiografów z Białego Domu rozpowszechniali na temat bezkompromisowego stanowiska Stanów Zjednoczonych w październiku 1962 roku, przyczynił się do wywołania wojny w Wietnamie. Nawet zawsze czynny polityczny rywal Roberta Kennedy’ego Lyndon Johnson nie zdobył się na obalenie mitu o zdecydowanej odpowiedzi na komunistyczne wyzwanie – nieważne, że JFK po prostu przehandlował niektóre wyrzutnie NATO w Turcji w zamian za usunięcie rakiet Nikity Chruszczowa z Kuby.

WIERZĄ W NIEPRAWDĘ

O kilku współczesnych prezydentach Stanów Zjednoczonych mówiło się, że najwyżej wierzyli w to, co mówili, nawet jeżeli to, co mówili, nie było prawdą. Franklin Delano Roosevelt nie przyjmował do wiadomości prawdy o pogarszającym się stanie jego zdrowia, ignorując swoich lekarzy. To najgłębsza forma zaprzeczenia. Ronald Reagan był z wykształcenia aktorem dramatycznym i pracował w kinematografii, a w filmach skróty są powszechnie stosowane, by pokazać szerszy obraz.

Metodę Reagana przyswoili sobie jego doradcy, których noga nigdy nie postąpiła w studiu filmowym. W swoich wspomnieniach „Inny dobosz. Moje 30 lat z Ronaldem Reaganem” Mike Deaver twierdzi, że nigdy nie słyszał, by Reagan kłamał, i wierzy, że byłoby to po prostu „niemożliwością”. „Przez całą aferę Iran-Contras Reagan wierzył, że postępują słusznie – napisał Deaver – i że mówi narodowi amerykańskiemu prawdę”.

Doradcy George’a W. Busha mówią o nim podobne rzeczy. Podobnie, co być może zaskakujące, twierdzą niektórzy z jego najzagorzalszych krytyków. – Bush uparcie lekceważy prawdę, co jest moralnym ekwiwalentem kłamstwa – mówi David Com, autor „Kłamstw George’a W. Busha”. – Zupełnie nie sprawdza faktów. Nawet jeżeli wierzyłeś, że to, co mówiłeś w danym momencie, było prawdą, staje się to kłamstwem, jeżeli nie działałeś w obliczu nowych informacji lub jeżeli nie poprawiasz się, gdy udowodniono ci, że się myliłeś”.

Chociaż prezydent pierwotnie mógł być szczery, jeżeli chodzi o powody, jakimi się kierował, decydując o inwazji na Irak, po dziesięć dni nie przyznał się, że jego retoryka była przesadna. Na dwa dni przed inwazją uzasadniał ją tak: – Dowody zebrane przez ten i inne rządy nie pozostawiają wątpliwości, że iracki reżim nadal zbiera najbardziej śmiertelne rodzaje broni, jakie kiedykolwiek wynaleziono, i ukrywa niektóre z nich.

W „Orędzie o stanie państwa” z 28 stycznia 2003 roku Bush powiedział narodowi, że amerykańskie agencje wywiadowcze szacują, iż Saddam Husajn ma ponad 30 tysięcy rakiet, które można uzbroić w ładunki chemiczne, i że inspektorzy znaleźli jedynie 16 z nich. W maju, dwa miesiące po inwazji, Bush ogłosił po prostu: – Znaleźliśmy broń masowego rażenia.

W ciągu trzech lat armia amerykańska odkopała w Iraku 500 rakiet i pocisków artyleryjskich z gazem mustrardowym lub sarinem, z których część, w fatalnym stanie, ukryto w bunkrach rozsianych po całym kraju. Armia nie znalazła natomiast dowodów, by Irak prowadził program nuklearny.

W „Stanie zaprzeczenia” Woodward cytuje swoją rozmowę z Bushem nagrany 11 grudnia 2003 roku, w której przyznaje się do braku broni masowego rażenia zajęło prezydentowi pięć minut i 18 sekund.



Nigdy nie miałem kontaktów seksualnych z tą kobietą, panną Lewinsky

– BILL CLINTON

Są trzy teorie wyjaśniające zachowanie Busha: prezydent jest człowiekiem mało ciekawym świata, który nie ma lub nie chce mieć wystarczającej ilości informacji, by podjąć racjonalną decyzję; jego późne nawrócenie religijne dało mu wewnętrzny spokój, ale również niemal absolutny stopień pewności; i wreszcie jego wymaganie absolutnej lojalności nie sprzyja wzajemnym ustępstwom, których potrzebuje każdy przywódca, ponieważ doradcy oferujący rady lub informacje niepaństwowe – napisał Deaver – nie są postrzegani jako członkowie zespołu.

Bush w jakiś sposób nieustannie dawał się zaskakiwać wydarzeniami podczas wojny, którą sam wywołał. Przy braku jakiegokolwiek wiarygodnego wytłumaczenia ze strony zwolenników prezydenta to jego krytycy piszą historię tego okresu. Motywem, który konsekwentnie przewija się w tej krytyce, jest stwierdzenie, że jeżeli chodzi o Irak, to u Busha wiara góruje nad faktami.

Nie brakuje dowodów na poparcie tej tezy. Sam Bush powiedział pod koniec 2003 roku, że nie czyta gazet. Dementowała to też później Laura Bush. A jednak wypowiadając to konkretne kłamstwo, Bush być może odsonił pewną ważną prawdę na temat samego siebie. Najwyraźniej nie czyta publicystyki. Jak powiedział mnie i innym dziennikarzom: dlatego że musi „pozostać optymistą”.

Pomiędzy optymizmem a iluzją granica jest bardzo cienka. Podczas walki o reelekcję w 2004 roku Bush odwiedził fabrykę Boeinga w Ridely Park w Pensylwanii, by zainicjować narodowy program obrony przeciwrajetowej, i stwierdził: – Mówimy tym tyranom, którzy sądzą, że mogą szantażować Amerykę i wolny świat: „Zestrzelimy wszystko, co wystrzelicie”.

Zważywszy na dostępną technologię, oświadczenie Busha było myśleniem życzeniowym, a nie militarną rzeczywistością.

OPTYZMIZM SILNIEJSZY OD PRAWDY

Ten rodzaj zblazowanego optymizmu cechuje całą politykę Busha w Iraku, a jego konsekwencje są ponure. Jak ujmuje to Peter W. Galbraith, autor nowej książki krytykującej postępowanie Busha w czasie wojny: „Jeżeli chodzi o Irak, Bush i jego czołowi doradcy systematycznie zastępowali analizę myśleniem życzeniowym i strategię – nadzieją”.

W maju 2003 roku, stojąc pod niesławnym dziś transparentem „Misja wykonana” na pokładzie U.S.S. „Lincoln”, Bush zadekla-

rzy w przyszłość. To różnica pomiędzy optymistą i pesymistą, przegranym i zwycięzcą, pomiędzy Jimmym Carterem i George’em W. Bushem.

BUSH NIEZDOLNY DO REFLEKSJI

Oczywiście potomność ocenia sukces, a nie prawdę. Gdyby D-Day się nie udał, FDR prawdopodobnie nie zostałby zapamiętany jako heroiczny prezydent z czasów wojny, ale jako tragiczna postać, której wyrachowane kłamstwa na temat stanu zdrowia przedłużyły morderczą wojnę i zagroziły zwycięstwu. A gdyby Japonia nie poddała się nawet po zrzuceniu bomb atomowych na ludność cywilną dwóch jej miast, Truman mógłby być wspominany jako rzeźnik.

I odwrotnie – gdyby siły amerykańskie znalazły mityczną broń masowego rażenia w Iraku, czy ktoś kwestionowałby prawość Busha? Zapewne nie. Dla prezydentów konsekwencje ich czynów liczą się bardziej niż prawda. Bush niemal na pewno to rozumie. Zapewne dlatego tak często wyraża nadzieję, że w dłuższej perspektywie historycznej zostanie oceniony pozytywnie.

Dziś jednak nie chce przeanalizować nie tylko swych wystąpień, ale także ich rezultatów. Prezydent Kennedy mógł okłamywać opinię publiczną na temat powodów, dla których Rosjanie wycofali swoje rakiety z Kuby, ale znał prawdziwą sytuację wystarczająco dobrze, by wynegocjować kompromis, który doprowadził do ich usunięcia.

Bush natomiast wydaje się niezdolny do zrozumienia, że rzeczywista sytuacja w Iraku nie przystaje do jego wizji. Wygląda na to, że najbardziej niebezpieczne kłamstwa, jakie może mówić prezydent, to te, które wmawia samemu sobie.

© „THE ATLANTIC”, NOWY JORK, STYCZEŃ 2007

Kłamstwo po polsku

ych obnażyć – twierdzi w książce „Struktura kłamstwa” Piotr Wierzbicki. W Polsce jednak ujawnienie kłamstwa nie działa na polityków jak publiczny lincz. Zamiast wyrazić skruchę czy podać się do dymisji, oskarżają wszystkich wokół. Idą w zaparte, a co pozwala im społeczne przyzwolenie na kłamstwo. W rezultacie jakość życia politycznego pogarsza się z roku na rok. Według językoznawcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor Jolanty Antas, autorki książki „O kłamstwie i kłamaniu”, mamy do czynienia z różnymi rodzajami kłamstwa politycznego. Najbardziej niebezpieczne dla polityka jest kłamstwo faktograficzne, bo najłatwiej je podważyć. Dopuszczał się go **Roman Giertych, gdy jako członek komisji śledczej twierdził, że spotkał Jana Kulczyka na Jasnej Górze przypadkowo, podczas gdy był to zaplanowany obiad w refektarzu.**

Tego typu kłamstwo stało się też udziałem osoby obecnego prezydenta Marii Kaczyńskiej. Na stronie internetowej prezydenta umieściła informację, że jest o rok młodszą od swego męża, co – jak szybko ustalili dziennikarze – musiało być oznaczone, że rozpoczęła studia w wieku 11 lat, a skończyła

jako 16-latką. Dziś wiadomo, że od Lecha Kaczyńskiego jest starsza o sześć lat. Inny rodzaj to kłamstwo polegające na zaprzeczaniu. W polskiej polityce takim kłamstwem była sprawa tajnych lotów samolotów CIA przewożących niebezpiecznych członków al Kaidy, które lądowały w Polsce. **Human Rights Watch i Parlament Europejski zarzuciły Polsce, że chodziło nie tylko o loty, ale i przetrzymywanie tych więźniów na terenie Polski, czemu polskie władze do dziś zaprzeczają.** Dlaczego? – Bo zaprzeczanie to najlepszy sposób ochrony w niewygodnej sytuacji. Oczywiście do czasu, gdy taką postawę pozwalają utrzymać nieujawniane fakty – tłumaczy profesor Antas. Politycznym kłamstwem, i to stosowanym na dużą skalę, jest także przemilczenie. Najbardziej rażącym i przykrym w skutkach przykładem była tak zwana dziura Bauca. W ostatnim roku swych rządów AWS zaplanowała wydatki na dużo wyższym poziomie niż przychody. Gdy po pół roku w obliczu niedającej się już ukryć katastrofy finansowej minister finansów Jarosław Bauc przyznał się do istnienia dziury i, co gorsza, zaproponował, by latać ją z pieniędzmi emerytów, został zdymisjonowany.

ALEKSANDRA PAWLICKA



Fikcyjny magister, dziura Bauca, loty CIA... Polscy politycy kłamią mniej subtelnie i bardziej bezkarnie od amerykańskich

Niemal półwieczna historia komunistycznego zakłamania sprawiła, że po 1989 roku Polacy oczekiwali od polityki wyłącznie prawdy. Tymczasem polityka i kłamstwo żyć bez siebie nie mogą, także w demokracji. Różnica polega na tym, że władza komunistyczna miała monopol na kłamstwo, a w demokracji opozycja czy media mogą każdą nieprawdę rządzą-

Olbas® - PASTYLKI Z CHARAKTEREM

PODWÓJNE DZIAŁANIE x2 NOS I GARDŁO

silnie udroźnia NOS

szybko łagodzi ból GARDŁA

Podwójna ulga w pastylce do ssania

Olbas Pastilles, produkt złożony, tabletki do ssania. Wskazania: pastylki stosuje się w objawowym leczeniu chorób przeziębieniowej, bólu gardła, chrypy, kaszlu, kataru. Podmiot odpowiedzialny: G.R. Lane Health Products LTD, Gloucester, Anglia. Informacja o leku: AMIS Medica, ul. Poleczki 23, 02-822 Warszawa.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką zawierającą wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowania oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Moje 100 słów

Ma szczęście były premier, kandydat na prezesa tego i owego, Kazimierz M., że jest Polakiem, a nie Japończykiem. Gdyby był Japończykiem, po swoim oświadczeniu, że jest pracocholikiem, mógłby mieć kłopoty ze znalezieniem pracy. To niewinne z pozoru wyznanie miało być chwytym reklamowym, że ekspremier żadnej pracy się nie boi, i nawet jeśli jeszcze czegoś nie umie, to dzięki pracocholizmowi pojąć potrafi i w mig się nauczy. Jest tutaj jednak pewien haczyk. Mianowicie taki, że pracocholizm, tak jak inne uzależnienia, jest chorobą – prowadzi do przepracowania. A właśnie temu wojnę wydal rząd japoński, zwalczając nadgodziny w pracy, które tylko w 2005 roku były przyczyną śmierci 157 osób, dziesiątków tysięcy depresji i 30 tysięcy samobójstw mężczyzn w sile wieku. Dobrze, że w radzie nadzorzej PKO BP, która ma wylonić przyszłego prezesa banku, nie ma żadnego Japończyka z taką wiedzą, chociaż zdaje się, nawet ten fakt ekspremierowi specjalnie nie pomoże.

TADEUSZ A. MOSZ

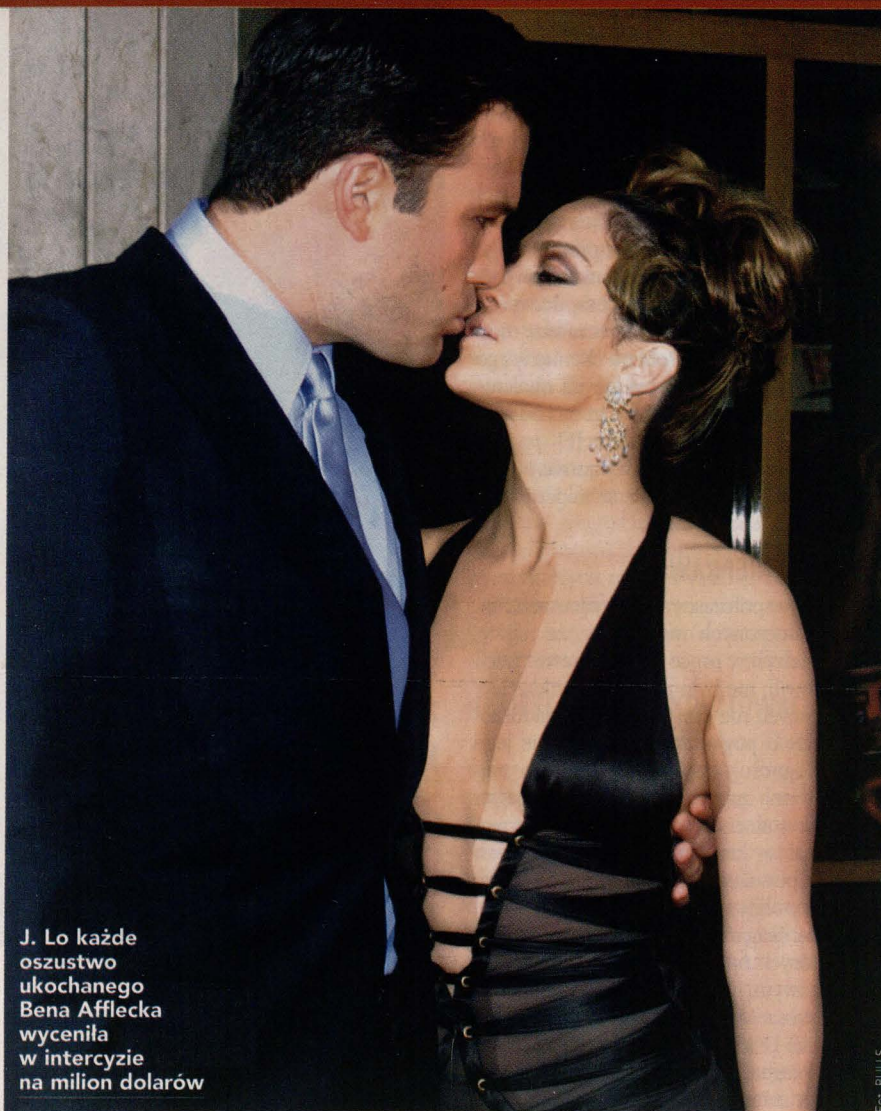
Polisa miłości

Intercyza potrzebna jest dlatego, że w małżeństwie często bywa tak: na początku jest „miło...”, a potem „...ość”

Do posiadania intercyzy przyznaje się pięć procent Amerykanów. We Francji decyduje się na nią co druga para biorąca ślub, a w Niemczech urzędnicy stanu cywilnego obowiązkowo informują młode pary o możliwości podpisania umowy przedmałżeńskiej. W Polsce do niedawna było to niemalże niepraktykowane – jeszcze w 1990 roku na taką umowę zdecydowało się zaledwie dwa tysiące par. Jednak już w ubiegłym roku zawarto blisko 35 tysięcy intercyz, czyli niemalże co piąte nowo zawarte małżeństwo zabezpieczało się majątkową umową przedmałżeńską.

Intercisa po łacinie oznacza „rozstrzygnięte”, i to właśnie w starożytnym Rzymie ma ona swoje korzenie. Rozwody były tam niemal tak popularne jak we współczesnym świecie, więc by sprawy małżonków uporządkować, przyjęło się podczas zaręczyn spisywać umowę finansową. Po jej zawarciu w domu narzeczonej urządzano ucztę – sponsalię. Nazwa znacząca, bo bez odpowiednio sprezywaną intercyzy można było wpaść jak sliwka w kompot, i gdy z wielkiej miłości nic nie wyszło, utrzymywać żonę (rzadziej męża) nawet do końca swoich dni.

Dzisiaj posiadanie intercyzy w świecie biznesu i show-biznesu to już standard. Jej brak naraża na kłopoty, z jakimi spotkało się już wiele gwiazd. Kiedy po 18 latach małżeństwa Harrison Ford rozwiódł się z żoną Melissą, musiał jej zostawić 50 milionów dolarów. Legendarna jest już wpadka Britney Spears, która swój pierwszy – trwający dwie doby – ślub z kolegą z dzieciństwa niemalże opłaciła utratą połowy



J. Lo każde oszustwo ukochanego Bena Afflecka wyceniła w intercyzie na milion dolarów

majątku. Słynna jest też intercyza Jennifer Lopez zawarta z Benem Affleckiem. Za zdradę Affleck miał zapłacić pięć milionów dolarów. Być może na szczęście dla niego do ślubu nie doszło. Także politycy coraz częściej się na nią decydują. Intercyzy mają Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy oraz senator Robert Smoktunowicz. Kwaśniewscy umowę zawarli już po kilkunastu latach małżeństwa. Smoktunowicz intercyzę podpisywał dwukrotnie i zarówno jako rozwodnik, jak i prawnik gorąco ją zachwala.

Ale intercyza to rozwiązanie także dla mniej zamożnych małżonków. Przede wszystkim zabezpiecza dorobek rodziny przed zaprzepaszczeniem (w przypadku rozwodu małżonek może dochodzić praw tylko do majątku zgromadzonego podczas małżeństwa), asekuruje współmałżonka przed konsekwencjami niespłaconych kredytów i służy do zawężenia zakresu wspólnoty majątkowej. Niestety, jest też druga strona medalu: małżonkowie, którzy zawarli umowę o rozdzieleniu majątkowej, nie

mogą wspólnie rozliczać się z urzędem skarbowym.

Spisanie intercyzy nie jest skomplikowane. Wystarczy udać się do notariusza – oczywiście muszą się u niego stawić oboje małżonkowie. Przy jej sporządzeniu pobierane są opłaty: 400 złotych taksy notarialnej, 38 złotych podatku od czynności cywilnoprawnych i 88 złotych podatku VAT. Majątkowa umowa małżeńska podpisana przed zawarciem małżeństwa obowiązuje od dnia ślubu, chyba że termin obowiązywania umowy zostanie określony na późniejszy. Niedopuszczalne jest tylko zawarcie intercyzy z mocą wsteczną. Co ważne, małżonkowie, podpisując intercyzę, nie są nią związani „do grobowej deski”. Mogą zarówno zmienić jej treść i regulowany nią dorobek, jak i w każdym momencie rozwiązać umowę.

I na koniec ważna wskazówka: wcale nie trzeba sporządzać intercyzy przed ślubem. Na jej spisanie nie jest za późno, aż do (odpukać) rozwodu.

SYLWIA CZUBKOWSKA

ALKOHOLE ŚWIATA

Nieśmiertelny Jaś

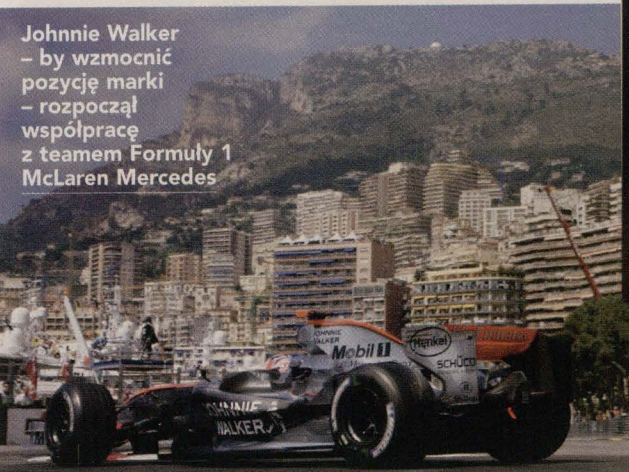
Blisko dwieście lat temu John Walker chciał zrobić biznes na mieszaniu herbat. Pomysł nie do końca wypalił, więc zaczął mieszać whisky

Choć whisky wynaleźli prawdopodobnie VI wieku, to dopiero John Walker w 1820 roku jako jeden z pierwszych na świecie zastosował procedurę mieszania różnych gatunków tego złocistego trunku. W ten sposób stworzył nowy rodzaj whisky, tak zwaną blended (ang. to blend – mieszać). Dziś whisky mieszana w odróżnieniu od czystych gatunków single malt (whisky jednosłodowej jęczmiennej) i grain whisky (zbożowej, z przewagą pszenicy) jest jedną z najczęściej występujących na sklepowych półkach, a marka Johnnie Walker jedną z najbardziej znanych na świecie. Butelki z charakterystycznym rysunkiem przedstawiającym postać Jasia Wędrowniczka – jak przyjęli nazywać kroczonego dzentlemana umieszczonego na etykietach butelek Polacy – dostępne są na 200 rynkach na świecie. Rocznie pod szyldem Johnnie Walker sprzedawanych jest 150 milionów butelek różnych odmian whisky.

Początki firmy założonej przez syna rolnika z hrabstwa Ayr zaczęły się w małym górskim miasteczku w Szkocji.

nikiem i karykaturzystą Tomem Brownem. Narysował on wówczas ołówkiem na serwetce postać kroczonego dzentlemana, który, jak mówi legenda, miał przedstawiać dziadka Johnniego. Wydarzenie miało miejsce w 1909 roku. Wtedy też wprowadzono na rynek dwa nowe rodzaje mieszanek o nazwach Red Label (na bazie 35 gatunków whisky) i Black Label (na bazie 40 gatunków, z których najmłodsza leżakuje minimum 12 lat). W przyszłości doszły kolejne bardziej wyrafinowane gatunki: Gold Label – mieszanka składająca się z 15 przynajmniej 18-letnich składników słodowych i pszenicznych – do jej produkcji używa się wody płynącej przez dawną kopalnię złota; Green Label – mieszanka gatunków wyłącznie słodowych, bez dodatków pszenicznych oraz Blue Label – najszlachetniejszy gatunek szkockiej whisky. Używa się do niej składników leżakujących nawet 60 lat. Nic więc dziwnego, że za butelkę Blue trzeba dziś zapłacić co najmniej 600 zł.

Nie dziwi również to, że dotąd Polacy pili głównie whisky z czerwoną etykietką.



Johnnie Walker – by wzmocnić pozycję marki – rozpoczął współpracę z teamem Formuły 1 McLaren Mercedes



Postać Johnniego Walkera po raz pierwszy narysował w 1909 roku rysownik Tom Brown

Młody John odziedziczył po swoim ojcu mały sklep kolonialny, w którym sprzedawał produkty spożywcze, wina i napoje spirytusowe. Pewnego dnia, by poprawić i wzbogacić smak i aromat oferowanych klientom herbat, wpadł na pomysł, by różne ich gatunki zacząć ze sobą łączyć. Mimo wyjątkowej umiejętności w tym fachu herbaty mieszane nie zrobiły jednak furory wśród szkockich farmerów. Ich uznanie zdobył za to nowy smak alkoholu, który powstał dzięki wykonaniu przez Johnniego kolejnego eksperymentu, tym razem polegającego na wymieszaniu różnych, produkowanych w małych górskich destylarniach, odmian whisky. Pomysł został opatentowany przez syna Johnniego – Aleksandra i uzyskał miano „Old Highland Whisky”. Wkrótce też zastrzeżonym znakiem handlowym firmy stała się skótna przylepiona etykieta na kanciastej butelce o kwadratowej podstawie.

Takie były początki, ale Walkerowie wiedzieli, że potrzebne jest jeszcze coś, co pozwoli lepiej wyróżnić ich produkty na rynku. Postanowili więc stworzyć znak graficzny firmy, który poprawi rozpoznawalność marki. Wykorzystali w tym celu spotkanie w jednej z eleganckich restauracji z wybitnym rysow-

Ostatnio jednak powoli się to zmienia. Stajemy się zamożniejsi, zmieniają się nasze gusty i coraz częściej zauważamy walory smakowe różnych odmian alkoholi. Dlatego też coraz częściej sięgamy po produkty z segmentu de luxe.

Ostatnio także na tym rynku postanowiła silniej zaistnieć marka Johnnie Walker Black Label. W tym celu podpisano nawet kontrakt opiewający na kwotę 20 milionów funtów z zespołem McLaren Mercedes. Promocja marki Black Label na bolidach samochodów Formuły 1 ma zaprocenować większym zainteresowaniem klientów trunkiem Black Label, który jest najlepiej sprzedającą się whisky w tym segmencie. Black Label będzie też promowany w Polsce.

W czterech miastach (Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań) w hipermarketach pojawia się stoiska z nowym bolidem teamu Vodafone McLaren Mercedes. Osoby, które się do nich zgłoszą z butelką whisky Black Label, będą miały szansę wygrać wyjazd na wyścig Formuły 1 do Monaco. Jeśli w grę wchodzi wejście na Mount Everest, jak nazywają whisky Black Label koneserzy, to może właśnie teraz warto spróbować czegoś o bardziej wyszukanych walorach smakowych. (AK)

Walentynkowy biznes

Nic tak nie rozkręca biznesu jak miłość. We Francji sprzedaż kwiatów i szampana w okolicy 14 lutego wzrasta o prawie 75 procent. W Stanach Zjednoczonych w walentynki 2005 roku sprzedano 105 milionów róż oraz różne drobniaki warte ponad miliard dolarów. W 2006 roku w tygodniu poprzedzającym to święto w polskich sklepach online z bielizną ruch wzrósł o 70 procent.

14 lutego na Tajwanie sprzedano 120 tysięcy tulipanów

Konto ze świecami

MultiBank z okazji święta zakochanych oferuje promocję przy założeniu wspólnego konta MultiKonto My. Zakochani dostają od banku nie tylko upominki – zestaw eleganckich świec, które przydadzą się do zorganizowania romantycznej kolacji – ale mogą także przez rok korzystać z ROR-u za darmo. Bez promocji opłata wynosi osiem złotych miesięcznie. Promocja nie daje więc wielkiej oszczędności, jeśli jednak planujemy założenie takiego konta, to przyszedł dobry moment.

czy wiesz, że...

30 procent Polaków korzysta z programów lojalnościowych. Banki, stacje benzynowe, operatorzy komórkowi i hipermarkety wykorzystują do tego naszą miłość (do prezentów) i przywiązanie (do dostarczenia usługi). Klient, który przystępuje do programu lojalnościowego,

wypełnia ankietę i dostaje plastikową kartę. Robiąc zakupy, otrzymuje punkty, które są zapisywane na karcie. Kiedy zbierza ich odpowiednią liczbę – dostaje nagrodę. Te są dość atrakcyjne, ale żeby je dostać, trzeba sporo wydać. Np. żeby otrzymać odkurzacz Philipsa,

trzeba zatankować na stacjach Orlenu paliwo za 20 tys. złotych. Z kolei jeśli w hipermarkecie Geant wyda się 50-120 tys. złotych, otrzyma się zestaw kina domowego lub wycieczkę do Tunezji. Na programy lojalnościowe patrzmy więc z przymrużeniem oka!

Kredyt MM

Kredyt dla młodych małżeństw był hitem lat 70. i 80. To dzięki niemu można było kupić takie dobra luksusowe jak odkurzacz czy żelazko. Do kredytów dla MM powróciły dziś banki, tyle że

tym razem są one przeznaczane na zakup mieszkania. Z podobnym pomysłem wyszedł też rząd. System preferencyjnych kredytów mieszkaniowych okazał się jednak mało dopasowany do rzeczywistości rynkowej. Z odsieczą nadchodzi gminy. Najbardziej zaawansowany plan mają śląskie Marklowice. Planują powołanie spółki komunalnej, która zajmie się załatwianiem formalności za młodych. Przygotowano też 20 hektarów gruntów przeznaczonych pod budownictwo mieszkaniowe, gdzie władza chciałaby, by powstały całe enklawy domków jednorodzinnych.



W 1972 roku odkurzacz kosztował 900 złotych

polki.pl

Wielki Konkurs Walentynkowy

SAMSUNG

Wygraj jeden z telefonów Samsung E570



www.walentynki.polki.pl
7-25 lutego

Mogę pisać o wszystkim

– mówi **Stanisław Tym**, twórca filmu „Rys”



Rozmawiamy w trakcie premiery „Rysia”. Czy nie wolałby pan być w tej chwili na sali z widzami?

– Nigdy tego nie robię.

Dlaczego?

– Bo się boję. Nie bywam na moich premierach. Nigdy nie siedzę wśród widzów ani w teatrze, ani w kinie. Mnie by to krępowało, innych pewnie też. Ale przyznam się, że zawsze lubię wiedzieć, czy widzowie się śmiali, bo przecież to podstawowa sprawa. Komedialność, na której ludzie się nie śmieją, nie jest komedia. Jest kłapa.

Widział pan już „Rysia”?

– Pracowałem nad nim długie miesiące, oglądałem wszystko podczas montażu, udźwiękowienia, zgrywania kopii. Tak więc widziałem go w różnych elementach wiele razy.

A całość?

– Na kopii roboczej. Od momentu, kiedy z powodów technicznych skończyły się możliwości poprawek i zmian, już go nie oglądałem. Moja praca się skończyła.

Na spotkaniu z dziennikarzami powiedział pan, że nie widział pan „Rysia” i wstydził się go zobaczyć. Stąd moje dociekania.

– Powiedziałem „wstydy”? To źle powiedziałem. Nie oglądałem, bo mam tremę. Wtedy za bardzo się przejmuję, a za mało widzę. Zobacząc film, gdy wszystko wybrzmi i się uspokoi.

Gdy pisał pan scenariusz, a potem reżyserował kolejne sceny, myślał pan o tym, kto ten film będzie potem oglądał w kinie?

– Nie, nie myślałem. Z doświadczenia wiem, że widzowie. Przyjęło się w mojej branży przekonanie, że im więcej widzów film zobaczy, tym lepiej.

Po pierwszych pokazach pojawiły się głosy, że film jest bardzo długi, a przez mnogość wątków może być mało czytelny.

– Chce pani powiedzieć, że film jest za długi? **143 minuty to dużo.**

– A jaka jest norma? Przecież nie ma przepisu, ile ma trwać film. Jeśli wydał się pani za długi, widocznie jest nudny.

Czy jest temat, z którego nie śmiałyby pan się śmiać?

– Nie. Mogę pisać o wszystkim.

Wiele komediowych kwestii w „Rysiu” pada z ust przedstawicielek barwnej grupy sprzątaczek. Dlaczego wybrał pan akurat tę grupę zawodową?

– Bo ja sam całe życie sprzątam i lubię, jak jest posprzątane.

U pana sprzątają wielkie aktorki. Trudno było zaprosić je do współpracy?

– Nie miałem z tym kłopotu. Znamy się bardzo dobrze, często razem pracujemy. A poza wszystkim, na tym polega istota aktorstwa, że raz się jest królową, raz sprzątaczką, a raz bezdomną. Tak jak w życiu.

A czy nie miał pan kłopotu z tym, że producent wyznaczył datę premiery „Rysia”, jeszcze zanim znana była data zdjęć?

– Rzeczywiście, bardzo zdziwiło mnie to, że data premiery była znana wcześniej niż data rozpoczęcia zdjęć. Ale sprawdziło się: tak jak zapowiedział producent, 9 lutego odbyła się premiera. Podziwu godna precyzja.

ROZMAWIAŁA OLA SALWA

„Rys” to stanowczo za długi kabaret, w pośpiechu wypuszczający kolejne, często niedopracowane i pozbawione puenty gagi

dy ma jakiś podwójny organ – płuca, wątrobę albo pracę.

Tym wali równo i w lasach na przywileje księży, i w nadętych nacjonalistów, i w skorpupowanych posłów, i w nawróconych ubeków, i w sklerotycznych wyznawców Piłsudskiego, i w tępych policjantów, i w niegrzeczne urzędniki... W efekcie jego film rozdyma się do monstrualnych rozmiarów, trwa prawie dwie i pół godziny (zasadniczy błąd – komedia nie powinna przekraczać 100 minut), a jakość poszczególnych epizodów jest diametralnie różna (naprawdę można było ograniczyć gagi z opadającymi spodniami, darować sobie szczypanie kobiet w pośludki, żarty z jakąś czy osób z zezem). Co gorsza, wąta nie fabularna mota się i rwie, a pod koniec już nie bardzo wiadomo: kto, kogo, komu i dlaczego. „Rys” to stanowczo za długi kabaret, w pośpiechu wypuszczający kolejne, często niedopracowane i pozbawione puenty gagi.

Nie pomagają nawet parada gwiazd, obsadzonych niekiedy dowcipnie wbrew swemu emplotu (Marta Lipińska w roli szefowej mafii, Janda, Tyszkiewicz, Szapolowska – sprzątaczkę, Szczepkowska – znachorka etc.). Większość z nich pojawia się na krótką chwilę, jako dodatkowa i zbędna w gruncie rzeczy atrakcja towarzyska. W tym rozbuchanym skeczowisku ginie też

raz po raz główny bohater, ciekawie pomyślany na wzór Nikodema Dyminy czy nawet bardziej Chance’a Ogrodnika z powieści Jerzego Kosińskiego „Wystarczy być” – człowiek tak wręcz predestynowany do tego, by stać się ulubieńcem równie jak on bezmyślnych tłumów.

Całość wieńczy przyciężka metafora, z której wynika, że chocholi taniec trwa u nas w najlepsze. Trudno się z tym nie zgodzić, ale trudno też uznać to za jakąś szczególnie oryginalną myśl. I w tej jednej metaforze widać podstawową słabość „Rysia” – niczym nie zaskakuje, niczego nowego nie mówi, kumuluje jedynie do rozmiarów skowytu (a nawet kociokwiku) dobrze znane absurdury naszej rzeczywistości.

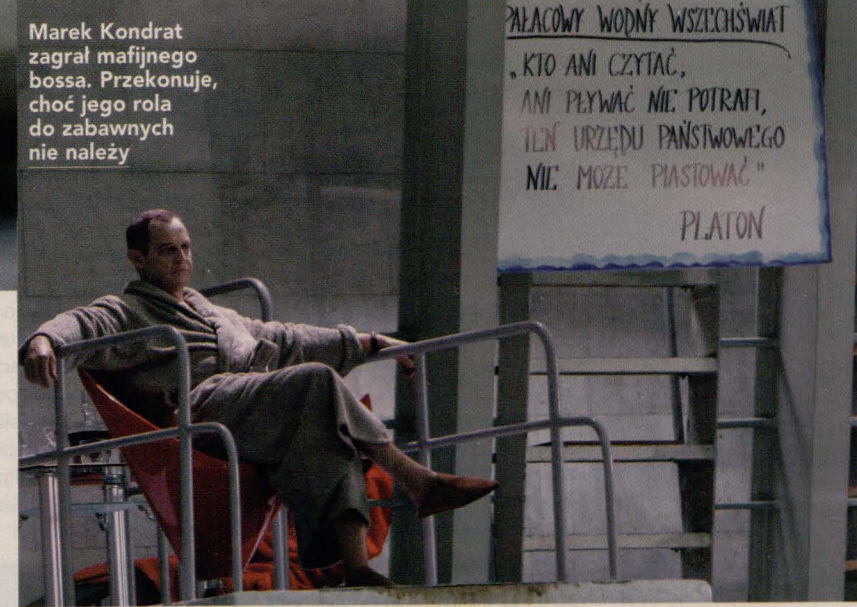
A bez zaskoczenia nie ma komedii. Ja tam zaśmiałem się na tym filmie może z pięć razy. Niestety, śmieszniejsze rzeczy dzieją się w polskiej polityce każdego dnia. Może więc za wiele lat, gdy zmienią się realia, „Rys” stanie się jednak – tak jak to obecnie dzieje się z „Misiem” – zabawną pamiątką po upiornej przeszłości? ■

● ● ● ● ● ●

„RYS”, REŻ. STANISŁAW TYM, POLSKA 2006, 143', DYSTRYBUCJA FORUM FILM. PREMIERA 9.02

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

Ochódzki w nowych czasach wchodzi do łóżek starym znajomym. Tu z żoną Molibdena, słomianą wdową



Marek Kondrat zagrał mafijnego bossa. Przekonuje, choć jego rola do zabawnych nie należy



Tyszkiewicz i Szapolowska w rolach sprzątaczek – dwie z licznych zatrudnionych sław polskiego kina

„Rys” nie „Miś”, Tym nie Bareja

Stanisław Tym tęskni za dobrymi czasami polskiej komedii. A my, oglądając monstrualnych rozmiarów „Rysia”, też dalej tylko tęsknimy

BARTOSZ ŻURAWIECKI, „FILM”

Hej, dziewczyno, spójrz na Rysia, on przypomni Misia ci... W reżyserskim debiucie (tak jest!) Stanisława Tyma bardzo wyraźnie czuć tęsknotę za „złotą erą” polskiej komedii. Nie dość, że bohater – Ryszard Ochódzki – ten sam co w pamiętnym filmie Barei. Nie dość, że powtarza on gesty Misia (w finale spada z nieba), to jeszcze w obsadzie znalazło się znaczące miejsce dla Marka Piwowskiego, a jedna ze scen bezpośrednio nawiązuje do „Rejsu”. Stanisław Tym lubi zresztą dialogować z tradycją polskiej komedii filmowej – wystarczy przypomnieć, że w poprzednim odcinku przygód Ochódzkiego, „Rozmowach kontrolowanych” w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, wykorzystał motywy z „Eroiki” Andrzeja Munka.

Problem w tym, czy nowy film spełnia owe tęsknoty i czy „Rys” ma szansę stać się naszym nowym ukochanym „Misiem”. Odpowiedź jest równie skomplikowana, by

nie rzec, pokrętna, jak losy głównego bohatera, który tym razem: ucieka przed mafią, udaje nieboszczyka, załatwia lewy kredyt, wplątuje się w miłosną aferę, zostaje pośłem mniejszości litewskiej, odnajduje własnego syna, a wreszcie kandyduje na urząd prezydenta RP Uff!

Zanim przystąpimy do oceny jego działań, może warto sobie najpierw uświadomić, jak zmieniło się nastawienie tak zwanych elit do tego typu „radosnej twórczości”. Komedie Barei w czasach PRL-u spotykały się głównie z wrogością krytyki. Pochyleni nad „kinem moralnego niepokoju” koryfeusz pióra wstydzili się przyznać, że z polskiego losu można się także głośno śmiać, a kraj nasz ma twarz nie tyle zatroskanego etycznie studenta, co raczej tępego aparatczyka i prostego robotnika, którego najlepszym przyjacięciem jest butelka wódki. Sekowanie Barei w prasie należało do dobrego tonu. Ukuto nawet pogardliwy termin „bareizm”

na oznaczenie bylejakiej formy i niskich treści. Choć odnosił się on przede wszystkim do wczesnych, lukrowanych i błahych komedijek Barei (które, notabene, mogły dzisiaj służyć za przykład pereleowskiemu campu), to jednak i późniejsze, satyryczne dzieła autora „Bruneta wieczorową porą” przyjmowano z grymasem niesmaku.

Uznanie krytyki wymusiła w końcu wierna publiczność, która nie Wajdę, nie Zanussię, ale właśnie Bareję uznała za swojego ulubionego reżysera i która wciąż domaga się powtórek jego filmów. Dzisiaj więc należy wypowiadać się o tym reżyserze z atencją, a wrodzy mu niegdyś recenzenci wolą, by nie przypominać im dawnych tekstów. Co więcej, degrengolada polskiej komedii, obdarzającej nas teraz dziełami pokroju „Poranku kojota” czy „Dlaczego nie!”, sprawiła, że z perspektywy czasu „Miś” i „Alternatywy 4” uchodzą wręcz za przykład wyrafinowanego humoru dla intelektualistów. Wyglądamy niecierpliwie

drugiego Barei, a na produkcje jego współpracowników, takich jak właśnie Stanisław Tym, czekamy z utęsknieniem – niech ktoś wreszcie celnie i dowcipnie skomentuje naszą rzeczywistość!

Owszem, w „Rysiu” chwilami jest celnie – z satysfakcją na przykład patrzyłem na sceny z udziałem Marka Kondrata jako szefa Ogniska Muzycznego „Serce Chopina”, które okazuje się przykrywką dla działalności mafijnej prowadzonej w ścisłej kooperacji z policją, politykami i klerem. Ale takich chwil satysfakcji jest w filmie mniej niż więcej. Tym przejął z całym dobrodziejstwem inwentarza metodę opisu Polski stosowaną w komediach z lat 70. i 80. Bareja – powiedzmy sobie otwarcie – nigdy wirtuozem reżyserii nie był, jego filmy, dobijane jeszcze ingerencjami cenzury, narracyjnie z ledwością trzymają się kupy, rozpadając się na serię lepszych i gorszych skeczów. Po latach widać, że ta prowizorka i toporność najlepiej oddawały ducha realnego socjalizmu. Ale czas płynie. Nawet jeśli zgadzamy się z diagnozą, że w Polsce wszystko wciąż stoi do góry nogami, to trzeba też jednocześnie zauważyć, że i nog, i głów przybyło. Najtrafniejszym dowcipem w filmie byłby więc ten o rodzinie, w której każ-

Komedia pomyłka

„Miłość. Nie przeszkadzać!” to romans bez Casanovy, ale za to z kasą

Motywnym przewodnim filmu jest wielka miłość – szkoda, że głównie do pieniędzy. Najwyraźniej ona kierowała Salvadorim przedstawiającym z sympatią losy Irene, która marzy o luksusowym życiu rodem ze stron „Vogue’a”. W zamian za markowe przedmioty dziewczyna oddaje bruchatym bogaczom swój czas i inne dobra niematerialne. Złotą serię przerywa przypadek: Irene myli frak Jeana kelnera z frakiem milionera i podrywa nie tego mężczyznę. To tylko początek komedii pomyłek, w której – niestety – zabawnych sytuacji jest jak na lekarstwo. Pełno za to rażącego, nie tylko w filmie romantycznym, cynizmu bohaterów. Każdy (poza biednym Jeanem) zna tu

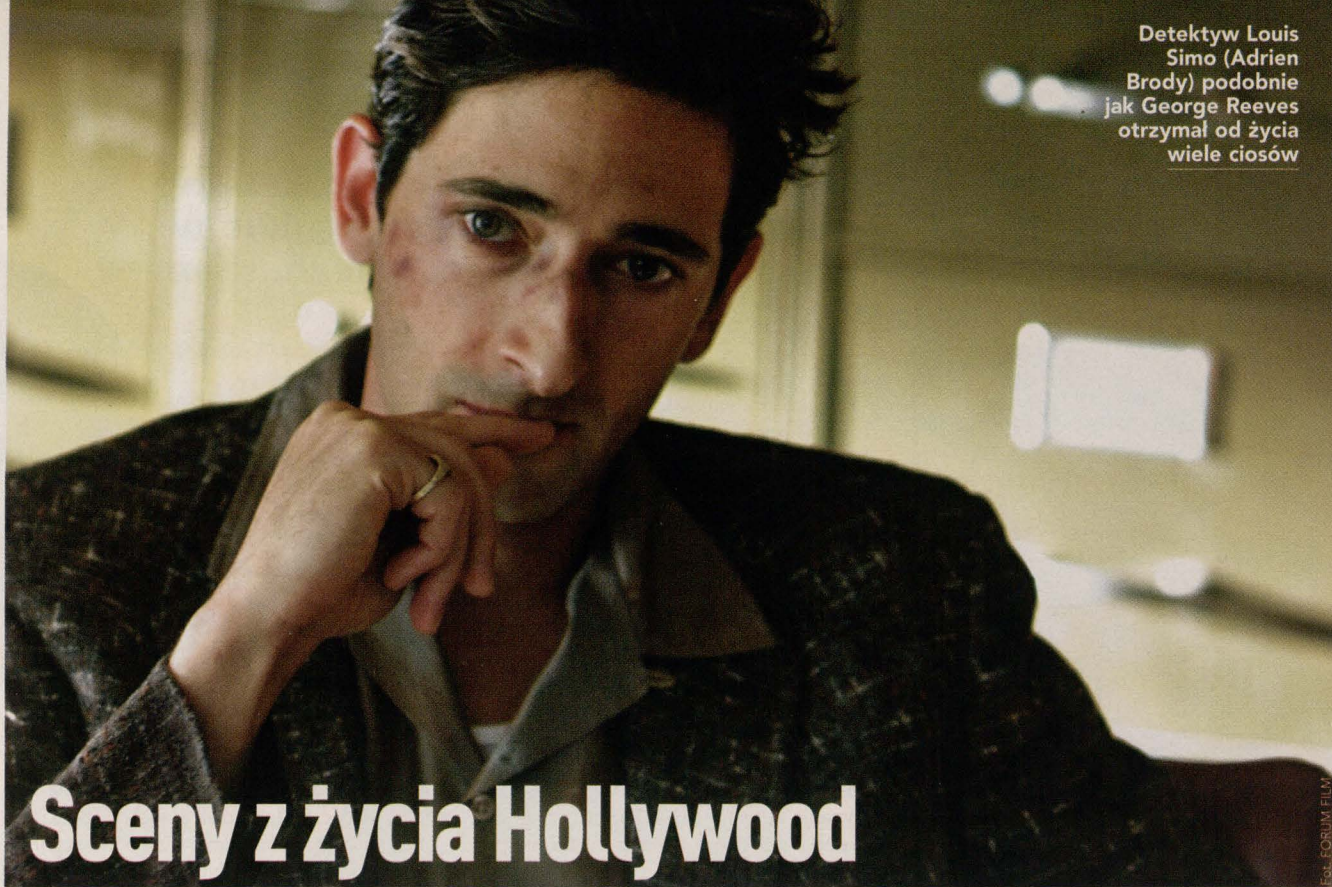


Audrey Tautou

i respektuje reguły damsko-męskiej gry. Chłodno kalkulował też Salvadori, który napisał scenariusz z myślą o modnych francuskich aktorach – Audrey Tautou i komiku Gadzie Elmalehu. Markowe ubrania prezentują się na nich świetnie, jak na manekinach. To zresztą niejedyny podobieństwo – oboje są sztywni, jakby właśnie zesłali ze sklepowej witryny. I na ten film jak na wystawę można zerknąć. Choć lepiej (o)minąć.

OLA SALWA

●●○○○○ „MIŁOŚĆ. NIE PRZESZKADZAJCIE!”, REŻ. PIERRE SALVADORI, FRANCJA 2006, 104', KINO ŚWIAT, PREMIERA 14 LUTEGO



Detektyw Louis Simo (Adrien Brody) podobnie jak George Reeves otrzymał od życia wiele ciosów

Sceny z życia Hollywood

„Hollywoodland” próbuje odczarować Fabrykę Snów. Niestety, w sposób bardzo rozczarowujący

Swoim fabularnym debiutem reżyser „Rodziny Soprano” i „Seksu w wielkim mieście” udowadnia, że jest świetnym rzemieślnikiem. Skupia się na formie, stylowych nawiązaniach do kina noir, „podwójnej” narracji, ale wyważa dawno już otwarte drzwi. Nie dlatego, że po raz kolejny wraca do zamierzonych czasów Hollywood, ale dlatego, że nie mówi o nich niczego nowego.

„Hollywoodland” to skrzyżowanie opowieści o obsesyjnym dążeniu do kariery z wielowątkowym „czarnym” kryminałem niczym „Bulwaru Zachodzącego Słońca” z „Chinatown”.

Młody George Reeves (dobry, ale nie zachwycający Ben Affleck) chce zostać cenionym aktorem, w czym pomóc ma mu starsza od niego Toni (Diane Lane), żona wicedyrektora MGM. Kupuje kochankowi dom, załatwia rolę Supermana w serialu, ale Reeves, zamiast się cieszyć, wpada we frustrację – fikanie w głupawym kostiumie i piski dziecięcych fanów nie są szczytem jego marzeń. Historię aktora poznajemy właściwie oczami Louisa Simo (Adrien Brody), detektywa amatora, któ-

ry chce odkryć zagadkę śmierci Reevesa (zginął od kuli w swoim mieszkaniu w 1959 roku). Policja twierdzi, że popełnił samobójstwo, matka aktora upiera się, że ktoś go zabił. Reżyser trochę za bardzo koncentruje się na pytaniu „kto?”: hipotetyczne wersje wydarzeń mieszają się z faktami, detektyw – zamiast zbliżać się do prawdy – staje się ofiarą gry w fałszywe tropy. Im bardziej Simo brnie w śledztwo, tym bardziej przekonuje się jednak, że wiele go z Reevesem łączy. Owszem, nie jest tak elegancki i przystojny i nie bawi się na przyjęciach z Ritą Hayworth i Billym Wilderem. Tak samo marzy jednak o sławie i przejściu do pierwszej, zawodowej ligi (detektywów z prawdziwego zdarzenia), tak samo płacze się we frustracji i groteskowym życiu osobistym. Więc jednak samobójstwo?

PAWEŁ T. FELIS

●●○○○○ „HOLLYWOODLAND”, REŻ. ALLEN COULTER, USA 2006, 125', FORUM FILM, PREMIERA 16 LUTEGO

●●●●● mistrzostwo
●●●●● na piątą
●●●●● warto
●●●●● może być
●●●●● słabe
●●●●● dno



Al Gore, nawet gdy usuwa się w cień, pozostaje na pierwszym planie

Tako rzecz Gore

„Niewygodna prawda” skutecznie ociepla wizerunek Ala Gore’a

Dokumentalna „Niewygodna prawda” to pogadanka o globalnym ociepleniu i jego skutkach w wykonaniu amerykańskiego polityka Ala Gore’a. Wykład, przetykany zdjęciami z jego licznych podróży, jest edukacyjnym majstersztykiem, który przekona nawet opornych, że problem jest poważny. Amerykańscy krytycy zachwycaли się filmem, uważając, że trzeba go obejrzeć, choć niekoniecznie w kinie. Słusznie, bo na wieczornych seans ten dokument mało pasuje, to raczej obowiązkowy punkt programu na porankach dla szkolnych wychowanków. U nas „Niewygodna prawda” mogłaby edukować też nauczycieli: jak prosto, skutecznie i ciekawie tłumaczyć złożone kwestie. Sukces Gore’a tkwi w połączeniu danych z praw-

dziwym show: fakty ilustruje wykresami, zdjęciami lub anegdotą. Doskonale nawiązuje kontakt z publicznością słuchającą wykładu, oczarowując ją szczerością: otwarcie mówi o swoich porażkach czy osobistych tragediach (śmierć siostry). Gdy atmosfera staje się napięta, Gore rozbraja ją żartami, a politykę obecnego rządu krytykuje dyskretnie. Jest po prostu wiarygodny. Paradoksalnie cechę tę podważa reżyser filmu, skrajnie postać Gore’a idealizujący. Jakby prawda o niedoszłym prezydencie rzeczywiście mogła być niewygodna.

OLA SALWA

●●●●○○ „NIEWYGODNA PRAWDA”, REŻ. DAVIS GUGGENHEIM, USA 2006, 100', UIP, PREMIERA 16 LUTEGO

Teatr w Watykanie Wyjątkowo przegadane „Konklawe”

Upprzedzam, że film Schrewego to nie katecheza w stylu filmideł o JP2. Oto akt seksualny zostaje przewrany wtargnięciem papieskiego wysłannika. Bezceremonialnie wyciąga na mężczyznę z łóżka i każe mu w te pędy jechać do umierającego Kaliksta III. Ów kochanek to... siostrzeniec papieża, kardynał Rodrigo de Borgia (Manu Follola), który wiele lat później zasiądzie na Stolicy Piotrowej jako Aleksander VI. Na razie mamy rok 1458, Rodrigo liczy sobie 27 lat i ma prawo uczestniczyć w 18-osobowym konklawe, które



FOR VISION

wybiera następcę Kaliksta. Obrady te nie przypominają dysputy na tematy duchowe. To bezwzględna walka o władzę, której uczestnicy nie cofają się przed groźbą, szantażem i przepokupstwem. Ta niebezpieczna i emocjonująca zarazem gra umiejętnie została rozpisana na kardynalskie głosy. Ponieważ jednak

kamera rzadko opuszcza mury Watykanu, „Konklawe” przypomina rozgadany Teatr Telewizji. Nie za bardzo też wiadomo, po co autorzy przywołują akurat ten epizod z historii papiewstwa. Czy chodzi wyłącznie o barwny obraz epoki? Czy o zasugerowanie, że niewiele się w Watykanie zmieniło? Jak na widowisko, „Konklawe” jest zbyt ubogie, jak na film demaskatorski – za mało odważne.

BARTOSZ ŻURAWIECKI, „FILM”

●●○○○○ „KONKLAWĘ”, REŻ. CHRISTOPH SCHREWE, KANADA 2006, 100', VISION, PREMIERA 16 LUTEGO

Nawet proteza potrafi zrobić zeza

Jedni Brzechwę lustrują, inni doceniają jego mądry dowcip. Świetna „Akademia Pana Kleksa” w warszawskiej Romie nie pozostawia wątpliwości, czyje na wierzchu

Brzechwę mieliśmy ostatnio w dwóch wersjach – na słodko i na słono. Z cukrem przyprawili go w Teatrze Muzycznym „Roma”, wkładając w rozbuchane widowisko nieśmiertelne przeboje dziecięcej poezji: Wyspy Bergamuty, psie smutki, lenie na tapczanie i Pana Kleksa z całą jego Akademią. Z solą i pieprzem zaserwowano Brzechwę w TVP, ujawniając w audycji „Errata do biografii”, że za Stalina pisarz się świnil. Smałg biczem satyry slugusów imperializmu, zaś w formie patetycznych ód, hymnów i panegiryków słał imię Partii, jej ukochanych przywódców oraz przyjaźni międzynarodalną ze Związkiem Radzieckim na czele.

Smałg i słał, fakt. Nikt tego zresztą nigdy ukrywać nie zamierzał. Jan Brzechwa, człek, jak mówią wspomnienia, wielkiej łagodności i dobroci, causeur i bon vivant, nie miał danych na opozycjonistę. Przeciwnie, znajdował nieskrępowaną przyjemność w uroczystej afirmacji panujących. Nie ograniczając się zresztą do towarzyszy komunistów; w latach 30. wydał był podniosły tom admirujący... Józefa Piłsudskiego. Redaktorzy telewizyjni zlekceważyli ten trop, a przecież tylko dokłada on wstępu – zdaje się świadczyć o tym, że panegirystyce było poniekąd wszystko jedno, czyjej chwale służy jego giętkie pióro.

Czy jednak porządny rodzic, zapoznawszy się z przykładami politycznego serwilizmu Brzechwy, powinien w te pędy gnać do kasy Romy, by zwracać zamówione dla swych pociech bilety na „Akademię Pana Kleksa”?

DZIWCZKA BLUES

Zrobiłby dzieciom krzywdę. Widowisko jest naprawdę udane. Żywe, spektakularne, dynamiczne, pełne efektów, niezłych ról, przyzwoitej muzyki. Wszystkie elementy są w porządku. Tym jednak, na czym naprawdę stoi spektakl, jest literacka klasa libretta. Rzecz w musicalu właściwie niespotykana – chociaż jeśli przypomnieć Eliotowskie „Koty”...

Musical jako gatunek narodził się przed wiekiem z chęci demokratyzacji operetki – zamiast o hrabinach i księżkach miał opowiadać o zwykłych ludziach. Długo plótno milosno-komediowe historie, potem sięgnął

do klasyki dramatu i prozy, próbował nawet odmalowywać muzycznie współczesną politykę. W ostatnich latach odchodzi od fabuły, sytuacja sceniczna staje się tylko pretekstem do „numerów”. W cenie jest wyobraźnia, niespodzianka, wyrazistość songów. Dobrze wyczuł tę tendencję Wojciech Kępczyński. W Brzechwowym librecie, które złożył z Danielem Wyszogrodzkiem, fabuła – pogoń Kleksa i Filipa Golarza za Alojzym Bąblem, który ukradł szkatułkę ze wszystkimi bajkami świata – jest pretekstowa, rwana, niedbała. Liczą się szalone skojarzenia, każdy pomysł jest dobry, by zaśpiewać i zatańczyć kolejny song, często zupełnie niepowiązany z akcją.

Błogosławieństwem warszawskiego widowiska okazała się współpraca z animatorem komputerowym Tomaszem Bagińskim, który stworzył ruchome, wirtualne dekoracje wyświetlane na białych płaszczyznach ustawianych na scenie. Idealnie rozwiązało to kwestię zmienności miejsc akcji, „odciążyło” scenę, ochroniło obraz przed kiczowatą dosłownością. Spektakl połknął i wchłoniął konwencję filmu animowanego, stał się hybrydą tricków, animacji i tradycyjnych efektów teatru muzycznego.

Przyniosło to nieoczekiwane skutki, na przykład Pan Kleks grany przez Roberta Rozmusa stał się bardziej „animką” niż żywą postacią. Z kolei młodoci bohańscy – Jakub Badurka i Krystyna Bojczuk – odnaleźli się w abstrakcyjnej przestrzeni zachwycająco naturalnie, przestrzegając regule, w myśl której na widok dziecka grającego na polskiej scenie wypada zawsza wiać pod krzesło.

Powtórzmy jednak wyraźnie: szalone widowisko Romy stało się nade wszystko trium-



FOR: MAREK LANGDA/PAF, KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Robert Rozmus w roli Kleksa – bardziej animka niż żywa postać



Jan Brzechwa (1898-1966)

fem akademii pana Brzechwy. Giętkości jego języka, oryginalności leksyki, rytmu, rymów. Prostoty opowieści o walce dobra ze złem – gdzie dobro

jest przyjazne, otwarte, opiekuńcze i niechby nawet safandulowato naiwne, ale wygrywające z pazernym i nienasyconym przeciwnikiem. Stało się też triumfem surrealnych skojarzeń rozrzedzających dydaktyczny smrodek oparami czystego absurdu, zwiariowanych rymowanek (jedną, której Monty Python by się nie powstydzil, zapożyczylimy na tytuł niniejszego tekstu), łagodnej satyry i odłoto-

wych spiętrzeń groteski. Tej ostatniej na czele z fenomenalną Kaczką Dziwaczką, która zamieniona głosem Łukasza Zagrobelnego w gorącego bluesa zasługuje na tytuł przeboju sezonu.

NIE SOLIĆ TORTU

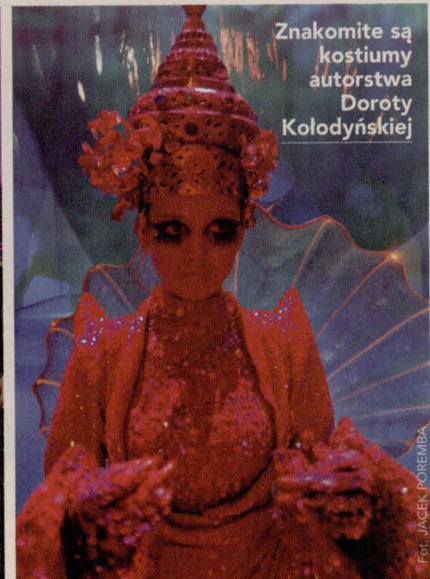
Co mają teraz zrobić rodzice i ich pociechy, gdy nuć słodką „Magiczną siłę wyobraźni”, wrócić do domu i włączyć telewizor, a tam w najlepsze trwać będzie „wersja słona”: awantura o stalinowskie przewiny Jana Brzechwy? Mają zapukać w szkło i poprosić, że przywoicie byłoby przynajmniej postawić przeciwko nikczemnym panegirykom arcydzieła mądrej pogody i dowcipu? I dopiero potem ważyć winy i zasługi? Uwzględniając w rachunku, że poety od 40 lat nie ma wśród nas, a zatem musieli go już porządnie zlustrować w bramie wejściowej na Wyspy Bergamuty, gdziekolwiek się znajdują.

Absolwenci Akademii Pana Kleksa będą wiedzieli, czy przeszedł.

JACEK SIERADZKI



Atuty „Kleksa”: wizualizacje Tomasza Bagińskiego i bardzo dobre role dziecięce



Znakomite są kostiumy autorstwa Doroty Kolodyńskiej

„AKADEMIA PANA KLEKSA” WEDŁUG JANA BRZECZHY, MUZYKA ANDRZEJ KORZYŃSKI, LIBRETTO I REŻYSERIA WOJCIECH KĘPCZYŃSKI, LIBRETTO I TEKSTY PIOSENEK DANIEL WYSZOGRODZKI, SCENOGRAFIA BORIS KUIŁUĆKA, KOSTIUMY DOROTA KOLODYŃSKA, CHOREOGRAFIA JACEK BADUREK, IWONA RUNOWSKA, REŻYSERIA ANIMACJI FILMOWYCH TOMASZ BĄGIŃSKI, TEATR ROMA W WARSZAWIE



Klaxons – prosto z imprezy dla mrocznych intelektualistów

Trzaski, piski i trans

Klaxons – najbardziej oczekiwany debiut ostatnich miesięcy, choć nagrany wbrew oczekiwaniom

Takiej płyty nie spodziewano się po debiutantach. To niejedyna dobra rzecz, którą można powiedzieć o „Myths Of The Near Future”, pierwszym albumie tria z Londynu. Zaskoczenie jest podwójne: wersje albumowe utworów różnią się od znanych z poprzedzających premierę singli, a ponadto – co ważniejsze – Klaxons grają muzykę tak różnorodną, że nie pasuje do pojędynczego, precyzyjnie definiowanego nurtu.

Jest jednak klucz do opisania twórczości tej grupy: rockowa muzyka przydatna do tańca. Nie bez po-

wodu na początku ubiegłego roku Klaxons gromadzili fanów na spontanicznych, nieoficjalnych imprezach. Otoczka była świetnie znana Brytyjczykom: pulsujące kolory, hałas i historyczna ekstaza uczestników. Każdy, kto pamięta szaleństwo, jakie panowało na Wyspach na przełomie lat 80. i 90., dobrze odczyta tę powtórkę z rozrywki. Owszem, Klaxons wskrzesili idee tak zwanych rave’ów.

Muzycznie ten nowy rave (czyli nu rave, jak zaczęto opisywać grupę zjawisko) to naturalne przedłużenie tanecznego punku, miks alternatywnej muzyki gitarowej i nowoczesnych

- mistrzostwo
- na piątkę
- warto
- może być
- słabe
- dno

tanecznych brzmień. Zresztą Klaxons medialne etykiety szybko zostawili za drzwiami studia nagrań, przeskakując absurdy efemerycznego gatunku. Dla nich nowe to kolaż starego, poklejonny niedokładnie, pozornie po omacku. Reprezentują pokolenie, dla którego gwiazdami są w równej mierze Sex Pistols, Prodigy, Stone Roses i The Rapture. Reprezentują pokolenie przytłoczone nadmiarem kulturowych bodźców. Wyciągnęli z popkulturowego śmietnika, co tylko się dało: punkowy brud, agresję muzyki tanecznej początku lat 90., narkotyczny trans, trzaski, piski, syntetyczne hałasy, progresywny patos, ale i melodyjną subtelność. Choć ich płyta wydaje się oderwana od bieżącej rzeczywistości, mówi o współczesnej wielkomięskiej młodzieży zaskakująco dużo. Także o tej spoza Wysp, w końcu MySpace zniosło granice.

Nie tylko to bezcelne mieszanie wszystkiego ze wszystkim świadczy o tupecie Klaxons. Arogancko zapowiedzieli, że zamierzają sprzedać debiutancką płytę w milionach egzemplarzy. A „Myths Of The Near Future” prezentują jako pierwszą część trylogii, zestaw wizji przyszłości, bo w planach mają też płytę o tym, co było, i o tym, co jest. Wbrew bezwstydnemu hedonistycznemu wizerunkowi rave’u idealnie nadają się więc na grupę dla mrocznych, niepokornych intelektualistów. Wśród największych inspiracji wymieniają Burroughsa, Crowleya i Ballarda, plicy dali zresztą tytuł od zbioru opowiadań tego ostatniego. Tyle że futurystyczna symbolika tekstów to na razie wyłącznie sprawnie poprowadzona stylizacja, niewiele tu intelektualnej prowokacji właściwej tym literackim mistrzom. Co w niczym nie zmienia faktu, że The Klaxons startują błyskotliwie.

ANGELIKA KUCIŃSKA



KLAXONS „MYTHS OF THE NEAR FUTURE”, UNIVERSAL MUSIC

Portugalskie fatum

Mariza, jedna z największych gwiazd nurtu fado, zaśpiewa w Polsce



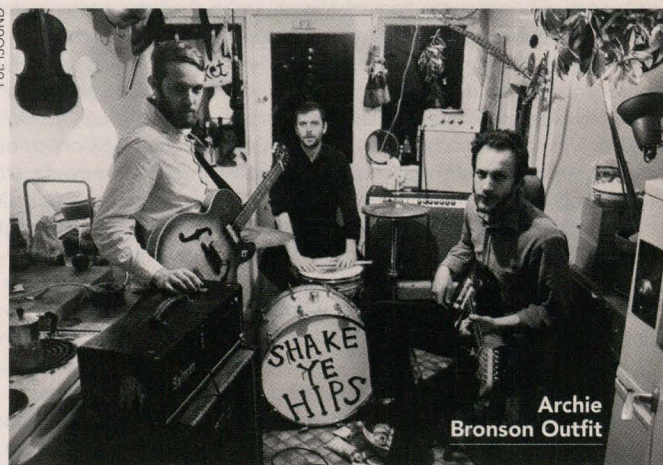
Mariza – narodowy skarb Portugalii

Jest wizytówką swojego kraju i jego muzycznym towarem eksportowym numer jeden. Przedała się na trudny rynek brytyjski, zdobywając prestiżową nagrodę BBC dla wykonawców world music, zaśpiewała w duecie ze Stingiem na otwarciu igrzysk olimpijskich w Atenach, a dwa lata wcześniej – portugalski hymn na mundialowym meczu swojej drużyny z Koreą Południową. Nie należy jej jednak porównywać z Edytą Górniak, która w tym samym czasie wykonywała nasz hymn. Bo o ile ta ostatnia jest po prostu polskim odpowiednikiem najdroższych gardel amerykańskiego show-biznesu, młodsza o rok, 33-letnia Mariza Reiz Nunes reprezentuje

na zewnątrz kulturę narodową. Fado to muzyka, której poza Portugalią prawie się nie nagrywa. Gatunek endemiczny wśród stylów muzycznych, tłumaczący na zapis nutowy specyficzne emocje *saudade* (nostalgii), która odzwierciedlać ma w powszechnej opinii portugalski stan ducha.

Ta miejscowa wersja bluesa z lekkimi wpływami afrykańskimi (których urodzona w Mozambiku Mariza jest potwierdzeniem), a nawet arabskimi i oszczędnym akompaniamentem poza Portugalią odbierana bywa po prostu jako muzyka ładna i łagodna. Bo choć fado jest smutne jak polska noc grudniowa – a takie emocje potrafi dziś skutecznie sprzedawać tylko Rubik – zrobiła karierę wśród słuchaczy z europejskiej klasy średniej. Nieuchronność, z jaką Mariza, a obok niej Misia czy Teresa Salgueiro (a wszystko to spadkobierczynie słynnej gwiazdy gatunku Amalii Rodrigues) zarażają swoją melancholią Europę, trudno ciągle tłumaczyć echami powodzenia „Lisbon Story” Wendersa. Tu musi chodzić o przeznaczenie. W końcu fado to po portugalsku „fatum”. BACH

MARIZA – 22.02 WARSZAWA, SALA KONGRESOWA



Archie Bronson Outfit

Efekt domina

James Yorkston, Archie Bronson Outfit i Psapp – reprezentacja świetnej wytwórni Domino Records na koncertach w Polsce

Domino Records dzięki medialnym i komercyjnym sukcesom Franz Ferdinand i Arctic Monkeys awansowało w ostatnich latach do ścisłej czołówki najpopularniejszych niezależnych wytwórni płytowych. Jej katalog jednak wykracza poza młodzieżowe gwiazdy nowego rocka, czego dowiodą polskie koncerty promujące firmę i jej wykonawców.

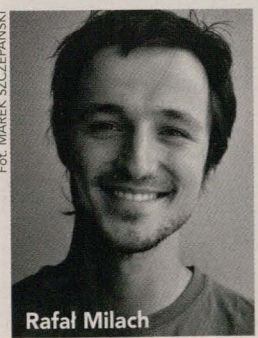
James Yorkston, smutny Szkot z gitarą, kojarzony jest z nurtem piosenki autorskiej. Archie Bronson Outfit to specjaliści od korzennego, garażowego rocka cieszący się w rodzinnej Anglii opinią znakomitej grupy koncertowej, a duet Psapp ujmie polską publiczność popową elektroniką. Yorkston zagra wyłącznie dla warszawskiej publiczności, a pozostali wystąpią dwa razy – i w stolicy, i w Poznaniu.

Wykonawcy z Domino w takiej formule minifestiwalu zawiatają do Polski po raz pierwszy, choć podobnymi objazdami imprezami firma obchodziła cztery lata temu swoje 10. urodziny. Wtedy czas największego powodzenia miała dopiero przed sobą. Laurence Bell założył Domino w roku 1993 po to, by sprowadzać na rynek brytyjski niezależne wydawnictwa amerykańskie. Dopiero później sam zajął się wyszukiwaniem ciekawych wykonawców. Dziś dla Domino nagrywają między innymi Junior Boys, Sons And Daughters, The Kills czy Juana Molina. AK

DOMINO RECORDS SHOWCASE – 17.02 POZNAŃ, ESKULAP; 18.02 WARSZAWA, FABRYKA TRZCINY

Co z tą Rosją?

Wystawa „Młoda Rosja” otwarta w galerii Yours weryfikuje rosyjskie mity



Rafal Milach

Gdy Rafal Milach wybierał się na pierwszą wyprawę do Rosji (w latach 2002–2006 jeździł tam dwa, trzy razy do roku), realia kraju znalazł raczej z mitycznych opowieści. – Jechałem na Syberię, spodziewałem się więc białych misiów polarnych spacerujących po ulicach miast i piekielnego zimna. Tymczasem wylądowałem w zimowych butach w Nowosybirsku, gdzie temperatury sięgały 40 stopni. Na plusie, było przecież lato! – wspomina.

Cel podróży? Początkowo wcale go nie było. Była za to fascynacja i znacznie więcej stereotypów do zweryfikowania niż tylko te klimatyczne. – Po paru dniach zorientowałem się, że nie ogarnę wszystkiego, że muszę się na czymś skupić – opowiada.

Na bohaterów portretów wybrał młodych – studentów i wchodzących w dorosłość, z kształtującą się dopiero w Rosji „klasy średniej”. Jak tłumaczy: „ludzi takich jak on”. Bo z takimi najłatwiej się dogadać. Nie przeszkodziło mu nawet to, że początkowo prawie nie znał języka. Z pomocą natomiast przyszła słowiańska dusza: otwartość i gościnność. Im większy był dystans do Polski, tym mniejszy ten między fotografem a kolejnymi bohaterami zdjęć. Na zdjęciach pokazywanych dziś w galerii Yours fotografował od środka: imprezę w akademiku, której był uczestnikiem, a nie obserwatorem, mieszkańców przytłaczających „domów z betonu”, z którymi się zaprzyjaźnił, a nie tylko poznał.

Młoda Rosja, jaką pokazuje Milach, to wciąż kraj starych kontrastów. Widocznych przede wszystkim w metropoliach (a rozmiary groteski osiągających w Moskwie), gdzie limuzyny nowych bogaczy stoją zaparkowane pod maskarami architektury socrealistycznej. To także kraj absurdów, w którym w jednym mieście stawia się tablice pamiątkowe

ofiarom drugiej wojny, ale gdzie na cmentarzach spotkać można naturalnej wielkości pomniki... mafiosów.

To wreszcie kraj młodych, którzy odcinają się od wszystkiego, o czym mowa wyżej. Którzy – tak jak ich rówieśnicy w Polsce – następczynie transformacji chcieliby już mieć dawno za sobą. Wszystko to jednak łatwiej dostrzec, gdy jest się przybyszem. – Niektóre z tych zdjęć pokazywałem już w Moskwie. Moi przyjaciele stamtąd dali mi radę, bym nie przyjeżdżał za często. Bo stracę świeżość spojrzenia – opowiada. – Ale jeśli się gdzieś nie przebywa wystarczająco długo, cały czas ślizga się po powierzchni.

Milach od kilku już lat publikuje w najpoważniejszych tytułach polskich (także w „Przekroju”), niezręcznie również za granicą (między innymi w „Guar-

dian Weekend Magazine”), nagradzono go choćby w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej i Grand Press Photo. 28-letniego reportera cenią wszędzie za bardzo wnikliwe, własne spojrzenie, które widać niezależnie od tego, czy opowiada o Śląsku (cykl „Szare”, 2002), czy o oddalonym o tysiące kilometrów Aczyńsku. Gdy czytacie ten tekst, jest już znów tysiące kilometrów stąd... Pojechał na Syberię w poszukiwaniu zimy i białych niedźwiedzi, których nieobecność tak go podczas pierwszej podróży zaskoczyła. Ale nim przywiezie nową porcję znakomitych fotografii, pędzić na Krakowskie Przedmieście 33 w Warszawie zobaczyć pierwszą.

KAROLINA PASTERNAK

RAFAL MILACH „MŁODA ROSJA” – 3.02–31.03 WARSZAWA, GALERIA YOURS, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 33



Studenti w akademiku w Nowosybirsku. Obok kuchnia akademika

Szorstka nirwana

Najlepsza płyta w całym solowym dorobku **Kristin Hersh**. ot co

Głos bardziej schrypnięty i surowy. Piosenki coraz mocniej skondensowane w formie i treści, a tu – po prostu udane i równe. Agresja, szorstkość prostej gitarowej muzyki obłożonej tu i ówdzie lekimi, uskrzydłającymi smyczkowymi aranżacjami daje tu rewelacyjny efekt. Hersh, gwiazda zza oceanu, jest w takim momencie kariery, gdy ma publiczność, która doskonale wie, czego szuka. Lecz

„Learn To Sing Like A Star” ma siłę, którą przekona i niewtajemniczonych. Jest bowiem coś z olśnienia w słuchaniu takich piosenek, jak „Day Glo”, „Sugarbaby” czy „Winter” – to narastająca świadomość, jak wielki wpływ musiały mieć kiedyś na Nirvanę grupy z wytwórni 4AD. Nie tylko osławione Pixies, ale i Throwing Muses, macierzysta formacja Kristin Hersh. Gdy ta gra gitarowe akordy, to i bez hardrockowego rżenia potrafi pokazać emocjonalny ogień. To pochodna tego szczególnego rodzaju złości, który potrafi wywoływać trzęsienia ziemi w muzycznym świecie. Tu słyszymy go co prawda w wersji kobiecej i dojrzalej (40 lat minęło bohaterce w sierpniu), ale i to fanom rocka da nirwanę. Taką bardziej w stylu „Lithium” niż „Smells Like Teen Spirit”, jeśli już – by się dobrze zrozumieć – zostaniemy przy terminologii słynnego zespołu ze Seattle.

BARTEK CHACIŃSKI



Kristin Hersh – siła ognia



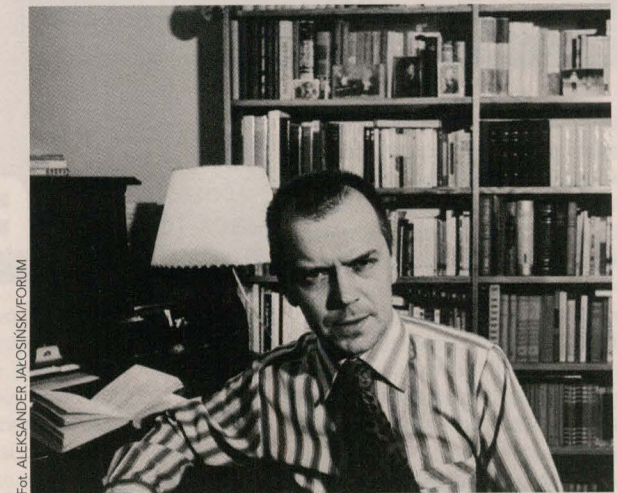
KRISTIN HERSH „LEARN TO SING LIKE A STAR”, 4AD

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Wieszając, pokazaliśmy, że jesteśmy Europejczykami

Bohaterem najnowszej książki Rymkiewicza nie jest Mickiewicz, Leśmian czy Słowacki ani żadna postać z panteonu literackiego.

Tym razem opowiada o szubienicach i wieszaniu zdrajców w czasie insurekcji kościuszkowskiej. Po trosze to znów encyklopedia, jak poprzednie książki Rymkiewicza pokazująca Warszawę tamtego czasu – od góry gnoju przed królewskimi oknami po szlafroki powieszonych. Rozpoznamy tu charakterystyczną dla tego autora pieczołowitość i przywiązanie do konkretności. Rymkiewicz ogląda ciemny wycinek naszej historii, bo – jak uważa – warto postawić pewne pytania, aby zrozumieć własną historię. To książka pozostawiająca wrażenie potworności. Nie tylko historii, ale i samego życia. Wieszanie i gilotynowanie jest wszak rdzennie ludzkim, humanistycznym zachowaniem. To książka w zamierzeniu pisana z krzywym uśmiechem i z wisielczym humorem człowieka, który nie ma złudzeń.



Rymkiewicz w Warszawie w roku 1975. Dziś autor „Zachodu słońca w Milanówku” i laureat Nike za tenże tom poezji ma 71 lat

Napisał pan książkę o wieszaniu zdrajców w 1794. Czy to aluzja do współczesności?

– Gdybym odpowiedział na pani pytanie, oznaczałoby to, że mam jakiś pomysł interpretacyjny – uważam, że moja książka, właśnie to „Wieszanie”, da się w jakiś sposób zinterpretować. Czyli że ma ona jakieś znaczenie, które można z niej wydobyć i postawić obok niej, poza nią. Oznaczałoby to też, że wiem, co napisałem – o czym jest ta książka, co ona mówi i jakie tajne treści są w niej ukryte. Ale ja nie mam takiej wiedzy, a przede wszystkim nie chcę niczego interpretować. Interpretowanie jest przekleństwem naszej epoki. Wszyscy wszystko teraz interpretują, interpretacje mnożą się w sposób zastraszający, a ich liczba oraz ich natrętność (żeby nie powiedzieć – nachalna) obecność powoduje, że zasłaniają one i wreszcie zastępują to, co rzeczywiste. Podobnie jest z dziełami literackimi, w ogóle ze wszystkimi dziełami sztuki – zamiast obcować z dziełami sztuki i literatury, obcujemy z ich niezliczonymi interpretacjami. Czytamy „Panią Bovary” i zastanawiamy się, co znaczy ta powieść, jak jeszcze można ją zinterpretować, zamiast zapłakać nad losem jej nieszczęśliwej bohaterki.

Może więc zamiast mówić, co znaczy „Wieszanie”, opowiem pani, skąd wzięła się ta książka. Uważam, że właśnie tym powinna zajmować się historia literatury – opowiadaniem, w jakich okolicznościach powstają książki, a nie wywlekaniem z nich flaków, czyli wymyślaniem ich możliwych znaczeń. O napisaniu „Wieszania” zacząłem myśleć już w latach 90., może nawet 80. zeszłego wieku, bo właśnie wtedy przed Polakami znowu pojawił się ten problem: czy komunistów należy powiesić, czy może lepiej będzie im przebaczyć i pozwolić, żeby uszli z życiem. Ja przynajmniej tak to wtedy rozumiałem – że trzeba będzie w tej sprawie podjąć jakąś decyzję. Nic więc dziwnego, że przypominałem sobie o podobnych wypadkach, które dawno temu miały miejsce w historii Polski. Pytanie było tylko takie: czy pisać o wieszaniu w sierpniu roku 1831, czy o wieszaniu w maju i w czerwcu roku 1794? Zdecydowałem się na tę drugą możliwość, bo pociągnęła mnie, a nawet zachwyliła frenetyczna wizja XVIII-wiecznej Warszawy ogamiętej szalem mordowania. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że po napisaniu tej książki zostaną uznany za potwora, który wzywa do stawiania szubienic. Ale ja chciałem tylko sobie to obejrzeć – jak coś takiego kiedyś wyglądało. I chciałem przypomnieć moim rodakom, że na Krakowskim Przedmieściu stały kiedyś szubienice. Postawili je tam Polacy, a nie ich wrogowie.

„Wieszanie” mówi o ciemnych skłonnościach narodu?

– W mojej książce nie ma żadnej oceny ani interpretacji wydarzeń z 1794 roku. Nie ma też w niej zamysłu pedagogicznego czy propagandowego, niczego takiego, co można by nazwać „zasadami moralnymi”, żadnych odwołań do jakiegoś „porządku moralnego”. Chciałem to obejrzeć, bo wydawało mi się to bardzo ciekawe – jak wyglądały wtedy ulice Warszawy, ci, co wieszali, i ci, co wisieli. Było też w tym jakieś wyzwanie natury estetycznej – jak to najlepiej opisać? – bo to jest kawałek historii, w którym ujawniło się coś takiego, co się rzadko ujawnia: jakaś rdzenna potworność, a zarazem melancholia naszego tutejszego istnienia. Ale nie oceniam tego, nie moralizuję, bo jakże można oceniać rdzenną melancholię, jakże można coś mieć przeciw potworności? To po prostu jest. Nie oceniam też, czy tamto wieszanie było dobre, czy złe dla Polaków, czy mogło na lepsze lub na gorsze odmienić ich los. No, może poza jednym przypadkiem. Kossakowski, biskup inflancki, który idąc na śmierć, krzyczał, że to nie on powinien wisieć, tylko król Stanisław August Poniatowski, niewątpliwie miał rację. Gdyby króla powieszono, to przed Polakami otworzyłyby się pewne ciekawe perspektywy.

W książce brzmi to nieco ironicznie, bo pisze pan, że królobójstwo ustanowiłoby nowoczesne społeczeństwo na wzór francuski, a przecież w innych pana książkach bardziej wartościowe było zwykle to, co nasze własne, polskie.



FOT. PIOTR MECIK/FORUM

– Insurekcja kościuszkowska roku 1794 była w naszych dziejach czymś wyjątkowym właśnie przez tę swoją zadziwiającą, a nawet trudną do pojęcia dwoistość – była ona bowiem wywiedziona z ducha polskiego, a zarazem z ducha francuskiego. A jeszcze lepiej będzie powiedzieć, że była wywiedziona z ducha polskiego, który nieoczekiwanie – zważywszy na zaszcioła epoki saskiej – okazał się pokrewny duchowi europejskiemu, może nawet z nim tożsamy. Korzenie insurekcji były polskie, bo spowodowała ją potrzeba narodowa – Polacy zrozumieli, że giną, a uratować mogą się tylko w jeden sposób – chwytając za broń. Dlatego właśnie Kołłątaj i Ignacy Potocki wymyślili w Dreźnie insurekcję, dlatego w Warszawie zawiązano spisek i Madaliński rozpoczął swój wspaniały marsz znad Narwi.

Ale do insurekcji prawdopodobnie by nie doszło – coś takiego może nikomu nie przyszedłoby nawet do głowy – gdyby w Paryżu nie szalała wtedy Wielka Rewolucja. Było to więc jakiegoś tajemnicze echo Wielkiej Rewolucji Francuskiej, coś takiego, co zostało przez nią wyraźnie zainspirowane.

Polscy republikanie oczywiście wiedzieli, co się dzieje we Francji, wiedzieli też, że ten francuski wzór da się spożytkować w Warszawie. Kołłątaj to wiedział. Natomiast warszawskie pospólstwo, które zbierało się w celu wieszania na Krakowskim Przedmieściu i na Rynku Miasta Starej Warszawy, z pewnością nie miało pojęcia, że w Paryżu, na Place de la Révolution, pracuje gilotyna. Warszawskie pospólstwo pewnie nawet nie wiedziało, że istnieje jakiś Paryż, jakaś Europa. A przy tym ten wielkomięski motloch zachowywał się dokładnie tak, jakby był europejskim motlochom. Nie widać – jeśli chodzi o obyczaj – wyraźnej różnicy między wieszającymi warszawiakami a paryskim plebsem z epoki Wielkiego Terroru. To doprawdy zadziwiające, a mnie napępiała to poczucie dumy. Wieszając, udowodniliśmy, że jesteśmy Europejczykami. Ale nie chciałbym, żeby to, co tu mówię, zabrzmiało jako coś w rodzaju wyjaśnienia. Jak powiedziałem, tego nie należy interpretować. Wieszania w roku 1794 nie da się wytłumaczyć ani paraskim przykładem, ani potrzebą narodową. W ogóle nie da się go wytłumaczyć.

Tutaj wszystko – i postacie, i przedmioty – okazuje się w bezcelowym zamęcie historii jednako nieważne. To perspektywa trudna do przyjęcia.

– Ależ nie, co też pani mówi – jest całkiem przeciwnie. Moje „Wieszanie” opowiada o życiu, a w życiu wszystko jest niesłychanie ważne – każdy szczegół. Jest nawet tak, że nie niego nie jest ważne, niczego innego bowiem nie ma. A ponieważ wszystko jest równie ważne i równie ciekawe (zdaje się, że o tym mówią wszystkie moje książki, także te poprzednie encyklopedie historyczne) – kolor kamizelki wiszącego na szubienicy Stanisława Augusta, piórko przy jego kapeluszu, balkon, na którym stoi ksiądz Kołłątaj, krzywy uśmiech kata, jego rękawiczki – moje „Wieszanie” jest jakąś dziwną opowieścią o wszystkim (jakby wszystko było wieszaniem), nie tylko o ludziach, ale i miejscach, i rzeczach, które razem z nimi idą przez historię, poruszają się i przemieszczają w jakimś dziwnym, nieznanym nam kierunku.

Prawdopodobnie dlatego tak dużo miejsca zajmują w tej książce opisy ówczesnej Warszawy. Może być w nich trochę błędów, bo nie jestem fachowym warsawianistą, a to jest wielka i trudna specjalność. Ale ciekawiło mnie, gdzie stał jakiś dom i jak wyglądały skrzyżowania ulic, gdzie co można było kupić i jakie były przejścia między domami, i jakie były numery domów, choć tych numerów dawno nie ma i nikomu do niczego nie są potrzebne.

Te miejsca i rzeczy jeszcze bardziej jawnie niż my do niczego nie zmierzają. A choć wiele z nich powstaje z naszego zamyślu i ma służyć zaspokojeniu jakichś naszych potrzeb, to potem jest tak, jakby te rzeczy i miejsca uwalniały się i odchodziły gdzieś od nas, gdzieś donikąd, popychane siłą własnego ciężenia oraz własnego istnienia. Chociaż ludzie często chcą, żeby wydarzenia toczyły się tak, a nie inaczej, ich zamysły zwykle się nie spełniają. Podobnie jest z rzeczami i miejscami – nawet jeśli pomyślane są przez nas celowo, ich ślepy i bezcelowy ruch świadczy o tym, że wyższy ład historii ludzi jest słabszy, a silniejsze są bezwład i chaos.

To, co tu mówię, może świadczyć, że ta moja książka jest trochę nieprzyjemna, nawet z autorskiego zamyślu, i pisana z jakimś krzywym uśmiechem. Jakby autor, uśmiechając się krzywo, mówił: przypatrzcie się, jak wyglądać i co z wami będzie. I pokazywał przy tym palcem na szubienicę. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Ale może taki krzywy uśmiech czytelnikom się spodoba.

W pana poezji też jest i rozpad, i potworność, ale melodia i rytm wprowadzają tajemnicę.
– To bardzo pochlebne, co pani mówi – że moje wiersze są tajemnicze. Może więc i „Wieszanie” okaże się książką tajemniczą. Zastanawialiśmy się z moją żoną, dlaczego w tej książ-

„Wieszanie zdrajców”, czyli insurekcja kościuszkowska 1794 roku widziana oczami Jana Piotra Norblina

ce tak często pojawiają się achtyrscy szwoleżerowie. Przecież w Warszawie stacjonowało wtedy wiele innych rosyjskich pułków, które brały udział w walkach. I doszliśmy do wniosku, że achtyrscy szwoleżerowie pojawiają się u mnie tak często, ponieważ w tych dwóch słowach jest ukryta jakaś fonetyczna tajemnica. Fonetyka tworzy tajemniczy obraz.

Mówiąc inaczej, w „Wieszaniu” włożyłem (mam przynajmniej taką nadzieję) moją fascynującą historię, jej obrazami i dźwiękami, a fascynacja jest zawsze znakiem, że istnieje tajemnica. Historia jest tajemnicza i właśnie to jest w niej najpiękniejsze, to nas w niej pociąga. Tajemnicze historii bywają wręcz zachwycające, oślniewająco piękne – jak zachwycająca była katastrofa amerykańskiego wahadłowca Challenger, której krótki opis kończy „Wieszanie”. Jaka piękna śmierć – rozlecieć się na kawałki w kosmosie. Może zresztą każda śmierć jest piękna, nawet w pocie i brudzie na szpitalnym łóżku, nawet na szubienicy, w pohabianieniu.

W losie ludzkim, nawet jeśli jest on najstraszniejszy, jest coś pięknego właśnie dlatego, że kiedy się do niego zbliżamy, dotykamy czegoś tajemniczego i nierozpoznawalnego. Nawet słowa, którymi posługujemy się, gdy o tym czymś mówimy – los, dola, Kery, Mojra – są tajemniczo piękne.

Czy rzeź może być piękna?

– Niech pani pomyśli o strasznej historii narodów Kaukazu, historii pełnej krwi, znacznie bardziej krwawej niż ta nasza ojczysta – ile okrucieństwa, jakie potworne rzezie i straszne, wręcz niewyobrażalne cierpienia. Ale kiedy czyta się u Lermontowa albo u Gribojedowa o wojnie Rosjan z Czeczenami nad brzegami Tereku w latach 20. czy 30. wieku XIX, to nad grozą i przerażeniem górę bierze wręcz zachwyt i pojawia się myśl, że to było coś niewiarygodnie pięknego. Ta potworność była piękna. Choć oczywiście rosyjskie rzezie były wówczas równie przerażające i odrażające, równie nikczemne i cyniczne jak te, na które patrzemy teraz. Może tamte w wieku XIX były nawet bardziej przerażające. A jednak mimo całej grozy, która od niej bije, historia ludzi jest piękna. Nawet ta najstraszniejsza, trojańska, opowiedziana w „Iliadzie” przez Homera też staje się piękna – kiedy Achilles wbija włócznią w szyję Hektora tuż nad obojczykiem. Śmierć Hektora to jest jakaś toksyczna opowieść – znieważone ciało wlezione w piachu wokół Troi, podziurawione nogi przywiązane ziemniami do rydwanu, głowa objająca się o kamienie. Można, czytając to, wpaść w depresję. A jednak znajduję przyjemność w myśleniu o tych scenach. Tłumacząc tę przyjemność tym, że jestem człowiekiem – czyli takim stworem, w którym wrodzone skłonności estetyczne dominują nad nabytymi skłonnościami etycznymi.

(W tym momencie coś spada z hukiem w kuchni, do pokoju wbiegają koty i zaczynają się dziko ganiać.)

Może to była kocia próba wieszania? Taka warszawska z ducha, czyli – jak pan pisze – dzika i radosna, a nie krakowska – marudna?

– Nawet dalsza ewolucja nie uczyni z kotów gatunku, który będzie wieszal, bo to są takie stwory, które z istnienia wybierają same przyjemności. One niczym innym poza przyjemnościami nie są zainteresowane. Kompletna obojętność na wszystko, co nie jest przyjemnością. Najmniejsza przykrość, nawet cień przykrości, nawet lekkie przeczcucie przykrości powoduje, że kot epikurejczyk wycofuje się i mówi: mnie tu nie ma, ja idę spać, śpię o tam i proszę mnie nie budzić. Obserwowanie kotów jest pouczające, gdyż prowadzi do wniosku, że wcale nie jesteśmy gatunkiem wybranym czy uprzywilejowanym, wręcz przeciwnie. Inne gatunki: koty, ślimaki, jeże, sosny, są lepiej ułożone w swoim istnieniu, lepiej się w nim mieszczą, a w dodatku są od nas znacznie ładniejsze.

Ludzie są dziwnym gatunkiem, który pokłócił się z własnym istnieniem i nie wie, jak w nim istnieć, bo się w nim nie mieści. Chciałby gdzieś wyjść, ale z istnienia wyjść się nie da. Wygląda na to, że to jest gatunek, który nie przetrwa – chcąc wydobyć się z własnego istnienia (które będzie mu coraz bardziej nieznośne), kiedyś odleci w kosmos i tam rozpadnie się na kawałki, drobne kawałeczki. A wtedy koty nauczą się otwierać i zamykać kaloryfery, obsługiwać elektronikę pieców gazowych i będą sobie tutaj bardzo miło spały.

Już wcześniej pisał pan o zgubnych efektach rozumu i oświecenia. A w „Wieszaniu” opis „perpetuum mobile” – maszyny skonstruowanej przez Trembeckiego – też wydaje się ironiczny.

– Poeta Trembecki ze swoją machiną latającą i ze swoim perpetuum mobile rzeczywiście jest w „Wieszaniu” postacią trochę komiczną. Ale z drugiej strony trzeba mieć na uwadze, że ten jego grodzieński wynalazek, to perpetuum mobile było jakimś kawałkiem – niewątpliwie aberracyjnym – ówczesnej myśli modernizacyjnej. A to właśnie ta myśl oświeceniowa, modernizacyjna doprowadziła wręcz do tego, z czym dzisiaj mamy do czynienia. Ta myśl stworzyła tutaj taki, a nie inny świat – świat maszyn latających, kosmicznych wahadłowców i pieców gazowych sterowanych elektronicznie. Żyjemy – czy to się nam podoba, czy nie – w świecie, który został zorganizowany przez myśl oświeconą i który jest przez nią podtrzymywany. To jest bardzo prosta myśl, ona mówi tylko tyle: więcej maszyn latających, więcej pieców gazowych, więcej elektroniki. Także więcej wolności, bo jak będzie więcej wolności, to będzie więcej elektroniki. Ta myśl na tym się wyczerpuje i na tym kończy.

Dobrze jest zdać sobie sprawę z tego, jaka jest trwałość stworzonego przez nią świata. Pokazał to całkiem niezłe ten zimowy huragan, który pojawił się w naszej okolicy kilka tygodni temu. Tutaj, w Milanówku, w pobliżu domu naszych sąsiadów, huragan obalił drzewo na ulicy, a drzewo upadło na przewody, no i natychmiast u sąsiadów skończyła się cała elektronika oraz elektryczność – wszystko wysiadło, komputery, żarówki, pralka, magnetowid, kuchenka mikrofalowa, odtwarzacze i tak dalej. Ale nie tylko wysiadło, bo to wszystko się spaliło, fazy zwarowały i wszystkie urządzenia elektroniczne oraz elektroniczne w jednej chwili uległy totalnemu zniszczeniu. A nie był to wcale jakiś wielki kataklizm, raczej był to huragan umiarkowany. Trzeba więc pamiętać, ile warta jest myśl modernizacyjna, jaka jest trwałość stworzonego przez nią świata – jeden mocny podmuch wiatru może tę całą konstrukcję przewrócić i rozwiać.

W książce mowa jest też o wybuchu Wazuwianu, który miał miejsce w tym samym roku 1794.
– Wybuchający Wazuwiusz jest w „Wieszaniu” dalekim temem lub może dalekim echem tych wydarzeń, które miały wtedy miejsce w świecie ludzi. Jest w tym jakaś analogia. Coś wybuchu – gniew motloch albo jakiś wulkan – i wszystko wysiada, cała oświeceniowa elektronika przestaje działać. Pewnie właśnie jakoś tak – takim wybuchem czegoś, co wybuchnie – skończy się nasz świat. To, co wydarzyło się w Warszawie w 1794, to był tylko przełbiek, konfiguracja tego, co może się zdarzyć. ■

Murakami – duchowość ponad religię



FOT. JEAN-LUC BEST/INOPRESS NEWS

Co nam w duszy gra?

Haruki Murakami przyrządził świetną i czytelną dla wielu pokoleń mieszaną kulturalną

Trudno sobie wyobrazić, że w latach 90. książki Murakami przechodziły w Polsce bez odzewu. Bo dziś cieszą się gigantyczną popularnością. I nikomu nie przeszkadza, że pisze wciąż o tym samym: o dojrzewaniu wewnętrznym. W dodatku im powieść dłuższa, tym lepsza. 600 stron nowej – „Kafka nad morzem” – oznacza dłużej przebywanie w jego świecie.

Murakami może wprawiać w zakłopotanie. Bo jako czytelnik jestem zachwyco-

- ● ● ● ● mistrzostwo
- ● ● ● ● na piątkę
- ● ● ● ● warto
- ● ● ● ● może być
- ● ● ● ● słabe
- ● ● ● ● dno

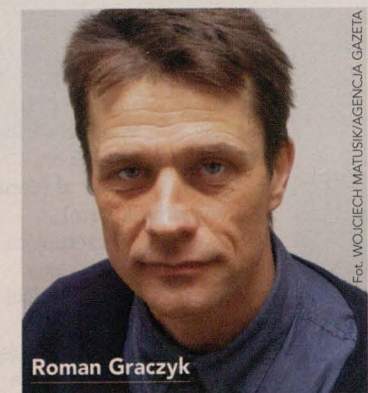
na, ale jako krytyk odczuwam bezradność. Po pierwsze, jego książki nie potrzebują przewodników. Murakami czerpie garściami z dorobku sztuki europejskiej i z popkultury w taki sposób, że trafia do różnych pokoleń. 30-latkowie wychowani na Spielbergu znajdują w najnowszej powieści odniesienia do filmów z dzieciństwa, do muzyki z lat 80., ale i do jazzu czy mistrzowskich wykonań Beethovena. Murakami mówi globalnym językiem wyobraźni i pamięci człowieka naszych czasów (Europejczyka w równym stopniu jak Amerykanina i Japończyka).

Po drugie, nie ma sensu tego świata opowiadać ani rozkładać na części pierwsze. Murakami pokazuje codziennie Murakami jest przekonujący, zwłaszcza że wokół tyle literacko-duchowej tandety. Każdy zresztą sam niech odpowie, czemu ta literatura tak działa. Bo o tym, że działa, przekonacie się już po pierwszej stronie „Kafki...”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



HARUKI MURAKAMI „KAFKA NAD MORZEM”, PRZEŁ. ANNA ZIELIŃSKA-ELLIOT, MUZA, WARSZAWA 2007, s. 224



Roman Graczyk

Życiorysy pod lupą
Roman Graczyk pokazuje, że czarno-biała rzeczywistość w teczkowych realiach nie obowiązuje

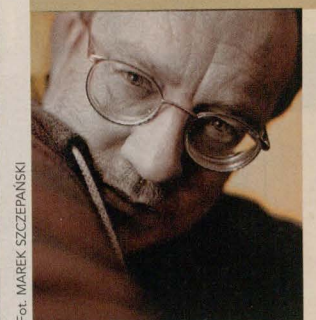
Cztery życiorysy, cztery osoby związane z krakowskim Zna-kiem i „Tygodnikiem Powszechnym” w różnym stopniu uwikłane we współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. Ich losy na podstawie zachowanych w IPN teczek bierze pod lupę Graczyk, odtwarzając przy okazji sposób działania bezdusznej maszyny SB. Wszyscy bohaterowie „Tropem SB” umiejtnie urabiani przez esbeków podpisali zobowiązania do współpracy. Jednemu udaje się szybko wyostać z pułapki, nie czyniąc nikomu szkody, drugiej podobnie – choć przy większym stopniu uwikłania. Trzeci bohater zabrnął jeszcze dalej, przekazując nawet pewne informacje, ale w końcu i jemu udało się powiedzieć „nie”. Postawa czwatego bohatera opowieści – pracownika administracji „Tygodnika Powszechnego” – budzi najmniej

wątpliwości. TW „Erski” był gorliwym współpracownikiem, sówicie oplacanym, którego esbecy nie mogli się nachwalić. Pytanie: którego oznac za agenta? To lektura dla wszystkich zainteresowanych rozliczeniami z pe-rełowską przeszłością, którym obca jest wizja hurralustracji. Stanowi trudny do podważenia dowód na to, że formalna współpraca nie zawsze oznaczała współpracę rzeczywistą, a będącą wytworem SB dokumenty mogą być wiarygodnym źródłem informacji nie tylko o czasach minionych, ale i o postawach ludzi, którym przszło w nich żyć.

GRZEGORZ RZECZYKOWSKI



ROMAN GRACZYK „TROPEM SB, JAK CZYTAĆ TECKĘ”, ZNAK, KRAKÓW 2007, s. 312



TADEUSZ NYCZEK

Czytanie na trawie

...czyli walentynki po polsku

Przyjaciółka redakcyjna, której biurko od mego biurka w naszym pokoju dzieli najwyżej metr, odwróciła się na krześle, spojrzała mi głęboko w oczy i wyszeptala bo-leśnie: – Ale napiszesz do walentynkowego „Przekroju” jakąś ludzką „trawę”, żeby choć trochę było o miłości? Ja wiem, że to wszystko bez sensu, ale...

Ja też wiedziałem. Szczerze mówiąc, każdy wie. Uprawianie różnych amerykańskich walentynek ma się do naszej słowiańskiej cywilizacji jak Święto Kupały do Radia Maryja. – No dobrze – mówię przyjaciółce. – Postaram się.

Przeglądam książki niedawno nadesłane. O, jest. Joyce Carol Oates, „Opowieść miłosna”. Autorka z górnej półki. Do tego Amerykanka, więc mamy i krainę walentynek. Książka z tych cieńszych, jakoś poradzę. Ale coś mnie tknęło. Patrzę – „Opowieść miłosna” to podtytuł! I zaraz zrobiło się gorzej, bo tytuł, którego zrazu nie zauważyłem, a który takimi wielkimi czarnymi literami był wypisany, brzmiał „Gwałt”. No niedobrze, wręcz fatalnie. Tu walentynki, a tam gwałt... Ale nic, czytamy. Natychmiast się wciągamy, bo pani Oates umie pisać tak sugestywnie, jakby wszystko działało się, czytelniku, tuż obok ciebie. Oto miasteczko Niagara Falls. 4 lipca, amerykański Dzień Niepodległości. Zabawa na całego. Robi się jednak późna noc. Pewna bardzo jeszcze atrakcyjna młoda wdowa zbiera 12-letnią córkę z plenerowej imprezy i idzie na skróty przez park do domu. Na swoje i jej nieszczęście. Po parku błąka się banda pijanych koleśków tylko czekających na taką okazję. Pobite dziewczynce udaje się ująć przed gwałtem. Matce już nie. Nazajutrz znajdują ją ledwo żywą. Dowody przeciw gwałciłcom znalezione przez policję są mocne i bezdyskusyjne. Jak dotąd książkę czyta się ze ściśniętym sercem. Ale dopiero rozprawa sądowa wywołuje w czytelniku prawdziwą furję. Bo rodziny gwałciłców za wielkie pieniądze angażują adwokatów jakiegoś rodzaju. Ten bez trudu – z ichym przyzwoleniem ludności miasteczka – odwraca kota ogonem i tak konstruuje obronę, że to właściwie zgwałcona okazuje się winna. Ha. Żadnych szans na miłe walentynki. Twarda ta Oates, bez dwóch zdań. Ale co to? Ze strony na stronę pisarka mięknie! Amerykański stereotyp narodowy żądający happy endu wygrywa z poważan-tą mścielą i zaraz zniemacka wszystko rzeško rusza ku ogólnej pozytywności. Więc jednak wygrały walentynki... Przyjaciółka redaktorka się ucieszy, pomyślałem. Zamknąłem książkę z ulgą, choć z lekkim absmakiem. No i po co mi było jeszcze czytać rekomendację od wydawcy na tylną okładce? Aby się dowiedzieć, że wydawca książki nie czytał? Bo z 4 lipca zrobił 14, a w głównym męskim bohaterze wcale nie matka, ale córka się kochała... Ech, polskie walentynki...

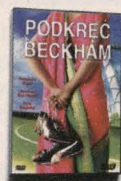
dvd



„Pułapka”,
reż. David Slade,
Best Film, 98’,
49,50 zł

Przestroga dla amatorów wirtualnych romansów

i lolitek. Dorosły fotograf umawia się na spotkanie z nastolatką. Choć niewiele tu krwi, bo przemoc jest głównie psychologiczna, film jest mroczny i przerażający jak ciemny las o północy. W sam raz na „Antywalentynki”. (SOL)



„Podkręć jak Beckham”,
reż. Gurinder Chandha, Best Film, 107’, 42 zł

Opowieść o żeńskiej drużynie piłki

nożnej. Nastoletnie Jess i Jules marzą o karierze sportowej. Niestety, rodzice tej pierwszej – z pochodzenia Hindusi – wolą, by córka podawała obiady mężowi zamiast piłkę koleżankom.

Chandha doskonale pokazuje dylematy ludzi adaptujących się do nowych warunków kulturowych. (SOL)

muzyka



Różni wykonawcy
„O tobie... o mnie... dla ciebie...”,
Universal, CD1:
74’43, CD2:
75’41, 34 zł

To ponoć składanka walentynkowa. Patrz: tandetnie romantyczny tytuł lub wyjaśnienie pomysłodawcy. To na pewno zestaw wskazówek, jaką piosenkę nagrać, żeby zaistnieć na



Bohaterowie „Step Up”: grają, że tańczą, choć lepiej tańczą, niż grają



„Step Up – taniec zmysłów”,
reż. Anne Fletcher,
Monolith, 100’,
39 zł

Ruch w rytmie muzyki łączy. Tu – aspirującą tancerkę z dobrego domu i ubożego chłopaka z ulicy. (SOL)

W tle rozbrzmiewają dramaty społeczne i miłosne. Film ma profil rozrywkowo-edukacyjny (nie rezygnuj z marzeń; trzeba walczyć, aby zostać kimś), ale ogląda się go przyjemnie. Nie przeszkadza nawet cokolwiek sztywna gra młodych aktorów, bo rekompensują ją miękkie ruchy bioder. (SOL)

antenie komercyjnego radia. Albo w supermarkecie. Schludni panowie, zachowawcze zespoły, miłe brzmienia, łzawe balladki, niby o miłości, po prawdzie – zupełnie o niczym. Z niewielkimi wyjątkami: Wilco, Suede, Magnet grający Dylana. Idealny walentynkowy prezent. Uśpi sympatię/ofiary. (AK)



Łona i Webber
„Miej wątpliwość”,
Asfalt Records,
10’50, 15 zł

Singiel zapowiadający premierę pełnego albumu rapersko-producentckiej spółki ze Szczecina. Obietnica solidnego wydawnictwa, Łona to wciąż jedna

z ciekawszych postaci na naszej sceny hiphopowej. (AK)



Little Man Tate
„About What You Know”,
V2, 36’37, 65 zł

Okrzyknięto ich kolejną po Arctic Monkeys nadzieją brytyjskiego Sheffield. Na wyrost, ale nie bez przyczyny. Podobna historia: to kolejny przypadek zespołu wypromowanego przez Internet. Podobna muzyka: kipiąca energią, gitarowa, melodyjna. Choć nie błyskotliwa. Treściowo też nie odbiegają od schematu: nocne życie, dziewczyny, imprezy, szara codzienność. Sympatyczne. (AK)

książki



„Historia kina polskiego”,
Tadeusz Lubelski (red.),
Fundacja Kino,
276 stron,
49,49 zł (cena za www.empik.com)

Ciekawa i dość wyczerpująca (lecz nie w lekturze) historia kina polskiego od zarania dziejów (1896) aż po dziś. Autorzy przystępnym językiem opisują i analizują kolejne dokonania naszej kinematografii, dodając

PRZEBOTE



KINO

1. „Dlaczego nie!”, reż. Ryszard Zatorski, widzów: 261 847 (w sumie: 645 115), Interfilm
2. „Noc w muzeum”, reż. Shawn Levy, widzów: 85 938 (w sumie: 184 680), Cinepix
3. „Pachnidło”, reż. Tom Tykwer, widzów: 72 257 (w sumie: 336 576), Gutek/Maxfilm
4. „Królowa”, reż. Stephen Frears, widzów: 38 367 (w sumie: 39 648), SPInka
5. „Krwawy diament”, reż. Edward Zwick, widzów: 35 131 (w sumie: 35 131), Warner

Widownia kinowa w okresie 26.01–1.02.2007 – Boxoffice.pl specjalnie dla „Przekroju”

BESTSELLERY merlin.pl

KSIĄŻKI

1. Stanisław Dziwisz „Świadectwo”, TBA
2. Patrick Süskind „Pachnidło”, Świat Książki
3. Ryszard Kapuściński „Cesarz”, Czytelnik
4. Ryszard Kapuściński „Heban”, Czytelnik
5. „Podróż z Ryszardem Kapuścińskim”, Znak

Tygodniowe zestawienie sprzedaży książek za okres 3–9.02.2007 według danych sklepu internetowego www.merlin.pl

BESTSELLERY

PŁYTY

1. Norah Jones „Not Too Late”, EMI/EMI Music PL
2. Nelly Furtado „Loose”, Geffen/Universal Music PL
3. Muzyka filmowa „Dlaczego nie!”, Izabelin/Universal Music PL
4. Zbigniew Książek, Piotr Rubik „Psalterz wrześnieowy”, Magic Records/Universal Music PL
5. Madonna „The Confessions Tour”, Warner Bros./Warner Music PL
6. Piotr Rubik „Rubikon”, MJM Music PL/Sony BMG Music PL
7. Ania „Kilka historii na ten sam temat”, Sony BMG Music PL
8. U2 „18 singles”, Mercury UK/Universal Music PL
9. Dżem „Pamięci Pawła Bergera”, Dżem/EMI Music PL
10. Marek Grechuta „Złota kolekcja. Dni, których nie znamy”, Pomaton/EMI Music PL

Lista OLiS – sprzedaż w okresie 29.01–4.02.2007

OLiS

OFICJALNA LISTA BESTSELLERÓW ZPAV

Lista OLiS przygotowywana jest na zlecenie ZPAV przez Instytut Pentor

bardzo cenne komentarze ówczesnej prasy. Obowiązkowe dla kinomanów. (SOL)



Antonina Kozłowska
„Trzy połówki jabłka”,
Otwarte, 272
strony, 24 zł

Literatura kobieca, do której soundtrackiem mogłoby być „Tamtego lata” grupy De Mono („Mieć więcej odwagi / By czegoś nie

stracić” i tak dalej). 30-letnia mężatka, mama dwójki dzieci, wraz ze spotkaniem dawnej miłości przeżywa serię rozterek. Czy jej życie byłoby inne, gdyby wyszła za innego człowieka? Czy można żyć podwójnym życiem? Odpowiedzi są odkrywcze jak piosenki cytowanego zespołu. (BP)

WSZYSTKIE CENY PRODUKTÓW PODAJEMY ZA SKLEPEM INTERNETOWYM MERLIN.PL



kończony

MULTIMEDIATOR

Z uniwersalnym pilotem zdalnego sterowania Logitech® Harmony® 885 Advanced okiełznasz najbardziej skomplikowany system rozrywki domowej. Po prostu wciśnij przycisk „Watch a DVD” a Harmony® 885 automatycznie włączy Twój telewizor i odtwarzacz DVD, ustawi odpowiedni kanał oraz wciśnie Play. Kolorowe grafiki, ikony i teksty na ekranie wyświetlacza sprawiają, że obsługa Harmony® 885 jest dziecinnie prosta.

Sprawdź dodatkowe funkcje i możliwości urządzeń Logitech® na stronie internetowej: www.logitech.pl/harmony



Designed to move you™



KUPOJEMY

KSIAŻKI JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

Sylwetka poety i eseisty na s. 70, poniżej o tym, co warto kupić w pierwszej kolejności.



„Żmūt”, 1987, wydanie przejrzone i poprawione 2005, 308 stron Pierwsza z kapitalnej serii książek o cielesnych i duchowych przygodach Adama Mickiewicza i jego współczesnych.



„Leśmian. Encyklopedia”, 2001, 445 stron Olśniewający polski poeta od A do Z przedstawiony – dla pożytku i przyjemności, nauki i podziwu.



„Cicho ciszej. Wybrane wiersze z lat 1963–2002”, 2003, 189 stron Blisko 200-stronicowy autorski wybór wierszy z dodatkiem w postaci płyty CD, na której Rymkiewicz czyta niektóre utwory.



„Do widzenia gawrony”, 2006, 80 stron Najnowszy tom wierszy poety z Milanówka. (MS)

ŻYCIE z „Przekrojem”

DZIENNIKARZE „PRZEKROJU” KOMENTUJĄ WYDARZENIA



czwartek, po 15.00
Blog FM



wybrane czwartki w Klubie Trójki, godz. 21.00



czwartek Popołudnik, godz. 15.00

„PRZEKRÓJ” W SIECI:

najlepsze tematy z „Przekroju” do czytania i dyskusji co tydzień



„PRZEKRÓJ” W TV TALK-SHOW PIOTRA NAJSZTUBA I JACKA ŻAKOWSKIEGO

środa TOK2SZOK, godz. 21.30

©2007 Logitech. Wszystkie prawa zastrzeżone. Logitech, Logitech logo, i inne znaki Logitech należą do firmy Logitech i mogą być zastrzeżone. Pozostałe znaki towarowe pozostają własnością odpowiednich podmiotów.

Klara i Jacek

Fragment najnowszej powieści
MANUELI GRETKOWSKIEJ „Kobieta
i mężczyźni”, która wkrótce
trafi do księgarń

W domu Klara myła w wannie zapiaszczone włosy. Splotowała pianę, zanurzając się pod wodę. Zastanawiała się, czy łatwo się utopić albo dlaczego samobójcy z foliową torebką na głowie nie zrywają jej w ostatniej chwili, gdy włącza się automatyczny pilot instynktu?

Samobójstwo to gwałtowna śmierć, ale dla tych, co zostają – pomyślała. – Przecież samobójca umiera powoli, miesiącami planując finał. Rzadko zdarzają się samobójstwa tak gwałtowne, impulsywne, że nieprzewidziane nawet przez tego, kto je popełni. Ktoś niemający nigdy samobójczych ciągów nie wiadomo czemu strzela do siebie albo skacze przez okno. Ledwie się pożegnał po udanej kolacji, śmiał się, wybierał na weekend i nagle koniec, bez powodu i symptomów. Może to jest zawał mózgu, skoro jest zawał serca? – Klara przecięła dłonią pianę. – Dlaczego ja o tym myślę? Przez cmentarz? Profesor umarł po dobrym życiu – znowu zanurzyła głowę, zmywając szampon. – To przez Jacka.

Najpierw udawał wesołość, teraz normalność. A ona słyszała smutek. Wyczuwała go z daleka, w podróży. Docierał do niej spod jego słów, z głębi nastroju jak podwodne skargi wielorybów. Melancholijne głosy niesione tysiącami kilometrów w oceanach. Podobno psy też słyszą infradźwięki, te najniższe i najwolniejsze, ocierając się o bezruch śmierci. Dlatego wyją, ostrzegając przed nią domowników, przed jej krokami, schodzącymi coraz niżej.

– Mogę? – Jacek wszedł do łazienki. Sikał, siedząc, nie lubił stać i wachać swojego moczu. – Idziesz spać? – sięgnęła po suszarkę. Wyglądał na zmęczonego, zaczerwienione oczy, zapadnięte policzki. – Jeszcze pooglądam, i tak się budzę w nocy, wolę się teraz pomęczyć.

Dotknęła szyi Jacka, pogłaskała punkt rozluźniający napięcie. Po jego nakłuciu wiotczej mięśnie, myśli kleją się sennie jedna do drugiej.

– Trzy igły i śpisz – zaproponowała. – Nie – odsunął się. – Nie działa, ostatnim razem nic mi nie pomogło. – Niemożliwe. – Nie chcę.

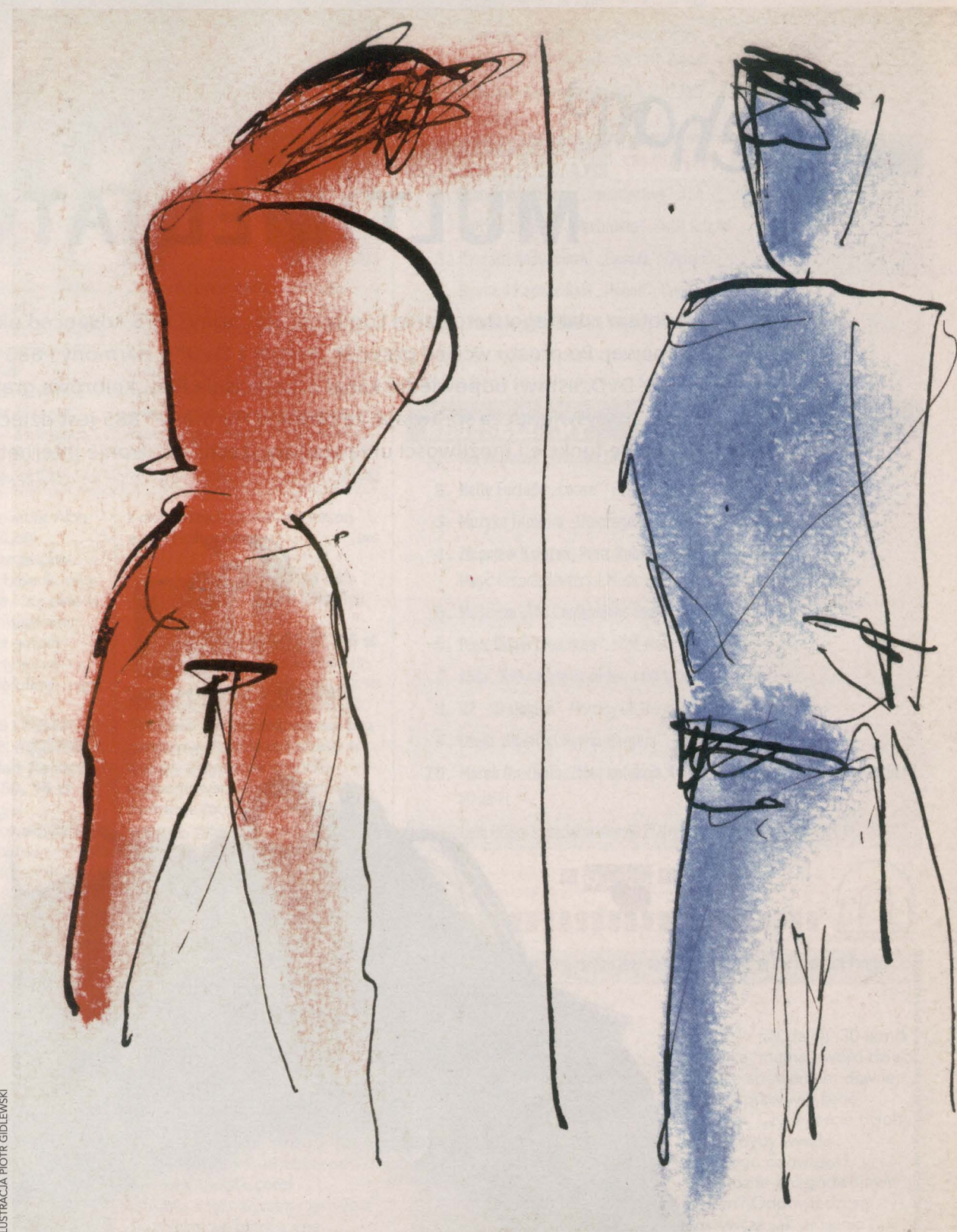
Unikał jej spojrzenia, dotyku. Na fotelu przed telewizorem mimo upału zwinął się kocem w ochronny kokon.

Skończył się jego ulubiony western, zaczął program z politykami. Ich wyuczone na kursie samoprezentacji kabotyńskie rozkładanie i składanie rąk. Przesadne gesty zamieniające rozmowę w audycję dla głuchoniemych – głusi na wszystko politycy i niema reszta oddzielona ekranem. Prowadząca spotkanie sławna dziennikarka miała w ustach grymas burdelmamy, co niejako już widziała, więc nie spodziewa się po gościach ludzkich odruchów. Róbcie swoje i wychodźcie, panowie, dobranoc.

– O czym oni mówią? – Klara w podkoszulku stanęła za Jackiem. – Tego się nie da słuchać – podeszła do półki z książkami poszukać *I-czing*.

– Słuchać? Nie ma czego słuchać, to żenujące odgłosy naszej demokracji – zmienił program.

Wichura, uderzając w okna, przesunęła talerz anteny. Zobaczył na ekranie nieznaną dzieło Warhola. Kobieta zapowiadająca pogodę powielana przeskokami obrazu. Być może ge-



ILUSTRACJA PIOTR GIDLEWSKI

nuszu Warhola polegał na pokazaniu zakłóceń w odbiorze. Przeszkód w ludzkiej komunikacji. Dlatego jego portret Marilyn Monroe, przypominający jękanie oczami, zawiera głęboko humanistyczne przesłanie?

– Co ty oglądasz? – Klara wzięła drugiego pilota i przełączyła na kablówkę, gdzie toczyła się tradycyjna fabuła obrazów.

Pocałowała Jacka w nieogolony policzek. Nie musiał oddawać pocałunku, wystarczyłby minimalny ruch głowy, że poczuł i przyjął go przez skórę, w krew.

– Nie siedź długo – poprosiła.

– Aha.

Położyła się do łóżka z książką. Białe ściany sypialni, pomalowane na białą deskę podłogi i mleczne zasłony z surowego jedwabiu były panoramicznym ekranem do wyświetlania snów.

Klara chciała znaleźć w *I-czing* – *Księdze przemian* fragment o kielkującym ziarnie. Czytała chińskich przepowiedni zachwalanych przez Kaweckiego wydawało się jej stosownie-

szę od modlitwy za jego duszę. Nie mogła się jednak skupić. Do każdego zdania przymierzała swoje małżeństwo. „Gdy męskie spotka żeńskie, następują »Początkowe trudności«, czego obrazem jest kielkujące ziarno” – nasze spotkanie było jedną, wielką trudnością – zgodziła się Klara. – „Trudności przemieniają się w czwartą przepowiednię »Młodzieńcza głupota«” – zaznaczyła palcem.

Dla kogoś z boku wiedli młodzieńcze życie bez zobowiązań. W pracy nie musieli słuchać szefów, nie dali się też zakuć w dyby kredytów. Póki spełniali swoje marzenia – podróże, urządzenie własnego domu, nie musieli się zastanawiać nad sensem tego, co robią. Mieli szczęście, ci z mniejszym zatrzymują się na marzeniach przed trzydziestką. Nie mogąc ich spełnić, wmawiają sobie, że szczęście nie polega na tym, czego nie osiągnęli, ale na tym, czego nie stracili; praca, rodzina, zdrowie. A mogliby stracić, gdyby szarpnęli się na to, czego chcieli jeszcze w połowie trzydziestki. Dociągając do czterdziestki, przestają marzyć i uznają to za sens życia. Po czym piją, żeby odważyć się na ćwiartkę, chociaż setkę marzenia, albo wpadają w depresję, żeby nie robić już nic. Zanim się wykończą, zazwyczaj zdążą przetrzczyć swoje nałogi, pokręcenie i beznadziejność na dzieci.

Klara i Jacek nie planowali dziecka, przynajmniej z początku. Od paru lat zostawili to przypadkowi, nie używając żadnych zabezpieczeń. Klara nie rozumiała heroizmu par decydujących się na sztuczne zapłodnienie. Zatrucie się hormonami i męką nieudanych prób. Zmieniając sobie podpaski, nie widziała w nich potonionej płodności, groźby jej utraty razem z menopauzą. Sprawdzała, czy razem z krwią wypływają skrzepy i ciało się prawidłowo oczyszcza.

Nie miała instynktu macierzyńskiego, wiedziała, że to się zdarza. Mija, gdy w pierśsiach płynie mleko, a w organizmie oksytocyna, hormon miłości.

Nie znała zadowolonych matek, wszystkie narzekały na ojców dziecka, dziecko albo siebie. Jeśli były szczęśliwe, to właśnie tym zwierzęco hormonalnym szczęściem odbierającym rozsądek. Ale gdyby zapytała o prawdziwe zadowolenie i spokój, straciły je. Joanna, jej najlepsza przyjaciółka, po urodzeniu dwójki dzieci wpadała z byle powodu w cichy szal. Nie krzyczała, nie rzucała talerzami. Dostawała czerwonych plam i tików nerwowych. Była teraz w ciąży z trzecim...

Klarze chodziło o spokój, kontrolę nad tym, co możliwe. Dziecko było zupełną niewiadomą. Jacek... łatwiej zniosłaby klótnie niż jego uniki. Od dwóch lat wpadał w chandrę, od pół roku miał zjazd nastroju. Pomagała mu akupunkturą. Cierpliwie się zgadzała, chociaż nienawidził klucia. Igły codziennie niby śrubokręty dokręcały mu poluzowane części w harmonijną całość. Udało się podnieść kąklki ust, pojawił się nikły uśmiech. Wystarczył miesięczny wyjazd Klary do Chin i po powrocie zastała go w jeszcze gorszym stanie.

Zajrzała znowu w *Księgę przemian*, po „Młodzieńczej głupocie” była piąta przepowiednia „Czekanie”.

– Co mi innego zostało? – odłożyła książkę.

Leżała w ciemnościach. Popłynęła jej łza, wzdłuż skroni na poduszkę, ze zmęczenia czytaniem, z żalu. Telewizor zgasł, za przynikniętym oknem szumiały topole, przeczesując miejski hałas.

– Śpisz? – Jacek położył się koło niej.

– Nie.

– Wiórka – powiedział smutno. Zamiast „kochanie” mówił do niej „Wiórka”, skracając wiewiórka. Była prawie ruda i chrupała twarde herbatniki, kruszyła nimi po domu, zostawiając w najdziwniejszych miejscach zapasy połamanych ciastek. Przyzwyczała się do nich, rzucając palenie przed dyplomem. Ich chrupanie uspokajało ją i zatykało głód. Przydawały się w szpitalu – dla dzieci były słodyczami, dla starszków pocieszeniem serdeczności. Mogła nimi częstować bez względu na schorzenie.

– Wiórka – powtórzył bezradnie.

Pogłodziła go po twarzy, po szorstkim podbródku. Przyłożył sobie jej dłoń do ust, pomyślała, że przepasza. Położyli się na boku, obejmowali gwałtownie, przedzierając do siebie przez zaporę ciała. Nie było w tym namienności. Zwykłe pragnienie zaspokajane małżeńską rutyną. Jacek nie miał w sobie zła. Był przez to pozbawiony skali, jaką dawał seks z Minoturem. Poniżającym Klarę i wynoszącym ponad przeciętną rozkosz dawaną przez sprawnych, przewidywalnych kochanków.

Po spazmie wspólnego, bezgłośniego orgazmu Jacek wtulił się w nią. Nie mógł zasnąć. O czwartej zadzwonił telefon, przyłożył go jej do ucha. Nie poruszyła się.

– Klara – wzięła ją za bezwładne ramię. – Joanna rodzi.

– Co? W taki wiatr? – nie mogła się wybudzić. – Zaraz, zaraz – obiecała jej przecież zniecierulenie.

– Zawiozę cię – Jacek sięgnął po spodnie.

– Bez sensu, ty śpij. Ma już skurcze, mogą nie zdążyć. Powiedz mi tylko, gdzie stanąć.

– Co za problem, plakietka jest w schowku przy kierownicy, wjedź na parking dla personelu, który to szpital?

– Prywatna klinika, ta co zawsze – Klara narzuciła sukienkę, sweter. – Tam nigdy nie ma miejsca, kurcze.

– Dostali abonament?

– Zazdrościsz?

– Dobrze ci było?

– Jak zawsze, abonament – pocałowała go w dłoń natartą jej zapachem.

Jacek się jeszcze uśmiechał. Chciałaby, żeby ten uśmiech odwlekał zakrzepnięcie jego twarzy w codzienną obojętność.

– Zapomniałaś – podała skózaną torbę po Kaweckim.

– Przecież to szpital – wzięła wąską torebkę z chińskim pudełkiem jednorazowych igieł.



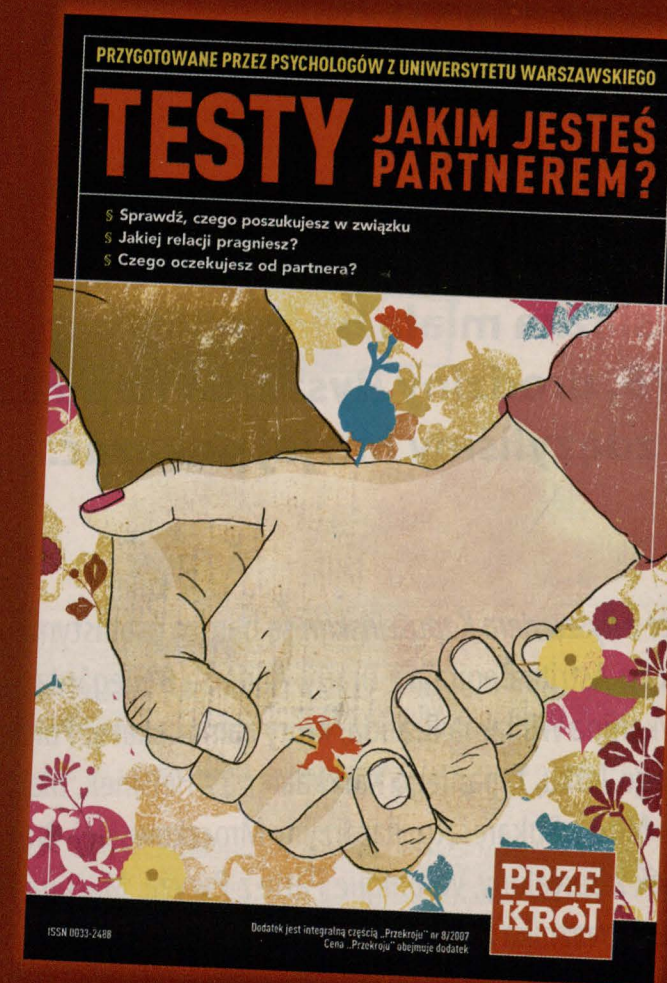
MANUELA GRETKOWSKA,
„KOBIETA I MĘŻCZYŹNI”,
WYDAWNICTWO ŚWIAT KSIĄŻKI 2007,
s. 272, W SPRZEDAŻY OD 23 LUTEGO

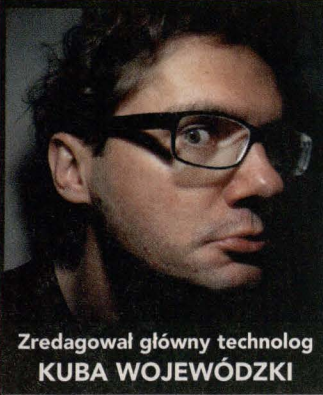
Sprawdź, czego poszukujesz w związku

Jakiej relacji pragniesz?

Czego oczekujesz od partnera?

Już za tydzień w „Przekroju” dodatek specjalny





Zredagował główny technolog KUBA WOJEWÓDZKI

Minus 1 - W pustyni i w puszczy, i w lesie

Znany i wielokrotnie habitowany na różnych uniwersytetach Jędrk Lepper znów miał wizję, przy których objawienia fatimskie to Bollywood. Tym razem wiceminister rolnictwa wyczuł, że traci grunt pod nogami i sympatię małorolnych, więc zaplanował wyeksportowanie ich do dalekiego kraju. Wicepremier - jak na kinga przystało - dogadał się z (też bezowym) królem Maroka i jął zachęcać krajowych obszarów do dzierzawy żyznej ziemi Afryki. Jak tak dalej pójdzie, za kilka lat w ramach protestów Lepper będzie wysypywał banany.

Minus 2 - Hej gay w NBA

No i gruchnęło pedałem jak gromem z jasnego nieba. Nawet Senyszyn nie przewidział tego, że on zstąpi i odmieni oblicze koszykówki. Tej koszykówki. Amerykańskiej. Ale od początku. Zawodnik NBA John Amaechi jako pierwszy w tym biznesie przyznał się, że jest gejem. W Stanach podniósł się szum, a w wielu klubach coś zupełnie innego. John zaczął sypać, że są też inni, co lubią wsady i bliskie starcia z asystą. Temu zwyrodniałemu koźlowaniu w czarnych parach przygląda się sędzia sądu ostatecznego Wojciech Wierzejki i podobno myśli o rzutach osobistych. Z Bosakiem.

Minus 3 - Abdul rozjemca

Wkrótce do Polski przyjechać ma król Arabii Saudyjskiej pan Abdullah, który uprawia u siebie ulubiony model rządzenia naszych milusińskich, czyli system totalitarny. Król ma w swych rączkach władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, a działalność partii politycznych jest zakazana. Pan Abdullah ma dać korepetycje naszym specom od monarchii dziecięcej, bo oni by chcieli tak samo. Plotki głoszą, że władca, któremu zawdzię-



Minus 4 - Każdemu według zasług

Skoro już o monarchii mowa, to do gry wstępnej z koroną przygotowuje się nasz Pan Prezydent Ukończony. Pod pretekstem utrudnień komunikacyjnych wynikających z remontu Krakowskiego Przedmieścia rodzina panująca planuje przeniesienie się na Zamek Królewski. Trwają spory, czy władca powinien zamieszkać w Apartamencie Wielkim, czy w Kaplicy Małej. Nam odpowiedź wydaje się prosta. I tak tradycje Rzeczypospolitej Obojga Narodów zajmie Rzeczpospolita Obojga Braci. Tusk i Rokita prawdopodobnie zajmą Cyta-tele. Dokładniej - X Pawilon.

Minus 5 - Trochę Andersena, trochę Jacksona

„Słyszała, jak rosną jej włosy. Te włosy dla dorosłych. Tato Marcjanny powiedział, że gdy dojrzej, złapie na te włoski spojrzenie Jednorożca”. Potem jest coś o Misiach, które lubią sobie dmuchać w trąbkę, i sporo o Jednorożcu, co to lubi się wieskać to tu, to tam. Takie bajki dla dzieci pisał rzeźnik prezydenta Kołobrzegu, poeta, bajkopisarz Piotr Iwański. Zamieszczał je w Internecie i z radości dmuchał sobie w trąbkę. Niestety, nadmorski Ezop stracił robotę w mieście, a rodziny z dziećmi na jego widok zamykają się podobno w latarni morskiej. Każda bajka powinna mieć charakter dydaktyczny.



czamy sfinansowanie operacji rozdzielania bliźniaczek z Janikowa, ma wreszcie wyłożyć kasę na rozdzielanie bliźniaków.

Minus 6 - Poszukiwany, poszukiwana

Sprawa Anety K. ze swym brakiem rozwiązania coraz bardziej przypomina sprawę zabójstwa Johna F. Kennedy'ego. Tyle że tam jednego ubyto, a u nas jednego przybyło. Niestety, wakat na stanowisku ojca trwa. Łąpanka także. Łyżwiński nie. Lepper nie. Hojarska też nie. Trwają rozmowy z Balcerowiczem i Terentiew.

Minus 7 - Masz, Jacku, placki!

Człowiek ogarnięty wehrmachtową biegunką oraz natręctwem billboardowym wreszcie zyska właściwą reklamę. Naczelny bułtner IV RP został pozwany przez agencję reklamową Just i dom mediowy Media Concept za uwikłanie ich w tak zwaną aferę billboardową. Afera polegała na tym, że Jacek na każdym słupie widział Tuska gorejącego korupcją PZU. A wszystko to przez hasło „Stop wariatom drogowym”, które Jacuś pomny swej ciernistej drogi życiowej wziął do siebie. Agencje, które miały kompleksowo obsługiwać PZU, obsłużą teraz kompleksy Jacka.



Minus 8 - Taniec z problemami

Najsukuczniejszą trampoliną sukcesu oprócz brata bliźniaka (wiadomo), bzykania w toalecie (wiadomo - Doda) czy dylowania własnego dziecka jeszcze w postaci embrionu (Wiśnia) jest od kilku sezonów program „Taniec



Minus 10 - Przybieżeli... itd.

Przyjacieli i mecenas młodych mężczyzn arcybiskup Paetz okazał się właścicielem luksusowego apartamentu za milion euro w najdroższej dzielnicy Rzymu. I pomyśleć, że zaczęli od stajenki...



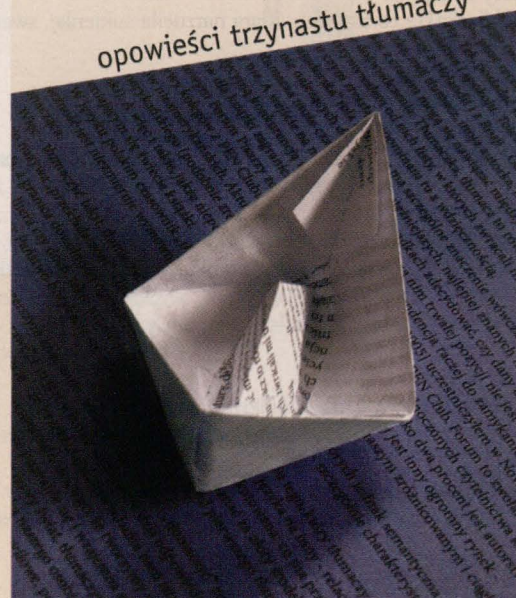
WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

Ta książka miała być prezentem-niespodzianką na 75. urodziny Ryszarda Kapuścińskiego. Nie zdążyliśmy Mu jej pokazać.

Podróże z Ryszardem Kapuścińskim

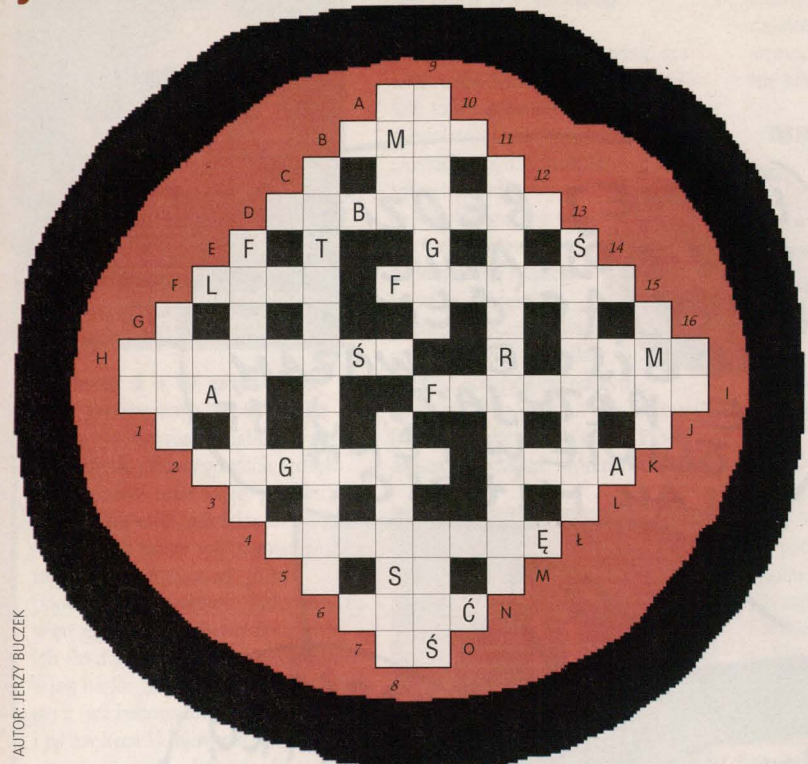
opowieści trzynastu tłumaczy

Podróże z Ryszardem Kapuścińskim są bardzo osobistymi opowieściami jego tłumaczy: Astrita Beqiraja z Tirany, Andersa Bodegård z Sztokholmu, Amerykanina Williama Branda, który zamieszkał w Polsce, Klary Głowczewskiej z Nowego Jorku, Tapaniego Kärkkäinen z Helsinek, Błagowesty Lingorskiej z Sofii, Mihaia Mitu z Bukaresztu, Katarzyny Mroczkowskiej-Brand z Krakowa, Agaty Orzeszek z Barcelony, Véronique Patte z Paryża, Martina Pollacka z Wiednia, Dušana Provaznika z Pragi i Very Verdiani z Florencji. Kapuściński był dla tej trzynastki nie tylko mistrzem, ale i bliskim człowiekiem.



WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA S.A., UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA. TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01
 PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierala (napierala@przekroj.pl), WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU”: Ewa Regiel-Bydlowska (regiel@przekroj.pl) ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk (jacek.kowalczyk@przekroj.pl) SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska (magda.gedziorska@przekroj.pl), Marcin Sendek (marcin.sendek@przekroj.pl), Maria Swietlik (zastepca@przekroj.pl) DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Mysliuk (anna.mysliuk@przekroj.pl) SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska, Anna Romotowska, tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594, DYREKTOR BIURA REKLAMY: Agnieszka Ziemińska Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY: Malgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz DYREKTOR BIURA REKLAMY: Agnieszka Ziemińska Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY: Malgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz PROMOCJA „PRZEKROJU” promocja@przekroj.pl, Iwona Zabielska-Stadnik - dyrektor, tel. 584 25 22; Anna Wyszowska - Product Manager, tel. 584 25 74; Magda Kotowska, tel. 584 22 96; PNUMERATA WYDAWNICZA - zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn-pt, godz. 8-16). DZIAŁ REKLAMY - PRZEKROJU: reklama@przekroj.pl, Malgorzata Gołba - dyrektor, Artur Dudek, Agnieszka Marcisz -172, Anna Opaszała, Malgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN-PT, GODZ. 9-17). Dodatkowe informacje i reklamacje TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN-PT, GODZ. 9-17). PNUMERATA@PRZEKROJ.PL, PNUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL PRZEZ POCZTĘ - PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU PRZEZ RUCH SA - informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32
 ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P, 00-480 WARSZAWA. TEL. (0-22) 584 25 33 FAKS (0-22) 584 25 21 WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl
 REDAKTOR NACZELNY: Mariusz Ziomecki (mariusz.ziomecki@przekroj.pl) ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk (jacek.kowalczyk@przekroj.pl) SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska (magda.gedziorska@przekroj.pl), Marcin Sendek (marcin.sendek@przekroj.pl), Maria Swietlik (zastepca@przekroj.pl) DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Mysliuk (anna.mysliuk@przekroj.pl) SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska, tel. 584 25 25 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Bartek Chaciński (szef), Tadeusz Nyczek, Malgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska KRAJ: kraj@przekroj.pl, Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastepca), Sylwia Czubkowska, Juliusz Cwieliuch, Joanna Gorzelinska, Agnieszka Jędrzejczak, Cezary Łazarewicz, Milena Rachid Chehab, Aleksandra Pawlicka, Grzegorz Rączkowski, Krzysztof Szczepaniak, Anna Szulc, Paweł Wierczok ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Wawrzyniec Smoczyński (szef), Marcel Andino-Velez, Agnieszka Chądzyńska, Joanna Woźniczko; stałe współpracujacy: Jonatan Cook (Jeruzolima), Piotr Kowalczyk (Rzym), Brendan O'Neill (Londyn) NAUKA: nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Piotr Kossobudzki, Piotr Stanislawski ROZMAITOŚCI, KRZYŻOŁÓŻKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński (jacek.ziemiński@przekroj.pl) PRACOWNIA GRAFICZNA: Beata Ciuś, Piotr Gidlewski, Maria Klich, Adam Szymański, Krzysztof Zakrewski FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Jakub Dąbrowski, Bogdan Kręzel, Olga Piłśniak, Marek Szczepaniak KOREKTA: Sylwia Raczynska (szef), Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Wanda Laczmarek (szef), tel. 584 25 51, Dominika Bok, tel. 584 25 61 OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meant

JOLKA NR 7



PANI JOLKA

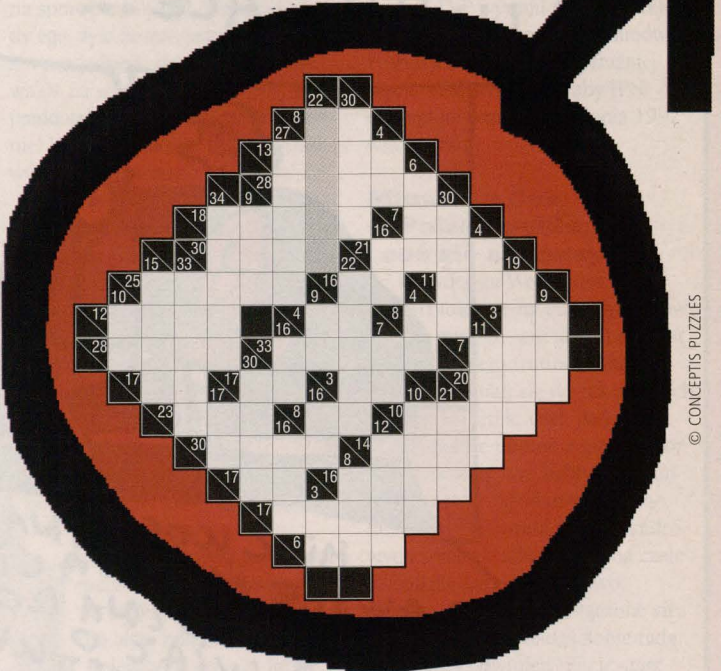
Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasła:

14. F10_D11_L6_K6_C8_K12_G13_I13_C6_L8_H16_G9_G11_I11_D9_H1_F11_I1_H8_I_A9_N8_H6_D10_J6_J8_I13_I_G4_D12_K11_B7_N9_G6_I_F9_L5_N7_I15_F5_K9_O8_I12_J2

- WYRAZY 12-LITEROWE:**
- TO I MONTOI, I MASSY KONIK
 - TYLE CO DWIE CIAŻE
- WYRAZY 8-LITEROWE:**
- POCIĄGA KARNISTÓW W ZIMIE
 - PODBIAŁOWIEŚKA KRZYŻÓWKA
 - RAJSKI KOSTUMER
 - CAŚANOVA GUMOWYCH RUREK
 - NIEPREZYDENT NA SETCE
 - BYWAJ ZDROWIE, OJCZYŻNA MNIE WOLA
- WYRAZY 7-LITEROWE:**
- MYSZ SIĘ NA NIE NIE DOSTANIE
 - SERCA DO ZDOBYCIA
 - PODNOŚI FOKI
 - NIELEGALNY KREWNY SOPLICY
- WYRAZY 4-LITEROWE:**
- MIĘDZY JARKĄ A DOJARKĄ
 - ULICÓWKA SPOKOJNA
 - WIELODROŻNICA WESOŁA
 - PORĄŻKA ZERA
 - JEDNAKA, GDY DWÓCH LUB DWIE (A GDY DWOJE, TO NIE!)
 - STO POCIECH PO PACHY
 - NIE MIAŁ TAJEMNIC PRZED PETRONIUSZEM
 - ADRIATYCKIE ZEBERKO
 - W WALENTYNKI MIERZY WIĘCEJ
 - FACET OD KROKODYLA
 - NOSZONE PO POSTRZYŻYNIACH
- WYRAZY 2-LITEROWE:**
- 24 NAD PRL
 - MARKA Z KRAMU DINGS
 - Z CZCI W NOMIE RAD
 - MINIMANKO MANON
 - TROCHĘ MOSIĘZNEGO NIEPRZEKONANIA
 - KRÓLOBÓJCA W RĘKAWIE
 - NAJSŁODSZA WYTWÓRNIŁA
 - DO SIĘ NAD NIE WYWYŻSZA

KAKURO NR 7

PAN KAKURO



Uzupełnij diagram, wpisując w puste kratki cyfry od 1 do 9 tak, aby w każdym poziomym wierszu i w każdej pionowej kolumnie suma wpisanych cyfr była równa liczbie w czarnej kratce. Odpowiedzią jest pięć cyfr w zaznaczonej kolumnie.

ROZWIĄZANIA Z NR. 5

JOLKA: Z UST SUŁ SIĘ Z PYTLA SŁÓW STRUMIENI UPSTRZONY (ze „Starego kościoła miechowskiego” Norberta Bonczyka).
Rzędami: sstruisky, igloo, przekąs, Mombasa, kujonstwo, cyfrak, riksza, antidotum, osadnik, wieczór, tęcka, espresso.
Kolumnami: chałwa, ogrody, fitness, sobaka, dozór, sukno, tupaj, torus, obrus, uczeń, imadło, Sykstus, zniżka, Wszola.

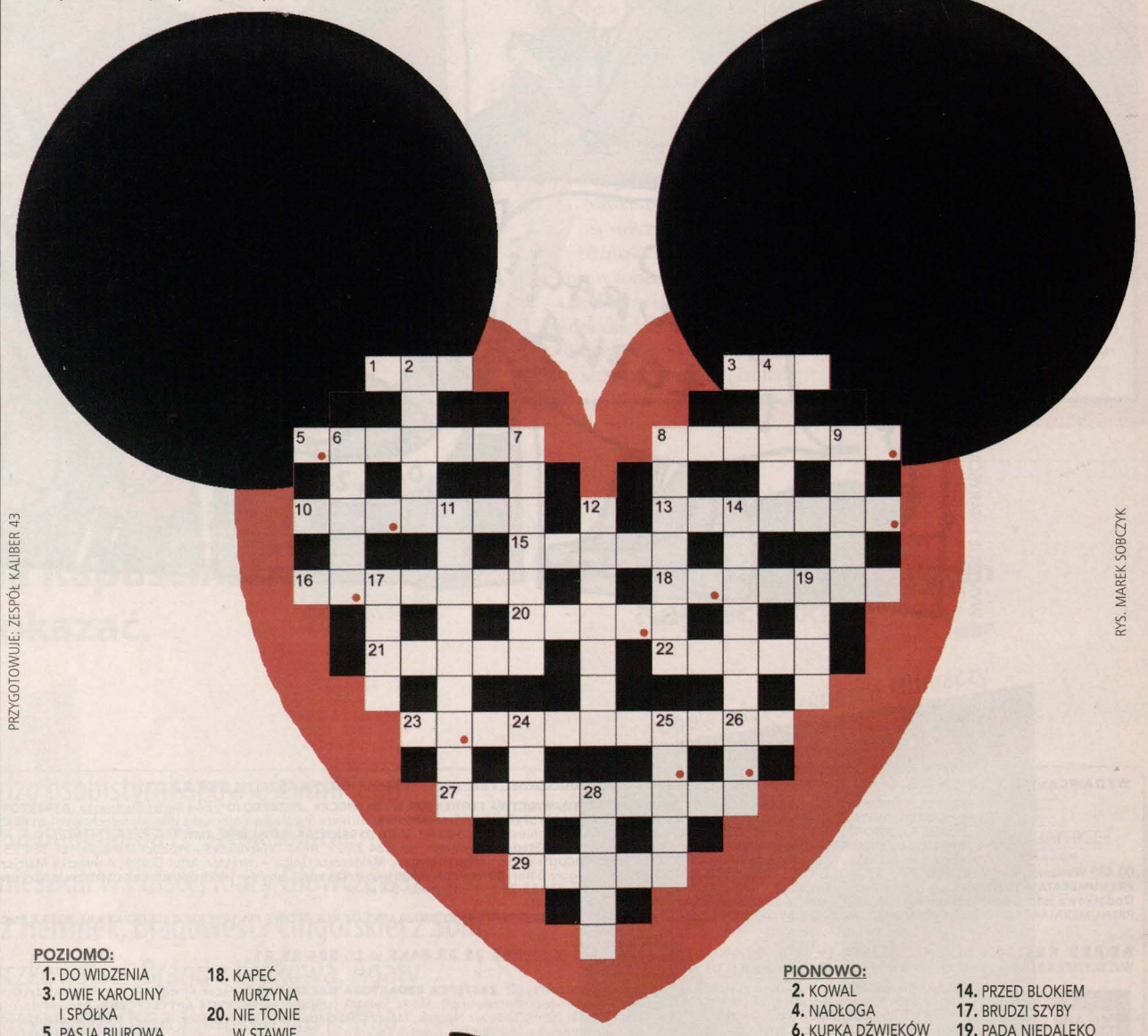
KRZYŻÓWKA: NIEBORAK
Poziomo: 1. błotnik 4. szpik 7. blondynka 8. żywot 9. atmosfera 12. batuta 13. knedel 15. reumatyzm 18. krowa 19. towarzysz 20. teatr 21. różnik

REBUS: TALIZMAN

KAKURO: 1234

KRZYŻÓWKA NR 7

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



- POZIOMO:**
- DO WIDZENIA
 - DWIE KAROLINY
 - PASJA BIUROWA
 - PIERWSZA PO BOGU
 - SSIE KRĘCI
 - LATARNIK NAD NIEMNEM
 - W KOMINIE SIĘ O
 - BURAK W „TY BURAKUI”
 - KAPEĆ MURZYNA
 - NIE TONIE W STAWIE
 - WIELKA URSYNOWSKA
 - NADGŁÓWEK
 - OCHRONIACZ
 - TRWAM
 - OKOLICZNOŚĆ ŁĄGODZĄCA
- PIONOWO:**
- KOWAL
 - NADŁOGA
 - KUPKA DŹWIĘKÓW
 - BRATNIA DUSZA
 - KEADZIE SIĘ PRZED POCIĄGIEM
 - CHOROBAK
 - NIUŻYWEK
 - PSTRYK ZE STANOWISKA
 - PRZED BLOKIEM
 - BRUDZI SZYBY
 - PADA NIEDALEKO OD JABŁONI
 - DRZEWO NIEDZIELNE
 - MANNA Z NIEBA
 - ZAMKNIĘCIE NA STO LAT

LAUREACI Z NR. 3

JOLKA: Jadwiga Eweritt, Koszalin; Krystyna Kerber, Poznań; Agnieszka Majewska, Łódź; Marta Szymula, Lublin; Sabina Walczak, Zapolice.

KRZYŻÓWKA: Barbara Hadasik, Olesno; Irena Machowska, Kraków; Maurycy Mikita, Hrubieszów; Maria Nosowska, Wierzbica; Grzegorz Tomoński-Malinowski, Cigacice.

REBUS: Krzysztof Bak, Toruń; Piotr Gaclik, Poznań; Małgorzata Husar, Wrocław; Krzysztof Kadyło, Wrocław; Antoni Ziemba, Tychy.

KAKURO: Bożena Kowalska, Kraków; Maria Lapott, Wrocław; Filip Lis, Elbląg; Urszula Matuszek, Gliwice; Jacek Stychno, Sosnowiec.

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em!

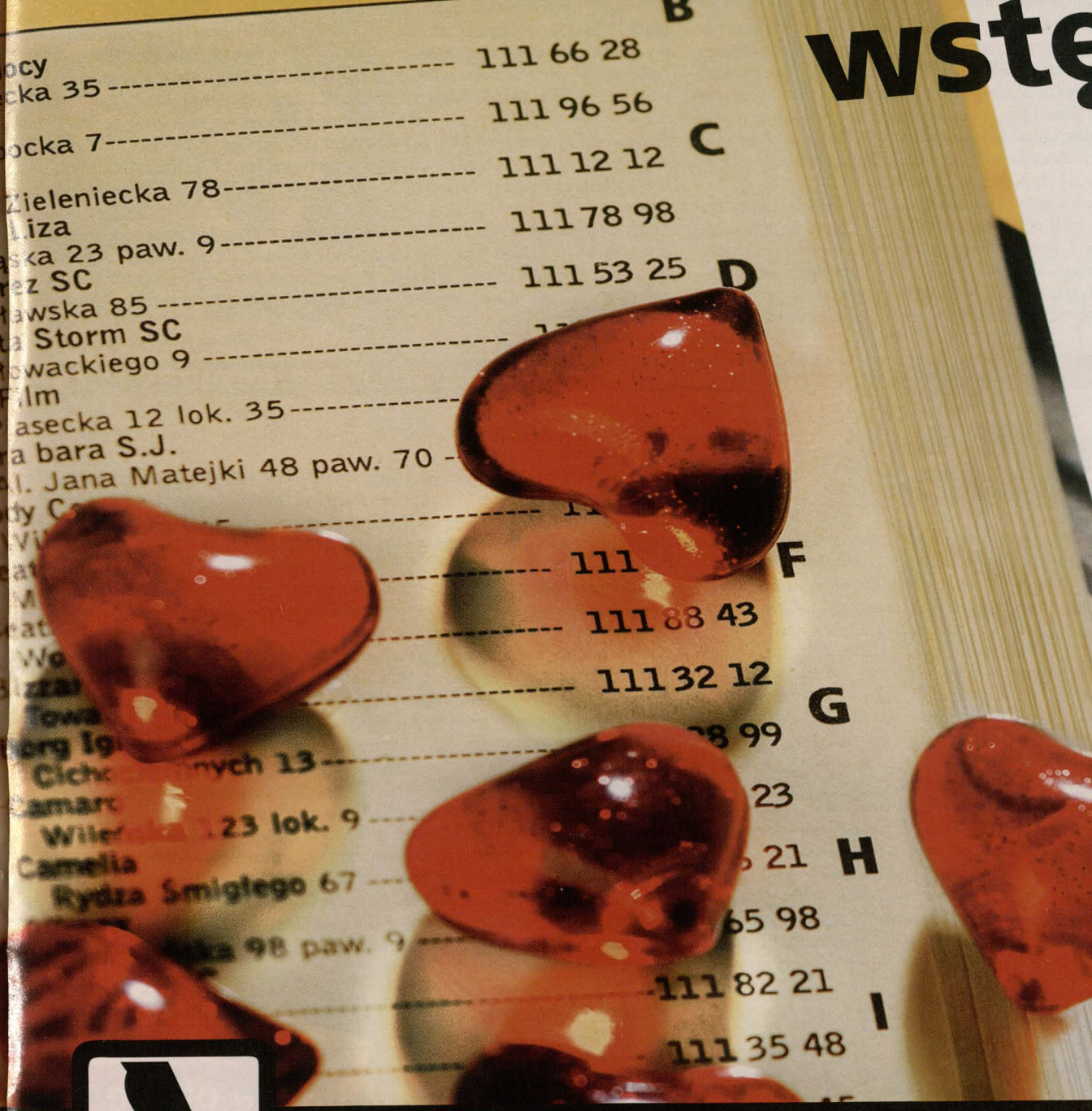
Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO JOLKI lub PRKK.HASLO KRZYZOWKI lub PRKK.5 CYFR pod numer 72070 (netto: 2 zł; brutto: 2,44 zł/SMS). Spośród czytelników, którzy do niedzieli 25 lutego nadesłają prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), wyłonimy 20 zwycięzców, którzy otrzymają książkę Tomasza Konatkowskiego „Przystanek śmierć” (W.A.B.).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem jolka 7 / krzyżówka 7 / kakuro 7

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

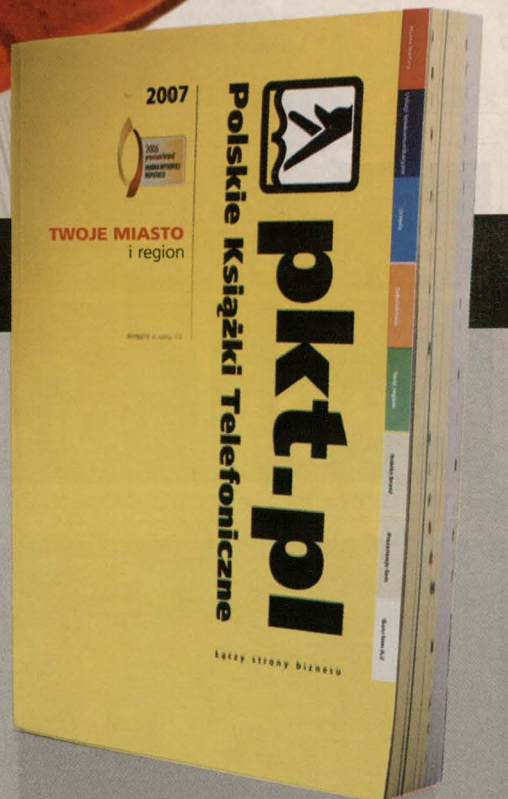
Sex shopy

bez gry wstępnej



www.pkt.pl 0 801 88 66 66

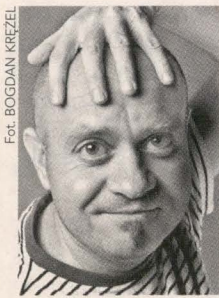
Zamiast tracić czas na żmudne poszukiwania, sięgnij do **pkt.pl**. Nasza książka teleadresowa oraz serwis internetowy to niezawodna baza najbardziej aktualnych, wygodnie pogrupowanych kontaktów do firm i instytucji. Zawsze służy Ci nieodzowną pomocą – zarówno w sprawach biznesowych, jak i prywatnych. Z nami znajdziesz dokładnie to, czego szukasz. Szybko i na temat.



pkt.pl wszystko i w porządku



Przyjaźnie w polityce to prawdziwa rzadkość. Zbyt dużo decyzji, zbyt wiele pokus, zbyt łatwo o istotną różnicę zdań



A gdyby cały ten BOR zaczął nam porządkować kraj?

Dymisje stalinowskie i churchillowskie

Mało wydarzeń w polskiej polityce było tak zaskakujących jak dymisja Ludwika Doma. Szok był ogromny, bo Doma nazywano „trzecim bliźniakiem”. Ze względu na zażyłość, by nie rzec wręcz przyjaźń z Jarosławem Kaczyńskim. Ale także dlatego, że były szef MSWiA był kimś w rodzaju „strażnika świętego ognia” w środowisku dekomunizacyjnej prawicy. Jako erudyta, chętnie spoglądający na innych z góry intelektualista, uchodził za ideologa tej formacji. Nigdy nie miał ambicji, by zastąpić Kaczyńskiego, ale też – jak rzadko kto, jeśli nie tylko on – potrafił mieć inne zdanie niż guru Prawa i Sprawiedliwości.

Konflikty między przyjaciółmi, a przynajmniej ludźmi sobie bliskimi, nie są w polityce rzadkie, acz zawsze emanują czymś smutnym. Duet Doma i Kaczyńskiego trwał najdłużej. Ryszard Bugaj i Tomasz Nałęcz już dawno zdążyli się znienawidzić, Jan Olszewski i Antoni Macierewicz wspólnie zakładali kilka partii, które potem rozrywali między siebie, a Donald Tusk i Jan Rokita ochłodzili swe wzajemne relacje do temperatury syberyjskiej. Także zgrana – wydawałoby się – drużyna dawnych liderów postkomunistów w końcu skoczyła sobie do gardeł. „Męska przyjaźń” zamieniła się w zaciętą walkę samców o przywództwo w stadzie.

Niestety, przyjaźnie w polityce to prawdziwa rzadkość. Zbyt dużo decyzji trzeba w tej branży podejmować, zbyt wiele pokus czyha wokół, zbyt łatwo o istotną różnicę zdań. Warto jednak zauważyć, że rozstania polityków mogą mieć aspekt, o którym – w kontekście upadku Doma – nie wspominało. Tutaj dominowały raczej opinie, że oto opanowany żądzą absolutnej władzy Kaczyński pozbywa się przyjaciela, bo ten miał odwagę mieć własne zdanie i nie był wystarczająco pokorny i oddany.

Przybywaj, BOR-ze, któryś opoką naszą!

Jest najbezpieczniej od lat, spadają wskaźniki przestępczości, w spokoju i z elegancją godną lepszej sprawy rezygnują ministrowie spraw wewnętrznych, a przecież gdyby byli potrzebni, toby nie rezygnowali. W pierdlach siedzi tylu tych złoczyńców, że się ledwie mieszczą. I ciągle to mało. Jeden szef policji nie żyje, a wyjaśnienia jego śmierci jak nie było, tak nie ma... Kolejny ledwie co się podał do dymisji, już zażądał ochrony i ponieważ zasadnie zażądał, to zasadnie dostał. Człowiek, do którego celowano jego własną wanną, ochronę dostał. Co który speka – BOR pędzi na sygnale albo bez. Kota prezesa, czyli premiera zawieźć – gnają. Z teczkami kulolapnymi się obnoszą, kiedy prezydent wojsko polskie wizytuje i proszę, coś musiało być na rzeczy, jakoweś zagrożenie – ministra od tego groźnego wojska już nie ma.

BOR stosuje też nowinkarskie techniki kamuflażu. Kiedy prezydent Lech Kaczyński był na meczu (a nikogo tak ludożerka nie kocha jak prezydenta kibica swojaka), przebrali go za kibica, obwiązując go szalikiem kibiciarskim (wokół szyi, nie wokół kibici). Nikt go dzięki temu nie poznał, a więc i nie ukrzywdził.

Co prawda czasami i BOR przedobrzy, tu walnie w jakieś cinquento z paniusią, co na zielonym pewnie sobie posuwa, tam przy osłanianiu ojca świętego Benedykta terenowe bmw wywali. Ale to drobiazgi. Jak kelner jaja sobie robi w necie i pisze, że otruje władzę naszą najwyższą (w sensie konstytucyjnym najwyższą), to stan gotowości jest jak erekcja w marzeniach impotentu – nie

na czczo IGORA ZALEWSKIEGO

Ta interpretacja wygląda całkiem przekonująco. Ale spróbujmy spojrzeć na to z innej strony, posługując się historycznymi przykładami z pierwszej połowy XX wieku. Nad Europą górowało wówczas trzech polityków budzących dzisiaj zupełnie odmienne skojarzenia: Stalin, Hitler i Churchill. Stalin był wobec swych kolegów (słowo „przyjaciel” jakoś do niego nie pasuje) bezwzględny i okrutny. Chęć potwierdzić swe jedynowładztwo, szczególnie brutalnie miażdżył każdego, kto chociaż przez chwilę był jego partnerem, a nie oddanym sługusem. Zresztą i sługusy nie mogły być pewne swego losu.

Hitler był pod tym względem zupełnie inny. Przywiązywał się do ludzi, z którymi przeżył „heroiczny” okres narodowego socjalizmu (z małym, acz krwawym wyjątkiem Ernsta Röhma). Oczywiście nie dawał im sobie wchodzić na głowę, ale był wobec nich wyrozumiały i opiekuńczy. Zdaniem historyków ta ludzka cecha osobowości Hitlera zemściła się na nim. Führer tolerował bowiem na szczytach III Rzeszy ludzi kompletnie niewydolnych, do których był jednak przywiązany. Najlepszym przykładem tej słabości jest Hermann Göring, który metodycznie rozkładał Luftwaffe, ale jej wodzem był właściwie do samej kłeski. Hitler widział jego groteskowość, ale go lubił. To było zabójcze i dla niego, i dla „Tysiącletniej Rzeszy”.

Z kolei Winston Churchill – najsympatyczniejsza postać w tym gronie – bez zmuszenia oka poświęcał przyjaciół, gdy dochodził do wniosku, że nie dają sobie rady na jakimś stanowisku. Popijając whisky, dymisjonował kumpły – ministrów i generałów, a jego biografowie widzą w tym dowód wielkości Churchilla i wyższości nad Hitlerem.

Czy dymisja Doma ma charakter „stalinowski”, czy „churchillowski” – to trudno dzisiaj orzec. Większość komentatorów skłania się ku tej pierwszej opcji. I pewnie mają rację. Ja tylko chciałem zauważyć, że czasem wierność wobec przyjaciół jest dla polityków balastem, a bezwzględność wobec nich – zaletą. Czyli zupełnie na odwrót niż u normalnych ludzi.

żem i wobec ROMANA KURKIEWICZA

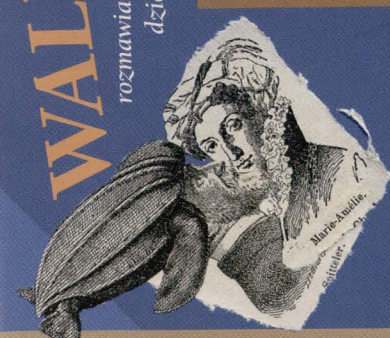
ustępuje przez dwa tygodnie. I dobrze. Mało, że nikt nie zszedł, to jeszcze się nikt nie zatrul.

A gdyby tak cały ten BOR zaczął nam porządkować kraj? Tu sprawdzić, czy nie trują, tu, czy nie czują, tam, czy nie czatują (uczniowie na przykład na czatach erotycznych, co do cięż małeletnich gimnazjalistek wprost prowadzi)? Gdyby pojechali zamiast wywiadu wojskowego do Afganistanu, żeby tych żołnierzy, co przedtem przed nimi prezydenta obronili parasolkami przeciawomowymi (o sorka, zdradzam kuchnię antyterrorystyczną), teraz obronili przed zagrożeniami w Hindukuszu? Przed tymi talibami, o których się Macierewiczowi w teczkach nie wyczytało. To by było!

I jeszcze jedna nadzieja się we mnie budzi, kiedy o BOR-ze się rozmarzam. Prezydent Lech Kaczyński wystąpił w obronie Doliny Rospudy. Przyłączył się do społecznego i eksperckiego sprzeciwu wobec buldożerów niejakiego Szyszki, zakamulowanego (uwaga, uwaga!) ministra budowy obwodnic biegnących przez unikalne w Europie ekosystemy prawem chronione. Wspomniany Szyszko, który działa pod przykrywką ministra ochrony środowiska, ma gdzieś prezydenta RP, organizacje ekologiczne, ponad tysiący Polaków protestujących przeciwko budowie obwodnicy i Komisję Europejską, która grozi wielomilionowymi eurokararami. Głęboko gdzieś. I zaraz się rozpocznie wycinka Szyszki, czyli drzew. Ale jak tam z nami pojedzie przykuć się do tych drzew prezydent RP (zgodnie z sumieniem obywatelskim i głoszonymi poglądami), to przeciw broń Rospudy będzie BOR! I on buldożerem Szyszki stał się czoł! I on, ten BOR, nas weźmie pod swoją BOR-owską obronę! Broń, BOR-ze, prezydenta w Dolinie Rospudy, BOR-ze, daj nam i Europie całej, i światu dolinę nieskałeczoną. Nie bądź, BOR-ze, taki BOR absconditus, znaczy ukryty, broń nas w święte dnia i na widoku kamer! Na sygnale czy bez.

WALENTYNKI

A co na to dzieci?
rozmaślana Katarzyna Stoparczyk, dziennikarka radiowej Trójki



Rafał Bryndał A JAK KOCHAĆ

Jeśli Grecja, to na dwa tygodnie
Ostzy psa – raz na rok przynajmniej
Przez trzydziestką sukces w branży odnieść
Latem łódkę się czasem wynajmie

Wizjanie się co weekend w trupa
Na zielonym przechodzić ulicę
Podczas szkoleń w pracy się wygłupiać
Jak kochać, to na całe życie

finansowo do pierwszego przetwra
posłem zostać na jedną kadencję
W trampkach wiosną, zimą chodzić w swetrach
Do rodziny wpaść na dzień, nie więcej

W dwie godziny w tygodniu na język
Wiersze pisać wyłącznie o świecie
Nigdy nie dać się komuś uwięzić
Jak kochać, to na całe życie

Podczas burzy zamknąć się w łazience
Zrzucić wagę w ciągu trzech miesięcy
Nie za wcześnie znaleźć się na rencie
Cały kwartał z remontem się męczyć

W środę piłka, a piątek bez mięsa
Na imprezy wymarzony – styczeń
Wieczorami na kursy uczęszczać
Jak kochać, to na całe życie

Nowe dania Polskiej Kuchni Politycznej

- Alka-Seltzer samoobronny
- Bigot hułtajski z gryzbami halucynogennymi
- Bitki z TW ukatrapionego na oczach konsumenta
- Bryndaż Samoobronny z łyką dziegiu Stanisława Łyżwińskiego
- Chamburger XXL salomonowo-populistyczny
- Czarna polewka PIS (dla Kazimierza Marcinkiewicza)
- Czermina z kwi napsutej Platformie Obywatelskiej
- Flak z makrem dla kochających inaczej
- Flak z agenta WSI i Macierewicz
- Garb po żydowski w zalewie wszechpolskiej
- Jaja sadzone na okragło przez Leppera i Giertycha
- Kaczka dziennikarska z esbeckimi fekaliami
- Kielbise we lbie ize-elit
- Koźlub z owsianki Renaty Beger
- Kura domowa w sosie patriarchalnym
- Lody kręczone w imię prawa i sprawiedliwości
- Manna z nieba za kasę Unii Europejskiej
- Miód z ucha posła Samoobrony
- Mizeria opożyczyna a Jan Maria Rokita
- Paszet koalicyjny wietrzony i odnawiany moralnie
- Pieczono golabki z fałszem podatkowym a la Zyta Gilowska
- Postne kartofle w mundurkach szkolnych
- Pstanie mleczko Wedle (uznania Przemysława Gostiewskiego)
- Rak a la Andrzeja Lepper spieczony w solarium
- Rydzyki duszone w sosie ewangelicznym
- Sandał męczennika w śmietance towarzyskiej
- Wątroba posła po pięciu kadencjach
- Zimne nożki Genowefy Wisłowskiej
- Ziobertko jagnięce z jabłkiem Adama (Michnika)
- Zupa szczeniowa z Młodzieży Wszechpolskiej
- Zupa z BORowików (dla nieproszonej gości)
- Żółć Romana Giertycha nagła krwią zalana



LAST MINUTE

O walentynkach: jedyny dzień, w którym piłkarze cieszą się z czerwonych kartek.

Dlaczego nie tak?

komediogram romantyczny przygotowany na zlecenie MEN

Występują:
ONA & ON – młodzi, piękni, przywiązani do wartości
PUBLICZNOŚĆ – bezwolna masa bezwzględnie manipulowana przez liberalne media

Akt I – Narodziny miłości
Miejsce: liceum siostr urszulanek
ONA & ON: Wpadają na siebie w szkolnej bibliotece, tuż pod pustą półką po dziełach Gombrowicza.
ONA pąsowieje, ON nerwowo przeciera zaparowane okulary
PUBLICZNOŚĆ: (Domaga się scen erotycznych)

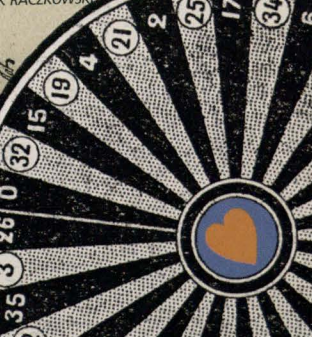
Akt II – Czas próby
Miejsce: pokój w licealnym internacie
Czas: walentynki, wieczór
PUBLICZNOŚĆ: (jak wyżej)
ON: (Wręcza JEJ różę i nieśmiało przyłącza się do żądań Publiczności)
ONA: (Przyjmuje różę, grzecznie odmawia współżycia oraz okazuje szokujące dane z raportu MEN na temat cięż wsiórd licealistek)
PUBLICZNOŚĆ: (Milknie wstrząśnięta)

Z głowy... Krzysztofa Bilicy Kobiety/mężczyźni z naszych snów nie dają nam spać.



Rodzina Obtych

Paniak Pajdak
Pan Obty przygląda się wnikliwie swoim ubranom. – To nie są moje ubrania – mówi żonie i wychodzi z mieszkania. Idzie nerwowo chodnikiem i wchodzi do sklepu z odzieżą. Ogląda w nim spodnie, swetry i koszule. – To nie są moje ubrania – mówi głośno, aby wszyscy usłyszeli i nikt nie myślał, że te ubrania należą do niego.



REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA • REKLAMA

5! dom na piatke
pracownia projektowa

Szukasz projektu? Sprawdź naszą ofertę!
<http://www.domna5.pl>

Pracownia Projektowa DOM NA PIĄTKĘ, Wrocław, mail: biuro@domna5.pl, tel./fax 071/ 363 58 75, tel.kom. 0604 674 840

OGŁOSZENIA MODUŁOWE

agnieszka.marcisz@edipresse.pl



OPEL

C'MON!



Nowa Corsa. Dwie kierownice.

Nieźlej jazdy ciąg dalszy! Również na rowerach! Przewieziesz je wygodnie na bagażniku Flex-Fix®, który jako pierwszy na świecie jest całkowicie wbudowany w konstrukcję samochodu i bez trudu mieści dwa rowery. Zmarznęte podczas przejażdżki ręce ogrzejesz na miło podgrzewanej kierownicy. A piękne widoki i błękitne niebo obejrzysz przez rewelacyjny panoramiczny dach. Czy to nie świetna jazda?

Opel Corsa – auto numer 1 w plebiscycie czytelników Auto Świat. Niektóre prezentowane opcje nie stanowią wyposażenia standardowego. 5 gwiazdek za ochronę pasażerów w testach Euro NCAP (wersja z 6 poduszkami powietrznymi). Nowa Corsa 1,3 CDTI – zużycie paliwa: 4,6 l/100 km, emisja CO₂: 134 g/km (wg dyrektywy 1999/100/EC, cykl mieszany). Informacje na temat złomowania samochodu, przydatności do odzysku oraz recyklingu są dostępne pod adresem internetowym: www.opel.com.pl



5 gwiazdek
za ochronę pasażerów
w testach Euro NCAP

Auto Nr 1
2007
w Polsce